

DIANA PALMER

BEZDOMNA

PROLOG

Montana, wiosna 1891

Ciemne chmury kłębiące się nad wzgórzami na horyzoncie rozdarła błyskawica, wieszcząc nadejście jednej z popularnych w tej okolicy wiosennych burz. Tess Meredith uwielbiała obserwować te gwałtowne ulewy - tym bardziej, że teraz miała towarzysza wypraw, który znał wiele interesujących legend i opowieści na każdą okoliczność.

Jeszcze bardziej, niż przyglądać się burzom w towarzystwie swego nowego przyjaciela, Tess lubiła jeździć galopem na oklep, łowić ryby w rzece, polować i cieszyć się wolnością... tym, co sama nazywała „przygodą”. Jej ojciec często powtarzał, że lak dzika pannica nigdy nie znajdzie sobie męża; bo kto niby chciałby mieć za żonę kobietę, której umiejętności nie miały nic wspólnego z domowymi robótkami przystojącymi dobrze urodzonej niewieście?

Jednak tego dnia Tess była wyjątkowo poważna i zdawała się mieć więcej niż swoje czternaście lat. Długie blond włosy były uczesane w porządy kok na czubku głowy, a nie, jak zwykle, rozpuszczone na ramiona; ubrana była w długą bawełnianą sukienkę o długich rękawach i wysokim kołnierzu, a na nogach miała eleganckie pantofelki, choć zazwyczaj nosiła koszulę ojca, skórzane spodnie i wysokie buty. Co prawda ojciec nigdy nie ganił jej za nieodpowiedni ubiór czy nieprzystojne zachowanie, ale tego ranka nie posiadał się z zachwytem, gdy zobaczył ją tak odświętnie ubraną. Pan Meredith był wyjątkowo łagodnym i dobrym człowiekiem, a jego córka była święcie przekonana, że właśnie dlatego jest tak wspaniałym lekarzem. Wielu medyków posiadało fachowe umiejętności, lecz niewielu szczerze lubiło ludzi.

Tess westchnęła i spojrzała na Tańczącego Kruka siedzącego obok niej, jedynego mężczyznę, który traktował ją jak równą sobie, a nie jak głupie dziecko... albo jeszcze gorzej - jak głupią dziewczynę. Kruk był Siuksem i do niedawna mieszkał w Pine Ridge. Miał szerokie, wspaniale umięśnione ramiona, długie, gęste włosy uczesane w jeden warkocz i pociągłą, brązową twarz, która rzadko kiedy wyrażała emocje. Teraz siedział obok niej wyprostowany i milczący, choć Tess wiedziała, że coś go gryzie.

Patrząc na niego czuła dziwną melancholię... Czy widział coś, czego ona nie dostrzegała? Czasem trudno było jej uwierzyć, że jest od niej starszy zaledwie o sześć, może siedem lat.

- Boisz się? - zapytała nagle.

niedobitków oddziałów Custer. Miałem sześć lat, gdy moi bracia walczyli z Custerem i pamiętam, jak wyglądała bitwa pod Greasy Grass... Wiele kobiet straciło mężowi synów... ja straciłem ojca. Potem kobiety wyładowały swój żal i gniew na ciałach poległych żołnierzy... To było złe.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz... i całe szczęście - odparł z dziwnie zaciętą miną - Przekomarzałem się z tobą wcześniej, Tess, ale naprawdę nie przeżyłbym, gdybyście ty i twój ojciec nie działali tak szybko i tak odważnie.

- Wyruszyliśmy na pole bitwy, gdy tylko usłyszeliśmy, co się dzieje... że ludzie umierają na zamrożonej ziemi... - W jej zielonych oczach pojawiły się łzy. - Och, Kuku... było tak zimno, tak przeraźliwie zimno. Nigdy tego nie zapomnę. Co dzień dziękuję Bogu, żeśmy cię znaleźli.

- A ja dziękuję Wielkiemu Duchowi, że mnie wyratowaliście, zajęliście się moimi ranami i ukryliście w wozie, dopóki nie wyjechalіśmy z Dakoty.

- Całe szczęście, że papa właśnie wtedy otrzymał przeniesienie do rezerwatu Czejenów. Chyba wszyscy uwierzyli, że znaleźliśmy cię przy drodze nieopodal Lake Deer w Montanie. W każdym razie nikt nam w oczy nie zarzucał kłamstwa.

- Nie powinienem był udawać się w odwiedziny do kuzynów ze szczepu Wielkiej Stopy, co? - spytał uśmiechając się gorzko.

Tess potrząsnęła głową.

- Powinieneś być zostać w Pine Ridge... tam byłbyś bezpieczny...

- I matka... i siostry też. - Nagie otrząsnął się, jak gdyby chciał strząsnąć z siebie ogarniający go smutek. - Chodź, musimy już iść. Twój ojciec będzie się niepokoić, że tak długo nie wracasz.

Tess nie miała na to ochoty, lecz spojrzawszy na niego napotkała poważny, spokojny wzrok i wiedziała, że protesty na nic się nie zdadzą. Ustąpiła uśmiechając się lekko.

- Czy po wyjeździe nie zapomnisz o nas?

- Oczywiście, że nie. Od czasu do czasu będę was odwiedzać - obiecał widząc jej zaniepokojoną minę. - Tylko ty nie zapomnij tego wszystkiego, czego cię nauczyłem.

- Nigdy - powiedziała patrząc mu w oczy. - Dlaczego wszystko musi się zmienić?

- Bo tak już jest na tym świecie. - Na horyzoncie widać było ścianę deszczu. - Chodź, bo jeżeli posiedzimy tu jeszcze trochę, na pewno zmokniemy.

- Jedną chwilę... Powiedz mi coś...

- Co tylko zechcesz - zamruczał cicho.

- Co zrobił stary Rączy Jeleń, gdy odwiedziliśmy go w zeszłym tygodniu?

Kruk zeszywniał nieco i odwrócił wzrok.

- Odprawił bardzo stary, święty rytuał. - Spojrzał jej w oczy.

- Po to, by ciebie chronić... - dodał enigmatycznie, a potem uśmiechnął się. - Tylko tyle mogę ci teraz powiedzieć.

Chicago, Illinois, listopad 1903

W telegramie było napisane:

Przyjeżdżam do Chicago w piątek. Dworzec Główny, godzina 14.00, Tess.

Matt Davis przeczytał go kilkakrotnie, za każdym razem klnąc wściekle; Tess Meredith nie miała po co przyjeżdżać do Chicago. Jej ojciec zmarł zaledwie dwa miesiące temu, a Matt dowiedział się o tym dopiero po paru tygodniach, kiedy wrócił do domu po kilku miesiącach pracy poza granicami stanu. Oczywiście, od razu napisał do Tess, a ona mu odpisała, lecz ani słowem nie zdradziła się z zamiarem przyjazdu do Chicago.

Od czasu, gdy wyjechał z Montany i zamieszkał w mieście, skończył szkołę detektywistyczną i został zatrudniony w Agencji Pinkertona, ale cały czas utrzymywał kontakt z przyjaciółmi na Zachodzie - co najmniej raz w roku odwiedzał Tess i jej ojca, regularnie z nimi korespondował i często zapraszał do Chicago, z czego oni nigdy nie skorzystali.

Jakiś czas temu Tańczący Kruk zaczął używać nazwiska Matt Davis; zmienił się też pod wieloma względami, jednak nigdy nie zapomniał o Haroldzie i Tess Meredithach - byli jedyną rodziną, jaką miał na świecie i wizyty u nich sprawiały mu większą przyjemność, niż sam przed sobą przyznawał.

W wieku szesnastu lat Tess nie była już tak swobodna i śmiała, jak dwa lata wcześniej - stała się nagle nieśmiała i wyciszona; w wieku osiemnastu lat, Tess była już zupełnie inną osobą: dojrzałą, śliczną i bardziej niekonwencjonalną, niż Matt pamiętał z przeszłości. Dwa lata temu, gdy odbył jedną ze swych pielgrzymek do Montany połączoną ze sprawą, nad którą właśnie pracował - a teraz miał już własną agencję detektywistyczną - widok dwudziestoczteroletniej Tess zaparł mu dech w piersi. Nie była już szczerzącym zęby w uśmiechu czternastoletnim skrzatem, ani wyciszoną szesnastolatką, ani nawet nonszalancką osiemnastolatką, lecz prześliczną, pełną werwy, otwartą i odważną młodą kobietą, doprowadzającą do szału konserwatywnie myślącego ojca. Harold zwierzył się kiedyś Mattowi, że córka nawet nie chce myśleć o małżeństwie i że jeździ do miasta na koniu, siedząc w męskim siodle, w spodniach ojca oraz z bronią przytroczoną do pasa. Poza tym zorganizowała w miasteczku koło sufrażystek... i zaatakowała pewnego miejskiego lowelasa, grożąc, że go zastrzeli, jeżeli jeszcze raz ośmieli się poklepać ją po pośladkach. Staruszek błagał go o radę, ale spojrzawszy w oczy nowej Tess, Matt też nie wiedział, co z nią począć.

Teraz Harold Meredith nie żył, a on odziedziczył Tess i wszystkie związane z nią kłopoty. Wiedział, że to raz na zawsze zmieni jego życie. Było to przerażające i podniecające zarazem.

Stary, zniszczony przez długie lata eksploatacji pociąg wjechał na stację, sapiąc i wypływając kłęby dymu. Elegancko ubrani mężczyźni pomagali wsiadać pięknym damom, bagażowi popychali wózki załadowane kuframi i pakunkami... ale nigdzie nie było ani śladu Tess.

Matt sapnął ze zniecierpliwieniem i rozejrzał się z irytacją po peronie. Nagle w kształtnej kobiecie w sukni z jasnozielonego ałtasu, z jasnozielonym kapelusikiem na głowie przybranym zieloną woalką i niecierpliwie tupiącej zgrabną nóżką odzianą w zielony trzewiczek, rozpoznał swą przyjaciółkę z dzieciństwa. Minione lata rozwiały się jakimś cudem i w eleganckiej damie zobaczył dziewczynę o blond włosach splecionych w długi warkocz, którą znał dawno temu.

W tej samej chwili Tess także go dostrzegła; w mgnieniu oka zniknęła cała jej poza - wołając głośno jego imię, ruszyła biegiem po peronie, by w końcu rzucić mu się w ramiona.

W jednej chwili Matt otoczył ją ramionami i unióśł wysoko; jego ciemne oczy napotkały spojrzenie jej zielonych źrenic... i poczuł nagle pieczenie pod powiekami.

- Och, Matt! Tak bardzo się za tobą stęskniłam! - wykrzyknęła Tess. - Ani trochę się nie zmieniłeś!

- Za to ty bardzo się zmieniłaś - odparł, stawiając ją z powrotem na peronie.

- Tylko dlatego, że teraz mam piersi - odparła, na co policzki Matta pokryły się krwawą czerwiecią.

- Tess!

Ale ona tylko oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego wyzywająco.

- Żyjemy w nowym świecie. Teraz my, kobiety, domagamy się swoich praw... mamy dość obłudy i hipokryzji... Chcemy tego wszystkiego, co mają mężczyźni.

Matt nie mógł się powstrzymać. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Owłosionych klatek piersiowych?

- Twoja nie jest wcale owłosiona - odparła przypochlebnie. - Jeżeli mnie pamięć nie myli, jest bardzo gładka i przyjemna w dotyku. - Po chwili spojrzała na niego z powagą w zielonych oczach. - Czy tu, w Chicago, ktoś wie, kim naprawdę jesteś i skąd pochodzisz?

Matt unióśł lekko brwi, wystarczająco jednak, by jego twarz nabrała aroganckiego wyrazu.

- Zależy, o którą wersję na temat mojej przeszłości ci chodzi. Mój bankier jest przekonany, że jestem wygnanym carewiczem... moi koledzy z Agencji Pinkertona sądzą, że pochodzę z Hiszpanii, a pewien starszawy Chińczyk, który pierze moje ubrania, uważa, że jestem Arabem.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - powiedział i lekko zmrużył oczy. - Ty masz prawo mówić w ojczystym języku i ubierać się w narodowe stroje twoich przodków. Natomiast w tym kraju Siuks nie może nawet uczestniczyć w obrzędach religijnych... nawet w Tańcu Słońca. - Poprawił krawat, który pięknie komponował się z jego garniturem i kamizelką. Na głowie miał kapelusz, a długie włosy nosił związane w warkocz i ukryte pod kołnierzem marynarki. Niewielu ludzi w Chicago domyśliłoby się, że mają do czynienia z Siuksem. - Niech ludzie myślą sobie o mnie, co im się żywnie podoba... Jestem chodzącą zagadką Tess, a to bardzo pomaga w interesach. - Potem, poważniejąc, dodał spokojnie: - Z powodu tego, co wydarzyło się pod Wounded Knee, nic już nigdy nie będzie takie samo. Teraz Siuks przebywający w państwowej szkole czy pracujący na państwowej posiadzi nie może nosić długich włosów ani mówić w swoim rodzimym języku, ani nawet ubierać się w tradycyjne stroje. To jest nielegalne.

- No i nie masz nawet prawa głosować we własnym kraju - dodała Tess ponuro. Ale zaraz się rozjaśniła: - Jesteś bardzo podobny do mnie. No cóż, panie Kruku - Davisie, będziemy musieli wspólnie zmienić świat.

Przez długą chwilę wpatrywał się w nią tymi dziwnymi, onyksowymi oczyma; była prześliczną kobietą, a pod uroczą buzią skrywał się niezależny i uparty duch.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego ojca - powiedział niezręcznie. - Musisz za nim bardzo tęsknić.

- Nie mówmy o tym - odrzekła i zacisnęła usta, mrugając szybko dla pozbycia się łez, które jakoś same napłynęły jej do oczu. - Całą drogę do Chicago bardzo starałam się być dzielna, ale nawet po dwóch miesiącach nie mogę się jeszcze przyzwyczaić do tego, że jestem sierotą. - Nagle położyła mu małą obciążoną w rękawiczkę dłoń na ramieniu i spytała cicho: - Matt, nie masz nic przeciwko temu, że tu przyjechałam? W Montanie nie miałam nikogo... a jeden z żołnierzy ciągle zawracał mi głowę i nalegał, bym za niego wyszła. Musiałam stamtąd wyjechać, bo jeszcze trochę i poddałabym się dla świętego spokoju.

- Czy to ten sam żołnierz, o którym swego czasu pisał mi twój ojciec? Ten porucznik Smalley?

- Aha... ten sam. - Nagle onieśmiewiona zdjęła dłoń z jego ramienia i zaczęła nerwowo obracać rączkę parasolki. - Pamiętasz go, prawda?

- Trudno jest zapomnieć nazwisko człowieka, który przyczynił się do wymordowania całej mojej rodziny pod Wounded Knee - odparł ochryple.

Tess rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że ludzie spieszą w swoich sprawach i nikt nie zwraca na nich szczególnej uwagi. W domu, w Montanie, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej: widok młodej jasnowłosej kobiety rozmawiającej z pełnokrwistym Siuksem wywołałby niejedno wrogie spojrzenie.

- Pamiętam, jak kiedyś wyglądałeś - odezwała się cichutko. - Jeździłeś konno na oklep, w indiańskim stroju, z włosami rozpuszczonymi i powiewającymi na wietrze... - Przypomniała sobie, jak kiedyś, dawno temu, jej ojciec widząc, że Tess wodzi oczyma za młodym wojownikiem, droczył się z nią, że oddała mu serce.

Ale Matt nie lubił rozpamiętywać przeszłości.

- A ja pamiętam, jak kiedyś usiłowałaś zdjąć skórę z jelenia i zwymiotowałaś.

Tess uniosła dłoń z udanym przerażeniem.

- Proszę, nawet mi o tym nie przypominaj. Teraz jestem damą.

- A ja jestem teraz detektywem, może więc zostawimy przeszłość w spokoju i skupimy się na teraźniejszości?

- Jak sobie życzysz.

- Gdzie są twoje bagaże?

- Jakiś bagażowy wiózł je niedawno... o, tam. - Wskazała na wózek stojący przy końcu peronu - leżał na nim ogromny kufer i kilka pomniejszych toreb. - Spojrzała na swego towarzysza.

- Podejrzewam, że będę musiała znaleźć sobie jakieś własne mieszkanie, prawda? Chyba że mogłabym zamieszkać z tobą?

Matt spojrzał na nią zszokowany; czyżby wiedziała o przeszłości więcej, niż kiedykolwiek dała po sobie poznać? Wstrzymał oddech.

- Nie mam na myśli wspólnego życia - dodała pośpiesznie.

- Chodzi mi o to, że pewnie mieszkasz na stacji... zastanawiałam się, czy gospodyni nie ma przypadkiem wolnego pokoju.

Matt odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do przyjaciółki.

- Podejrzewam, że pani Mulhaney znajdzie dla ciebie pokój... Ale pomyśl, by młoda kobieta mieszkała samotnie na stacji, może wywołać nieprzyzwoite skojarzenia. Licz się z

tym, że szacowne społeczeństwo Chicago uzna cię za kobietę upadłą. Może coś pomoże, jeżeli powiemy, że jesteś moją kuzynką?

- A jestem?

- Jasne, że jesteś - odparł pewnie. - Tylko w ten sposób mogę cię chronić.

- Nie potrzebuję twojej opieki. Bardzo ci dziękuję, ale sama potrafię się o siebie troszczyć.

Biorąc pod uwagę to, że sama zajęła się pogrzebem ojca i przejechała samotnie pół kraju bez żadnych nieprzewidzianych wypadków, zapewne miała rację.

- Wierzę ci - rzekł łagodnie. - Ale jesteś tu po raz pierwszy. Nie znasz Chicago i nie wiesz, jak wygląda życie w wielkim mieście. Ja wiem...

- Właściwie oboje jesteśmy tu obcy, co? - spytała z ogromnym smutkiem. - Przecież żadne z nas nie ma na świecie nikogo poza samym sobą.

- Mam kuzynów w Południowej Dakocie i w Montanie - odparł urażony.

- Taak... których nigdy nie odwiedzasz - palnęła prosto z mostu. - Czy ty się ich wstydzisz, Matt? Jego oczy zamigotały jak dwa czarne diamenty.

- To nie twój interes - syknął przez zaciśnięte zęby. - Chętnie pomogę ci się tu urządzić, ale to, co czuję, to wyłącznie moja sprawa, zrozumiano?

Tess wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nadal reagujesz jak wściekły grzechotnik, gdy ktoś nadeptnie ci na odcisk.

- Uważaj, żebym cię nie ugryzł. Skłoniła się przed nim niziutko.

- Postaram się zbytnio cię nie prowokować.

Co zamierzasz tu robić? - spytał Matt, gdyż już załatwił z kierownikiem stacji, by przechował bagaże Tess do czasu, aż znajdzie dla niej mieszkanie i będzie mógł po nie przysłać.

- Znajdę sobie jakąś pracę.

Matt zatrzymał się jak wryty i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Pracę?!

- Oczywiście, że tak. Nie jestem bogata z domu... poza tym, mamy tysiąc dziewięćset trzeci rok. Kobiety pracują już w najróżniejszych zawodach. Czytałam o tym: pracują jako sprzedawczynie w sklepach, albo jako stenografistki... albo w fabrykach odzieżowych. Mogę robić właściwie wszystko... poza tym, jestem wykwalifikowaną pielęgniarką. Aż do śmierci papy... - Głos jej się załamał i dopiero po paru sekundach mogła mówić dalej: - Aż do śmierci papy pomagałam mu w pracy. Mogę pracować w którychś z miejskich szpitali... wiem, że dam

sobie radę. - Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Przecież chyba jest w Chicago jakiś szpital?

- Oczywiście. - Przypomniał sobie, jak dawno temu uczył ją strzelać z łuku i strzelby; była odważna i szybko się uczyła. Czyżby w ten niecodzienny sposób on sam ukształtował jej charakter? Jeżeli tak, instynktownie czuł, że będzie jeszcze tego żałować. Praca pielęgniarki nie była powszechnie uważana za odpowiednią dla dobrze urodzonej młodej damy; niektórzy patrzyliby na to krzywym okiem... z drugiej strony, patrzyliby też krzywym okiem, gdyby pracowała jako sprzedawczyni w sklepie albo...

- Cóż, pomysł, by kobieta pracowała i sama zarabiała na swoje utrzymanie, jest nieco... niezwykły.

Tess uniosła brwi.

- A. jak nazwałbyś Siuksa, który paraduje w garniturze i kapeluszu, udając wygnanego z Rosji carewicza? Czy to coś zwyczajnego? - Widząc, że Matt sapnął z irytacją, ciągnęła: - Nie powinienesz mnie nie doceniać, Ukończyłam szkołę z najlepszym wynikiem na roku.

Matt przyglądał się jej z irytacją, gdy podjęli swą wędrówkę chodnikiem. Piękne powozy ciągnięte przez zgrabne konie w brzęczącej uprzęży toczyły się ulicą, po obu stronach której stały wysokie domy; wiele z nich było świątecznie przystrojonych.

W jednym z okien wystawowych Tess zauważyła maleńkie elektryczne pociągi jeżdżące na makiecie trawy i gór, w których zrobione były autentyczne tunele.

- Och, Matt, spójrz tylko! Czyż to nie śliczne?!

- Naprawdę chcesz, bym ci powiedział, co myślę na temat parowozów jeżdżących po prerii?

- Oj, daj spokój. Jesteś nieznośny. - Znowu zrównała z nim krok. - Boże Narodzenie jest już za niecałe dwa miesiące. Czy twoja gospodyni także dekoruje dom na święta? Stawia choinkę w salonie?

- Tak.

- To wspaniale! Mogę jej pomóc w robieniu ozdób i łańcuchów, i...

- Zakładając, oczywiście, że znajdzie dla ciebie wolny pokój.

Tess zagryzła dolną wargę. Przyjechała do Chicago powodowana impulsem i teraz po raz pierwszy zastanowiła się nad konsekwencjami swego czynu; po raz pierwszy ogarnęły ją wątpliwości.

- A jeżeli nie znajdzie dla mnie miejsca? - spytała niepewnie. Matt dostrzegł przez woalkę strach na jej twarzy i serce mu się ścisnęło.

- Znajdzie, znajdzie - odrzekł z niezachwianą pewnością siebie. - Nie pozwolę, byś mieszkała z dala ode mnie. W tym mieście aż roi się od podłych ludzi. Dopóki nie połapiesz się we wszystkich tajemnicach miejskiego życia, potrzebujesz spokojnej przystani i kogoś, kto by się tobą opiekował.

Tess uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Podejrzewam, że sprawiam ci mnóstwo kłopotów, ale zawsze byłam impulsywna. Czyżbym liczyła na zbyt wiele, Matt? Jeżeli ci przeszkadzam, po prostu mi to powiedz i zaraz wrócę do domu.

- Do natarczywego porucznika? Po moim trupie. Chodźmy.

' Ujął ją pod ramię i poprowadził chodnikiem, zręcznie omijając dziury; jedna z nich wyglądała tak, jakby była zrobiona przez karabinową kulę. Matt przypomniał sobie, że we wczorajszej gazecie wyczytał, iż w okolicy dokonano napadu na bank, a między policjantami i złodziejami wywiązała się ostra walka.

- Pani Blake mówiła mi, że Chicago to bardzo cywilizowane miasto - odezwała się Tess. - Czy to prawda?

- Czasami.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Jakie sprawy prowadzi twoja agencja detektywistyczna?

- Zazwyczaj tropię kryminalistów - odrzekł. - Raz czy dwa wykonywałem inne zadania: prowadziłem parę spraw rozwodowych, zdobywałem dowody okrucieństwa mężów... - Popatrzył na nią ciekawie. - Spodziewam się, że jako kobieta nowoczesna nie masz nic przeciwko rozwodom?

- Mam parę obiekcji - przyznała powoli odmierzając słowa.

- Uważam, że ludzie powinni starać się utrzymać swoje małżeństwo, ale jeżeli mężczyzna jest agresywny, zdradza żonę lub jest nałogowym hazardzistą, kobieta ma prawo się go pozbyć.

- Uważam, że powinna mieć prawo zastrzelić takiego łajdaka - mruknął pod nosem Matt przypominając sobie sprawę, nad którą ostatnio pracował: pijany mąż pobił do nieprzytomności żonę i mocno okaleczył małe dziecko. Matt pozbawił drania przytomności i osobiście zawiózł go na komisariat.

- Masz rację. - Tess przyglądała mu się zza woalki. - Nadal jesteś nieprzyzwoicie przystojny.

Uśmiechnął się do niej ironicznie.

- Ojej! A niby komu mam mówić podobne rzeczy? - spytała patrząc na niego z wściekłością. - Me znam żadnych innych mężczyzn!

- Nawet natarczywych żołnierzy? - zapytał rozzłoszczony. Tess zeszywniała.

- On się nigdy nie kąpał... i miał zawsze mnóstwo okruchów w wásach.

Słyszając to Matt wybuchnął śmiechem.

- Oj, daj mi spokój! - burknęła dziewczyna i podjęła dalszą wędrówkę. - Zdaje się, że będę musiała trzymać swój niewyparzony język za zębami, dopóki nie znajdę sobie jakiegoś koła sufrażystek, do którego będę mogła dołączyć. - Spojrzała na niego kątem oka. - Wiesz może, gdzie się odbywają takie spotkania?

- Nigdy nie byłem na żadnym spotkaniu koła sufrażystek. Jestem zbyt zajęty robieniem na drutach, ale sądzę, że bardzo szybko coś znajdziesz.

Tess trąciła go lekko łokciem w zębra.

- Hmm... będę musiała się rozejrzeć. Czy nosisz ze sobą także tomahawk? - spytała nagle zmieniając temat.

- Tylko Indianie noszą tomahawki - odrzekł poważnie. - Ja jestem detektywem i noszę rewolwer Smith and Wesson kaliber trzydzieści dwa.

- Nigdy nie nauczyłeś mnie strzelać z rewolweru - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- I nigdy cię nie nauczę - odparł. - Pewnego dnia pokusa mogłaby się okazać silniejsza od ciebie i jeszcze byś mnie zastrzeliła. To by przysporzyło mojej agencji zły reklamę. Jesteśmy na miejscu.

Matt ujął ją pod ramię i poprowadził po schodach do wysokiego budynku z czerwonej cegły o dużych oknach i ogromnych drzwiach ozdobionych kołatką w kształcie lwiej głowy. Wprowadził ją do środka i gdy stanęli przed zamkniętymi drzwiami w korytarzu, zapukał lekko.

- Chwileczkę - dał się słyszeć melodyjny głos. - Już idę! - Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich drobnutka kobieta o blond włosach gdzieniegdzie przetykanych siwizną. Spojrzała w górę na Matta i jego towarzyszkę, po czym wykrzyknęła: - Panie Davis, czyżby wreszcie znalazł pan żonę?

Tess zarumieniła się po uszy. Matt odkaszlnął lekko.

- Pani Mulhaney, to moja kuzynka, panna Meredith. Jej ojciec zmarł niedawno i na całym świecie nie ma nikogo poza mną. Czy ten pokój na trzecim piętrze nadal jest wolny?

- Tak, oczywiście... z wielką przyjemnością wynajmę go pannie Meredith. - Uśmiechnęła się do Tess, a w jej błękitnych oczach kryło się mnóstwo nie wypowiedzianych pytań.

Tess odwzajemniła uśmiech.

- Będę bardzo wdzięczna, jeżeli pozwoli mi pani tu zostać. Chciałabym mieszkać jak najbliżej Matta - powiedziała z rozbrajającym uwielbieniem w głosie. - Czyż on nie jest cudowny?

„Cudowny” było ostatnim określeniem, jakie przychodziło pani Mulhaney do głowy na widok dziwnego pana Davisa, ale być może kuzynka wiedziała o nim więcej niż gospodyni.

- To wyjątkowo dobry człowiek - zgodziła się łagodnie. - A teraz, panno Meredith, jeżeli chodzi o codzienne sprawy... Może pani jadać posiłki z nami, pan Davis powie pani, o jakiej porze, a trzy numery dalej na naszej ulicy jest pralnia prowadzona przez Chińczyka, pana Lo.

Matt zdusił śmiech.

- Pokażę ci wszystko - obiecał.

- Zaraz wezmę klucz i zaprowadzę panią do pokoju, panno Meredith. Z okien jest bardzo ładny widok na miasto.

Kiedy odeszła mrucząc coś do siebie, Tess odwróciła się do Matta i spytała unosząc brwi:

- A cóż było tak śmiesznego w pralni, panie Davis?

- Nie pamiętasz? Biali nazywali mnie i moich braci panem Lo. - Tess zmarszczyła brwi, na co Matt sapnął ze zniecierpliwieniem. - Pan Lo...? Biedny Indianin...? Pamiętasz?

Nagle Tess wybuchnęła śmiechem.

- Wielki Boże, całkiem o tym zapomniałam! Zapomniałam, jak z tego żartowaliśmy i wymyślaliśmy dowcipy...

- Ja nie zapomniałem - mruknął. - Ty i ja żartowaliśmy, ale wszędzie indziej, gdy ktoś nazwał mnie „Panem Lo”, albo „Johnem”, ponosił za to ciężką karę. To wcale nie było takie śmieszne.

- Cóż, teraz na pewno nie jesteś już biednym Indianinem - powiedziała Tess oglądając jego atłasową kamizelkę, ciemnoszary garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Nawet buty miał ręcznie robione z drogiej skóry. Tess uniosła oczy i napotkała jego spojrzenie. - Moim zdaniem wyglądasz na obrzydliwie bogatego Indianina - szepnęła nachylając się ku niemu.

- Tess!

- Poprawię się - obiecała, ale nie miała czasu powiedzieć nic więcej, gdyż właśnie w tej chwili wróciła pani Mulhaney z kluczem do pokoju.

Chicago było olbrzymie i różnorodne i Tess uwielbiała po nim spacerować, oglądać stare kościoły i forte, nowe budynki i sklepy. Ogromne niczym ocean jezioro Michigan, nad którym leżało miasto, fascynowało ją, gdyż do tej pory Tess mieszkała na równinach dalekiego Zachodu i nigdy nie widziała takiej połaci wody.

Stosunkowo łatwo dostała pracę przy pielęgnacji chorych w szpitalu powiatowym dla dzielnicy Cook; kilku lekarzy od razu dostrzegło jej umiejętności i zdolności, i nalegało, by pracowała jedynie dla nich. Ponieważ Tess nigdy nie przeszła formalnego przeszkolenia pielęgniarskiego, mogła pracować tylko jako szeregową pielęgniarką, ale bardzo szybko została zaakceptowana i z miejsca ją polubiono.

Niestety, pozostali goście wynajmujący pokoje na tej samej stacji, uważali jej zajęcia za niegodne młodej, dobrze urodzonej damy i często jej o tym przypominali. Tess znosiła ich uwagi z uśmiechem, w duszy posyłając ich do diabła. Byli tylko zacofanymi starymi ludźmi nie rozumiejącymi nowoczesnego świata; choć z drugiej strony, trudno było mieć do nich pretensje - w końcu starzy ludzie niełatwo zmieniają poglądy.

Na szczęście Tess bardzo szybko znalazła sobie grupkę sufrażystek i chętnie zasiliała ich szeregi, pracując ciężko nad planami marszy protestacyjnych i wieców mających na celu ogłoszenie świata, że kobiety nie chcą już dłużej tkwić w kuchni, i że chcą także głosować.

Matt pilnował jej jak mógł, choć nie było to łatwe zadanie. Często w myślach porównywał ją do rozbrykanego żrebaka, którego nikt jeszcze nie ośmielił się ujarzmić. On sam ani myślał tego próbować: zbyt podziwiał i szanował niezależnego ducha przyjaciółki z dzieciństwa.

Tess bardzo szybko zaprzyjaźniła się z Nan Colier, młodą żoną telegrafisty, która wraz z nią uczęszczała na zebrania sufrażystek. Matt nalegał, by sama nigdy nie wychodziła po zmroku z domu; była to jedyna restrykcja, jaką na nią nałożył, a ponieważ Tess uznała ją za całkiem słuszną, spełniła jego prośbę i znalazła sobie towarzyszkę wypraw. Poza tym Nan okazała się przyjemną dziewczyną i choć nie była tak dobrze wykształcona jak Tess, była jednak inteligentna i miała dobre serce.

Z biegiem czasu stało się oczywiste, że Nan ma poważne kłopoty w domu; co prawda nigdy o nich nie mówiła, ale od czasu do czasu wspominała, że nie może wracać zbyt późno do domu, bo jej mąż będzie zły, czy też, że musi dokładnie sprzątać całe mieszkanie, by jej

mąż nie miał się o co na nią gniewać. Wydawało się, że nawet najdrobniejsze uchybienie w jej domowych obowiązkach mogło zaowocować srogą karą z rąk Dennisa Coliera.

Dopiero pod koniec pierwszego miesiąca ich znajomości Tess zorientowała się, na czym polega kara wymierzana Nan przez męża. Pewnego dnia młoda kobieta zjawiała się na zebraniu sufrażystek z rozciętą wargą i podbitym okiem.

- Nan, co się stało? - wykrzyknęła Tess, a jej okrzyk powtórzyło kilka zgromadzonych kobiet. - Czy to mąż tak cię pobił?

- Och, nie! Skądże znowu! - odparła Nan nieco zbyt szybko. - Nic podobnego... spadłam ze schodów. - Roześmiała się nerwowo i uniosła dłoń do sińca pod okiem. - Czasem jestem taka niezdarna!

- Jesteś pewna, że to wszystko? - nalegała Tess, nie wierząc w wyjaśnienia przyjaciółki.

- Tak, tak... oczywiście. Ale to miło, że tak się o mnie martwisz, Tess - dodała ze szczerą wdzięcznością.

- Nie pozwól mu na to, by cię bił - ostrzegła ją Tess. - To nie doprowadzi do niczego dobrego... taka sytuacja może się tylko pogarszać. Żaden mąż nie ma prawa bić swojej żony... żeby nie wiem co złego mu zrobiła.

- Ja tylko spadłam ze schodów - powtórzyła Nan z uporem, ale nie patrzyła Tess w oczy. - Dennis czasem się na mnie niecierpliwi, szczególnie gdy w domu goszczą ci jego bogaci znajomi. Czasem krzyczy, że jestem powolna i głupia, ale nigdy by mnie nie uderzył.

Jednak Tess widziała zbyt wiele ofiar małżeńskiej brutalności, by uwierzyć w historyjkę Nan - praca w szpitalu dostarczała jej wielu przykładów tego, jak mąż potrafi traktować żonę. - Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebować pomocy, możesz na mnie liczyć. Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc - powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciółki.

Nan uśmiechnęła się do niej w odpowiedzi, lecz nawet ten drobny grymas sprawił jej ból i uśmiech zamienił się w smutne skrzywienie. Przycisnęła chusteczkę do rozciętej wargi.

- Dziękuję ci, Tess, ale nie ma takiej potrzeby.

- No, dobrze... - mruknęła młoda buntowniczką wzdychając cicho.

Zebranie miało bardzo burzliwy przebieg, a niektóre z wygłaszanych opinii nawet Tess wydawały się nieco zbyt radykalne, jednak w kole przeważały ciężko pracujące, uczciwe kobiety, które domagały się tylko tego, by traktować je jak równe mężczyznom zarówno w kwestii polityki, jak i zwykłego, codziennego życia. - Kwakrowie zawsze akceptowali swoje żony jako równe mężczyznom - powiedziała ze złością jedna z kobiet. - Ale nasi mężczyźni

nadal uważają, że żyjemy w średniowieczu. Większość z nich uważa nas za swoją własność. Nawet najlepsi z nich sądzą, że nie potrafimy wygłaszać rozsądnych opinii ani podejmować samodzielnych decyzji.

- Racja! - odezwało się kilka głosów.

- Poza tym kobieta nie ma żadnej kontroli nad własnym ciałem i musi w kółko rodzić dzieci, czy jest do tego zdolna, czy nie, i czy tego chce, czy nie. Wiele naszych siostr zmarło w połogu, wiele innych ma w domu tyle dzieci, że nie są w stanie ich ani ubrać, ani nawet wykarmić, a tymczasem nasi mężczyźni krzyczą, że jesteśmy bezczelnymi heretyczkami, jeżeli tylko ośmielimy się wspomnieć o jakichkolwiek metodach antykoncepcji, nie mówiąc już o abstynencji!

W pokoju rozległ się zgodny pomruk wyrażający poparcie.

- Nie możemy nawet głosować! - zawołała inna kobieta. - Mężczyźni traktują nas albo jak dzieci, albo jak idiotów! Patrzą na nas z góry i wielu z nich patrzy na nas krzywo, gdy same robimy zakupy!

- Albo jeżeli pracujemy gdzieś poza domem! - dodała trzecia.

- Nadszedł już czas, byśmy zaczęły domagać się tych samych praw, jakie im przysługują tylko dlatego, że urodzili się mężczyznami! Nie możemy dłużej akceptować podrzędnej roli w społeczeństwie, musimy działać!

- Tak, działać!

- Działać!

Wszystkie jednogłośnie postanowiły, że muszą pomaszerować do Ratusza najszybciej, jak to tylko możliwe; wkrótce ustalono datę i miejsce spotkania, oraz trasę marszu.

- Ja nie mogę iść - odezwała się Nan z ciężkim westchnieniem, po czym dodała wzdrygając się lekko: - Dennis cały dzień będzie w domu i aż boję się pomyśleć, co by mi zrobił, gdyby dowiedział się, że zamierzam wziąć udział w marszu protestacyjnym.

- Mogłabyś wyjść z domu pod byle jakim pretekstem - zasugerowała jej najbliższej siedząca starsza kobieta.

- Oj, nie... nie sędzę. Jemu i tak bardzo się nie podoba to, że przychodzę tu do was raz w tygodniu. Muszę uważać. Dennis nie może się dowiedzieć, jak głęboko jestem zaangażowana w ruch. Mogę wychodzić z domu tylko wtedy, gdy jego nie ma. - Zgarbiła chudziutkie plecy, jak gdyby spoczywał na nich ogromny ciężar.

- Dennis pracuje dodatkowo w poniedziałki i czwartki... więc wraca do domu bardzo późno i nie wie, że wychodzę wieczorami na spotkania.

Cóż za potworne życie wiodła biedna Nan. Tess robiło się zimno na myśl o tym, jak mąż ją traktuje. Jacy ci mężczyźni potrafią być podli!

Kiedy tego wieczora Tess dotarła do domu, nadal wściekała się na myśl o tym, jak Dennis Colier traktuje biedną Nan. Matt właśnie wychodził z domu i spotkali się na frontowych schodach; wyglądał wspaniale w nowym, eleganckim ubraniu. Tess przypomniała sobie, jak niegdyś jego czarne włosy zwisały mu aż do pasa i zastanowiła się, czy nadal są tak długie; teraz chował je pod kołnierz koszuli, związane w warkocz, więc nie wiedziała, jakiej są długości.

- Nic tylko pracujesz i pracujesz - odezwała się z łagodną wymówką w głosie.

- Jestem maniakiem eleganckich ubrań - odparł z przekorą - więc muszę zarabiać dostatecznie dużo, by uczynić zadość moim wyrafinowanym gustom. - Przyjrzał się uważnie jej jasnej bluzce i ciemnej spódnicy, które widać było spod długiej peleryny.

- Kolejne spotkanie?

- Aha.

- A gdzie to jest ta przyjaciółka, która zawsze z tobą chodzi?

- zapytał marszcząc brwi, gdy dotarło do niego, że na ulicy nie ma nikogo, oprócz nich dwojga.

- Pojechała do domu powozem, który wynajęłam - wyjaśniła Tess. - Ja zawsze, wysiadam pierwsza, a potem ona jedzie do swego domu.

Matt skinął głową.

- Proszę, bądź ostrożna - przestrzegł ją po raz nie wiadomo który. - Nie znasz tutejszych panów...

- Ale nadal potrafisz strzelać z łuku - odparła, mrugając do niego porozumiewawczo. - I zdjąć skórę z jelenia... i wytropić pumę. - Nachyliła się ku niemu i dodała scenicznym szeptem:

- Potrafisz też rzucać nożem myśliwskim!

- Przestań!

- Przepraszam... samo mi się wymknęło. Matt spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

- Ja nie rzucam nożem... ani nawet go nie używam. Ja nim tylko straszę.

- A co to za różnica?

- Duża. Bardzo duża różnica, moja mała.

- Obiecuje, że się poprawię - obiecała z uroczym uśmiechem. Przyjrząwszy mu się uważniej, zobaczyła głębokie zmarszczki dokoła jego ust i nosa, a także ciemne smugi pod oczyma.

- Biedny Matt... wyglądasz na skonanego.

- Bo spędzam noce na śledzeniu ludzi, zamiast na spaniu. W końcu za to mi płacą - Przyglądał się jej twarzyczce schowanej w cieniu szerokiego ronda kapelusza. - Sama nie wyglądasz najlepiej.

- Widzisz, Matt, pielęgnowanie ludzi też nie jest najłatwiejszym zajęciem pod słońcem. Cały dzień siedziałam przy pacjentce, któremu niedawno amputowano nogę. Został potrącony i przejechany przez wóz pocztowy. Jest niewiele ode mnie starszy...

- Bardzo młody, jak na tak poważne obrażenie.

- Aha Poza tym był zawodowym graczem w baseball. - Matt skrzywił się lekko. - Ciągłe mówi o popełnieniu samobójstwa... a ja rozmawiam z nim i rozmawiam, mając nadzieję, że go jakoś od tego powstrzymam.

Matt nagle uniósł dłoń i dotknął jej policzka chłodnego od zimowego wiatru.

- Ja też kiedyś czułem coś podobnego - zamruczał cichutko.

- A potem zjawiała się przy moim łóżku taka śliczna jasnowłosa dziewczynka i trzymała mnie za rękę, podczas gdy jej ojciec wyjmował kule z moich pleców. I z biegiem czasu życie znowu nabrało dla mnie powabu.

- Naprawdę dzięki mnie odzyskałeś chęć życia? - spytała.

- Naprawdę?

Matt skinął głową.

- Cała moja rodzina nie żyła... nie miałem dla kogo żyć. Na początku utrzymywała mnie nienawiść do białych ludzi i chęć pomszczenia bliskich. Poza tym ból był nie do zniesienia... a gdy wreszcie ustąpił, zrozumiałem bezsens moich planów. Nie można w pojedynkę walczyć z całym oceanem białych ludzi. Jak to się mówi, lepiej się do nich przyłączyć, niż z nimi walczyć.

- Jeżeli nie masz szans na zwycięstwo... - Sprawiał jej przyjemność dotyk jego mocnych, ciepłych palców; stała nieruchomo, w obawie, że on zaraz odejmie dłoń od jej policzka. - Czy teraz jest ci aż tak źle na świecie?

Długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Pewnie gdybym był biedny, byłoby fatalnie... A tak? Zarabiam stanowczo za dobrze i pracuję za dużo, by się jeszcze nad sobą uzalać. - Jego ciemne oczy zwęziły się nieco. -

- Kiedy tu przyjechałem, zbudowałem wokół siebie mur - powiedział cicho. Zdawało się, że nieco się odprężył. - A teraz utknąłem za nim i nie potrafię się wydostać. Jestem bogaty i odnoszę sukcesy zawodowe, ale za całą tę fasadą nadal jestem biednym, obdartym indiańskim chłopcem. Ludzie głupszy ode mnie czasem mi to wytykają.

- Zawsze uważałam cię za swego przyjaciela, twoje pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy.

- Jestem twoim przyjacielem - odrzekł poważnie. - Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko.

- Wiem. - Zaciągnęła poły starej peleryny i uśmiechnęła się do niego. - Ja też zrobiłabym dla ciebie wszystko, Matt.

Kiedy odwracała się od niego, Matt nagle złapał ją za ramię i gwałtownie pociągnął ku sobie. Tess straciła równowagę i ciężko się o niego oparła. Objął ją ramieniem i gdy przytuliła się do niego, poczuła lekki zapach mydła, wody po goleniu i delikatny zapach tytoniu, gdyż pan Matt Davis od czasu do czasu palił cygara.

Jego bliskość była dla niej podniecającym zaskoczeniem; nieco zaniepokojona, zapytała:

- O co chodzi?

Matt przyglądał się jej uważnie, aż wreszcie jego spojrzenie zatrzymało się na ustach dziewczyny. Jej wargi były pełne i miękkie, i nie po raz pierwszy w ich długiej znajomości Matt zastanowił się, jakie byłyby w dotyku. Przyptyw pożądania zamroczył go. Poczuł, że serce bije mu szybciej.

- Matt, o co chodzi? - powtórzyła. - Przerażasz mnie.

- Ciebie nic nie przeraża - odparł. - Weszłaś w sam środek poboju, zanim jeszcze żołnierze przestali strzelać... Młoda dziewczyna, która miała całe życie przed sobą. Byłaś taka odważna... i taka dobra.

Przyciskał ją do siebie tak mocno, że zrobiło jej się słabo z nadmiaru wrażeń. Zagryzła wargi i próbowała się opanować. Potem oparta dłoń o jego pierś i odepchnęła się lekko.

- To jest takie... niekonwencjonalne!

- A praca w szpitalu nie jest? Szturchnęła go lekko.

- Tylko mi tu nie zaczynaj! I tak mam dość kazań ze strony tych upiornych starych pań, które mieszkają na drugim piętrze.

- Odruchowo spojrzała w ciemne okna stacji. Czyżby firanka na piętrze się poruszyła?

- Prawdopodobnie przestępują z nogi na nogę czekając na rozwój wypadków.

- Niestety, zawiodą się. Puść mnie w tej chwili! Mam dość sterczenia na mrozie i chcę wreszcie wejść do domu - rzekła Tess z pewnością siebie, której wcale nie czuła. Własna reakcja na bliskość Matta zaskoczyła ją i nieco przestraszyła. Jakoś nigdy wcześniej nie czuła nic podobnego, więc co się teraz działo?

Matt przesunął dłonie na jej wąską talię i nadal patrzył jej w oczy tymi swoimi dziwnymi, nieomal czarnymi źrenicami.

- Nie jesteś podobna do żadnej innej znanej mi kobiety - powiedział cicho po bardzo długiej chwili.

- A jak wiele znasz kobiet w Chicago, które potrafią strzelać z łuku i mówić językiem Siuksów?

Potrząsnął nią lekko.

- Bądź poważna.

- Nie śmiem. - Roześmiała się cicho. - Już zdążyłam... zaplanować swoje życie. Chcę się poświęcić ruchowi na rzecz wyzwolenia kobiet.

- Całkowicie?

- Tak. - Spróbowała wydostać się z jego uścisku.

- Czyżby już przekonały cię, że mężczyźni to nic dobrego? Albo że nadają się tylko do płodzenia dzieci?

- Matt!

- Nie miej tak oburzonej miny. Nieraz słyszałem podobne słowa z ust sufrażystek i zastanawiam się, czy i ty podzielasz ich poglądy. Czy i ty, jak mityczne Amazonki, uważasz, że mężczyźni potrzebni są tylko do jednego, a małżeństwo to pierwszy krok do niewolnictwa?

- Bo tak właśnie jest - odrzekła z gniewem. - Rozejrzyj się dokoła, Matt! Większość mężatek co roku rodzi dziecko, uważane są za rozwiązłe, jeżeli pracują poza domem, muszą nagiąć się do woli mężów, jak gdyby były bezwolnymi lalkami, a nie ludzkimi istotami! Nic nie jest w stanie powstrzymać mężczyzn od bicia żon i dzieci, od grania w karty czy picia od świtu do zmierzchu. Och, Matt, czy ty naprawdę nie dostrzegasz okropieństwa całej tej sytuacji? Nie potrafisz spojrzeć na to z kobiecego punktu widzenia?

- Oczywiście, że potrafię - odparł szczerze. - Ale ty mówisz o wyjątkach, haniebnych wyjątkach. Nie przeczę, że się zdarzają, ale jednak to wyjątki. W większości przypadków nie jest to aż tak tragiczne. Pamiętaj, Tess, że społeczeństwo zmienia się powoli.

- Jednak nic nie zmienia się samo.

- Zgadzam się z tobą Ale uważam też, że żadnych zmian nie można wprowadzać drastycznymi ani gwałtownymi środkami. - Spojrzał na nią zimno i kontynuował: - Nie

wierzę w takie środki, jak odbieranie dzieci rodzicom, zabieranie ich z rezerwatów i posyłanie do państwowych szkół, gdzie nie mają prawa mówić własnym językiem, a nawet nosić długich włosów.

Tess aż palce świerbiły, by dotknąć jego włosów, lecz nie odważyła się; pozwoliła sobie na to tylko raz, gdy dawno temu uczył ją strzelać z łuku. Spojrzała w jego ciemne oczy i zobaczyła w nich smutek.

- Tęsknisz za przeszłością? Roześmiał się krótko i wreszcie ją puścił.

- Jak mogę tęsknić za czymś tak prymitywnym? Czy wyobrażasz sobie mnie ubranego w zwierzęce skóry i mówiącego łamaną angielszczyzną?

- Nie... - Potrząsnęła głową - Ty nosiłbyś na twarzy barwy wojenne, wysoki pióropusz na głowie i jeździłbyś konno przez prerię z łukiem w dłoni, a na plecach miałbyś kołczan pełen strzał. Matt odwrócił się nieco i spojrzał w głąb ulicy.

- Muszę już iść, bo inaczej się spóźnię.

- Matt, na miłość boską, chyba nie wstydzisz się swojego dziedzictwa?

- Dobranoc, Tess. I pamiętaj, nie wychodź sama... to niebezpieczne.

I odszedł, ani razu nie oglądając się za siebie. Tess stała na schodach przez długą chwilę i patrzyła za nim drżąc z zimna. Wstydził się tego, że jest Siuksem; aż do tej chwili zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Może to wyjaśniało fakt, dlaczego tak rzadko jeździł do Południowej Dakoty, dlaczego nigdy nie mówił o swoich kuzynach, którzy tam mieszkali, i dlaczego zawsze ubierał się jak bardzo bogaty biały człowiek. Choć z drugiej strony, nie obciął włosów, więc może zachował nieco dumy ze swego pochodzenia, nawet jeżeli dobrze to skrywał? Tess potrząsnęła głową. Tak wielu jego braci nie miało szans na prowadzenie takiego życia, jakie on wiódł; tak wielu klepało biedę w rezerwatach... może więc nic dziwnego, że Matt woli podsycać plotki o swoim dziwnym pochodzeniu, zamiast wrócić do Dakoty i stawiać czoło prawdzie.

Przypomniała sobie, jak żołnierze i inni biali zwracali się do niego, gdy dawno temu mieszkał wraz z nią i jej ojcem; serce bolało ją na myśl o tym, jak bardzo musiała cierpieć jego duma. W tamtych czasach ludzie byli wyjątkowo uprzedzeni. Nazywali to „nacionalizmem”. Tess aż zazgrzytała zębami z wściekłości, przypominając sobie niektórych nadętych jegomościów, mówiących o tym, że „obcy” są w tym kraju niepożądani. Jak oni śmiali nazywać rdzennych obywateli Ameryki „obcymi”! Na Zachodzie nadal prowadzono debaty, czy nie lepiej, zamiast zamykać Indian w rezerwatach, odebrać im cały dobytek i zmusić do zamieszkania w miastach białych ludzi; w ten sposób białe społeczeństwo wchłonęłoby czerwonoskórych i jednocześnie zupełnie zniszczyło ich odrębną kulturę.

Czy ci ludzie naprawdę nie słyszą, jakie bzdury wygadują w duchu piekliła się Tess. Zawsze uważała, że próby zasymilowania Indian podejmowane przez rząd nie przyczyniły się do niczego dobrego, natomiast wzmożyły alkoholizm, samobójstwa i śmiertelność noworodków w rezerwatach.

Wreszcie otworzyła drzwi i weszła do domu; w jej głowie nadal kłębiły się myśli o upokarzającej sytuacji Indian i kobiet, z których ani jedni, ani drudzy nie mieli prawa głosu i byli traktowani jak obywatele podrzędnej kategorii.

Dwie starsze panie mieszkające na piętrze spojrzały na nią zimno, gdy usiłowała przejść nie zauważona obok salonu, w którym siedziały.

- Przyzwoite młode panienki nie powinny wystawać na ulicy w towarzystwie mężczyzn - odezwała się panna Dean lodowatym tonem. - Nie powinny też chodzić na spotkania radykałów ani pracować w szpitalach.

- Ktoś musi pielęgnować chorych - odrzekła Tess. - I ośmielę się zauważyć, że pójście ze mną na jedno z naszych spotkań obu paniom mogłoby wyjść na dobre. Posłuchałybyście, co wasze siostry mają do powiedzenia na temat praw obywatelskich i tego, że społeczeństwo nie traktuje nas jako równe mężczyznom.

Panna Barkley pobladła.

- Panno Meredith! - wykrztusiła przeciskając dłoń do gardła. - Nie uważam się za równą mężczyznom! I nie chcę, by mnie tak traktowano!

- Mężczyźni to podle, wstrętne świnie! - parsknęła panna Dean. - Wszystkich powinno się zastrzelić!

Tess wyszczerzyła do niej zęby w szerokim uśmiechu.

- I widzi pani, panno Dean? Pani i ja mamy bardzo wiele wspólnego! Po prostu musi pani pójść kiedyś ze mną na jedno ze spotkań.

- Do tych radykałów? - zapytała panna Dean tonem świętego oburzenia.

- Jakich tam radykałów - odparła Tess. - Większość z nas to uczciwe, ciężko pracujące dziewczyny, które chcą wreszcie żyć w tym kraju jako pełnoprawni obywatele. Jesteśmy kobietami nowoczesnymi i nie zgodzimy się na nic innego.

Panna Barkley poczerwieniała.

- A niech mnie kule biją!

Ale panna Dean uniosła dłoń i powstrzymała wybuch swej przyjaciółki.

- Zaczekaj, Klaro - powiedziała. - Panna Meredith powiedziała parę interesujących rzeczy. Czy na te spotkania może przyjść każdy, kto chce?

- Oczywiście. Jeżeli pani chce, możemy pójść razem w przyszły wtorek. Zobacz pani na własne oczy, jak się sprawy mają.

- Ida, żebyś mi się nie ważyła! - syknęła panna Barkley.

- Gdybym miała o dwadzieścia lat mniej, poszłabym - odpowiedziała z uśmiechem panna Dean. - Ale jestem już za stara, by zmieniać poglądy, panno Meredith.

- Tess - poprawiła ją dziewczyna, na co w oczach starszej pani pojawił się przyjazny uśmiech.

- Dobrze, niech będzie Tess. Mam nadzieję, że osiągnie pani swój cel. Moje pokolenie pewnie już tego nie doczeka, ale mam nadzieję, że pani pokolenie otrzyma prawo do głosowania.

Tess wróciła do swego pokoju zadowolona, że udało się jej odwrócić uwagę starszych pań od Matta; nie byłoby dobrze, gdyby pozostali mieszkańcy stacji pani Mulhaney zaczęli snuć na ich temat jakieś domysły. Sama też nie chciała zbyt często zastanawiać się nad tym, co zaszło między nimi na schodach przed domem. Odsunęła od siebie myśli o dziwnym zachowaniu Matta i przygotowała się do snu.

Za oknami szalała wichura; śnieg z furią walił o szyby. Tess przymknęła oczy mając nadzieję, że do rana cały świat pokryje gruba warstwa śniegu. Zawsze lubiła śnieżne dni.

Sobotni marsz był wyjątkowo widowiskowy: rozpoczął się już po zmroku, a przybyło na niego blisko czterysta kobiet niosących pochodnie dla oświetlenia drogi, i różnej treści transparenty. Tess maszerowała między dwiema kobietami, które знаła z wcześniejszych spotkań koła sufrażystek, lecz bardzo brakowało jej towarzystwa Nan.

- Czyż to nie jest podniecające? - zapytała w pewnej chwili jedna z kobiet. - Jest tu nas tak wiele, że na pewno uda się nam wywalczyć prawo do głosowania. Rząd musi ustąpić, skoro aż tyle kobiet się tego domaga!

Tess przytaknęła, lecz bez zbytniego entuzjazmu. W ciągu swego krótkiego życia zdążyła już nauczyć się jednej ponurej prawdy, że rząd potrafi być wyjątkowo uparty, jeżeli ktoś wymaga od niego gwałtownych zmian światopoglądu. Bez względu na to, czy mieli rację, czy nie, ludzie w Waszyngtonie z całej mocy starali się ochronić swój *status quo*. Może i prezydent Roosevelt był rozsądnym człowiekiem i miał mniej konserwatywne poglądy niż większość jego doradców, lecz czy przypadkiem nie podzielał ich poglądów, że kobiety zostały stworzone tylko po to, by dbać o dom, rodzić dzieci i troszczyć się o potrzeby mężczyzn?

Demonstracja przyciągnęła tłumy gapiów i Tess rozglądała się ciekawie dokoła. Mężczyzna powiewający ogromną flagą, na której było napisane czerwonymi literami: „PRECZ Z WYZYSKIEM” wyszedł na ulicę i wraz z kilkudziesięcioma towarzyszami dołączył do maszerujących kobiet.

- To nie wasza grupa! - wrzasnęła jedna z kobiet.

- Ale ta wałka to także walka robotników! - odkrzyknął ów mężczyzna i dalej szedł ulicą. - Walczymy w tej samej sprawie! Dość już wyzysku... nieważne czy robotników, czy kobiet!

- No i widzicie? - burknęła jedna z maszerujących kobiet. - Nie możemy nawet w spokoju pomaszerować, by mężczyźni nie chcieli się wtrącić i nam przewodzić! No cóż, już ja mu pokażę, kto tu rządzi!

Drobna, statecznie wyglądająca pani w średnim wieku oddała drzewce swojego transparentu najbliższej sąsiadce i wyciągnąwszy spod płaszcza drewnianą pałkę, rąbnęła nią przywódcę robotników prosto w łysinę.

Mężczyzna krzyknął i upuścił flagę, a w tej samej chwili jego towarzysze rzucili się na maszerujące kobiety. Tess stała nieruchomo, dopóki nie usłyszała policyjnych gwizdków.

Westchnęła ciężko. Od samego początku policja szukała sposobności, by przerwać ich manifestację, a ci durni komuniści dali im po temu wspaniałą okazję. Niewielka demonstracja przerodziła się w bijatykę.

Kiedy Tess ostrożnie wycofywała się ze środka zamieszania, zauważyła nowo przybyłego mężczyznę, który zdawał się nie należeć do żadnej z grup: był młody, wysoki, doskonale ubrany i niósł w rękę elegancką laskę. Zdawało się, że patrzy wprost na nią. Nie zdążyła nawet zastanowić się nad jego dziwnym zachowaniem, gdy ktoś na nią wpadł. Upadła prosto pod nogi walczącym i omal nie została zdeptana na śmierć.

Na szczęście nie straciła przytomności i nawet w dzikim harmiderze usłyszała jakiś dziwny metaliczny dźwięk. Poturlała się po bruku, by uniknąć stratowania przez walczących. W tej samej chwili poczuła mocarne uderzenie; ramię jej zdrętwiało. Pomimo mroku zobaczyła, że rękawy jej kurtki i bluzki zostały rozdarte.

Kiedy ponownie uniosła głowę, po obu jej bokach stało dwóch policjantów; jeden z nich, starszy, miło wyglądający mężczyzna, pomógł jej wydostać się z tłumu i podprowadził ją na schodki najbliższego domu. Odszedł mrucząc coś pod nosem na temat ludzi, którzy nie potrafią żyć w spokoju. Dwaj mali chłopcy bawili się przed domem i teraz stali na krawężniku przyglądając się jej ciekawie.

Tess miała ochotę zdjąć bluzkę i obejrzyć potłuczone ramię, gdyż czuła nie tylko ból, ale i dziwną lepkość pod materiałem; niestety, zdjęcie bluzki na ulicy w samym środku miasta wywołałoby zapewne kolejne zamieszki. Zastanawiała się, jak w tym zamieszaniu odnajdzie powóz i woźnicę, którego Matt kazał jej nająć do jeżdżenia do szpitala i na spotkania klubu sufrażystek. Woźnica, Mike Kennedy, był wspaniałym chłopakiem, miłym i uczynnym, i teraz zgodził się na nią poczekać kilka przecznic od miejsca demonstracji. Niestety, teraz na ulicach panowało takie zamieszanie, że zdezorientowana Tess nie bardzo wiedziała, w którym kierunku zdążać, by odszukać Mike'a.

Na szczęście to on ją znalazł. Zaniepokojony tym, co działo się na obrzeżach demonstracji, Mike przywiązał konie do latarni i ruszył w tłum. Ostatnie piętnaście minut spędził na gorliwym poszukiwaniu Tess i wreszcie osiągnął swój cel. Na jej widok wyraźnie kamień spadł mu z serca.

- Została panienka ranna w całym tym zamieszaniu? - A kiedy Tess skinęła głową, dodał: - Ale się tu narobiło! Mam panienkę zabrać z powrotem na stację?

- O, tak! Dziękuję ci, Mike!

- Nie ma o czym mówić. Niech panienka oprze się na mnie, a raz dwa zawiozę panienkę do domu. Jakem Mike Kennedy!.

To była prawda. Intymność była podstawowym składnikiem ich związku, gdyż przez długie miesiące Tess pielęgnowała go właściwie sama... Nawet jej ojciec na początku się sprzeciwiał, by młoda dziewczyna zajmowała się mężczyzną, lecz nie potrafił jej tego zabronić, gdy błagała go ze łzami w oczach, by jej na to pozwolił.

- Ale teraz jest... inaczej - usiłowała wyjaśnić Tess.

Matt znieruchomiał. Popatrzył jej w oczy i dostrzegł w nich zawstydzenie.

- Zrobiłbym to samo dla każdego innego rannego człowieka - powiedział łagodnie, a ona zagryzła wargi. Przez chwilę przytrzymał jej dłonie i dodał łagodnie: - Nikt nigdy się o tym nie dowie. Czy to cię uspokaja?

Dziwne, że aż tak mu ufała; na samą myśl o tym, że jakiś obcy mężczyzna miałby jej dotykać, robiło jej się niedobrze, ale jakimś dziwnym trafem podobał się jej dotyk silnych, a jednocześnie delikatnych rąk Matta.

Problem polegał na tym, że czując dotyk jego palców na swojej skórze, Tess czerwieniła się i bladła na przemian, a serce waliło jej jak oszalałe. Na szczęście on udawał, że tego nie widzi; odpiął ostatni guzik jej bluzki i pod spodem ukazał się fiszbinowy gorset i cieniutka, batystowa koszulka. Przez cienki materiał widać było ciemne plamki jej sutków i Matt zamarł na chwilę w bezruchu. W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

- Nie gap się tak na mnie! - szepnęła.

- Dlaczego nie? - spytał unosząc wzrok.

Sama się nad tym zastanawiała... I podczas gdy ona usiłowała wymyślić jakiś rozsądny powód, dla którego Matt nie mógłby się jej przyglądać, on wrócił oczyma do jej piersi, jak gdyby chciał je na zawsze zapamiętać.

- Oj... to bardzo... niekonwencjonalne - szepnęła niepewnie.

- Aha... i wyjątkowo przyjemne - odparł równie cicho. Jego dłoń zsunęła się z guzików i przesunęła na nagie ciało tuż przy granicy gorsetu i koszulki. Tess podskoczyła, jak gdyby jego dotyk ją sparzył.

- Ty bezwstydniku! - sapnęła chwytając go za nadgarstek.

- No, dobrze już, dobrze. - Roześmiał się cicho i pozwolił jej odsunąć swoje palce na bezpieczną odległość. - Jeżeli kiedykolwiek miałem jakieś wątpliwości co do twoich nowoczesnych poglądów, teraz nie mam żadnych.

- A cóż to znaczy? - zapytała z oburzeniem.

- Że cała ta twoja gadanina o wolnej miłości i nowoczesnej moralności nie jest warta funta kłaków - odparł spokojnie. - Jesteś zwykłą oszustką, moja droga.

Spojrzała na niego gniewnie, lecz nie ośmieliła się zaprzeczyć. Matt uniósł ją delikatnie i ostrożnie wyciągnął jej ramię z rękawa bluzki. Bolało okropnie.

Nieświadomie szeptał do niej w języku Siuksów, by leżała spokojnie i wytrzymała jeszcze trochę. Kiedy została tylko w koszulce bez rękawów, Matt delikatnie obrócił jej ramię, żeby lepiej zobaczyć ranę; była długa, o równych brzegach, z pewnością nie wyglądała na zadaną laską, raczej szpadą. Szpadą ukrytą w lasce? Ktokolwiek się nią posłużył, na pewno chciał zrobić jej krzywdę; może nawet większą niż wyrządził?

- Rana jest głęboka - mruknął Matt gniewnie. Po białej skórze jej ramienia ciekła wąska strużka krwi. Z komody stojącej w kącie pokoju wziął czysty ręcznik i przycisnął mocno do rany, by powstrzymać krwawienie. Tess skrzywiła się.

- Jakże chciałabym wiedzieć, kto to zrobił! - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Ja też. Położył jej dłoń na ręczniku i kazał ścisnąć, po czym wyszedł z pokoju, by przynieść miednicę z wodą, mydło i świeże ręczniki. Przemył jej ranę i z niepokojem patrzył, jak coraz mocniej zagryza poblądłe wargi; potem odstawił miednicę, wziął butelkę alkoholu i kłębuszek bawełny.

- Uważaj, będzie bolało - powiedział cicho. Przytrzymał jej ramię, by na pewno nie wyszarpnęła go powodowana bólem; Tess spojrzała na niego i skinęła głową. Zapiękło solidnie i z jej zaciśniętych ust wyrwał się okrzyk bólu, kiedy Matt polał ranę alkoholem.

- Przepraszam - powiedziała natychmiast. - Nie powinnam była tak krzyczeć. Wstyd mi.

- Wiem, jak bardzo to boli, więc naprawdę nie musisz przeproszać.

Potem przyłożył jej do ramienia czysty ręcznik, podszedł do szafy i wyjął z niej biały, koronkowy szlafroczek. Łagodnie otulił ją nim, lecz Tess gwałtownie zaprotestowała.

- Nie, Matt! To jedyny, jaki mam! Zaplamiam się krwią i będzie do wyrzucenia!

- Szlafroczeki mają to do siebie, że zawsze można kupić nowe - odparł obojętnie. Nałóż go.

Posłuchała, oszołomiona bólem, i nieco zaskoczona jego stanowczością. Matt zacisnął poły koronkowego szlafrocza, a jego palce delikatnie otarły się o ciepłą skórę jej dekoltu. Tess wciągnęła z sykiem powietrze... a Matt zawahał się i spojrzał jej pytająco w oczy. Pod palcami czuł szalencze bicie serca dziewczyny, a na jej skroni widział gwałtownie pulsującą żyłkę. Usta Tess rozchyliły się i w mgnieniu oka zobaczył na jej twarzy wszystkie uczucia, które w niej szalały. Szkarłatny rumieniec zalał jej policzki, białą szyję i jedwabistą skórę dekoltu.

Coś dziwnego się z nią działo. Czuła, jak w jej wnętrzu budzi się ogień i rozlewa po całym ciele; piersi jej nabrzmiały, a sutki stężały, zupełnie jakby zrobiło się jej zimno. Matt nie tylko nie odsunął rąk, lecz przycisnął je mocniej do jej skóry, delikatnie gładząc miękkie ciało.

Ich spojrzenia spotkały się, a serce Tess zabiło jeszcze szybciej, gdy zobaczyła ogień płonący w oczach mężczyzny. Przez bardzo długą chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, patrzyli sobie w oczy: zielone źrenice Tess naprzeciw czarnych, nieruchomych oczu Matta.

W chwili, gdy jego dłonie zsunęły się niżej, w chwili, gdy cieniutka koszulka zaczęła ustępować pod ledwie zauważalnym naporem, na korytarzu rozbrzmiały kroki. Czar prysnął.

Matt wstał raz jeszcze i odwrócił się od niej. Tess pospiesznie usiłowała zapiąć guziki jedną ręką, podczas gdy drugą przyciskała do ramienia prowizoryczny opatrunek.

Po chwili rozległo się szybkie pukanie do drzwi; zaraz potem wszedł doktor i spojrzał na dziewczynę. Potem jego wzrok powędrował do Matta.

- Pan jest Mattem Davisem? A to pańska kuzynka? spytał z uśmiechem, po czym zamknął za sobą drzwi. - Co się stało?

Tess opowiedziała mu wszystko drżącym głosem.

- Potem przyniosłem tu miednicę z wodą, mydło i świeże ręczniki, dodał Matt. - Przyniosłem też alkohol dla odkażenia rany... ale sądzę, że to nie wystarczy. Może trzeba będzie założyć kilka szwów?

- Zaraz zobaczymy. Niech pan zaczeka na korytarzu, młody człowieku - powiedział lekarz, zakładając, zgodnie z życzeniem Matta, że Tess sama przebrała się w szlafroczek i sama przemyła ranę.

- Oczywiście - odrzekł Matt, skłonił się oficjalnie i wyszedł na korytarz nawet nie spojrzawszy na Tess.

Doktor odsunął szeroki rękaw szlafroczka i delikatnymi palcami zbadał ramię dziewczyny.

- Co panią zraniło?

- Zdaje się, że laska - odparła, krzywiąc się z bólu.

- Nie, łaskawa pani. Raczej szpada, którą ktoś ukrył w lasce i w chwili zadawania ciosu, wysunął - poprawił ją lekarz. Bardzo brzydka, głęboka rana. Zrobię, co w mojej mocy, ale będzie pani bardzo chora przez kilka dni, młoda damo. Będzie pani musiała bardzo uważać i zawiadomić mnie przy pierwszych objawach zakażenia... jeżeli zobaczy pani jakieś czerwone pręgi na ramieniu... albo zauważy, że brzegi rany nabierają zielonkawego odcienia..

- Jestem pielęgniarką, doktorze - odrzekła Tess. - Mój ojciec był lekarzem.

- Naprawdę?

- Pracuję w szpitalu powiatowym... w okręgu Cook.

- W rzeczy samej, wygląda pani znajomo. Jaki ten świat jest mały! I całe szczęście, że wiedziała pani, jak zająć się raną do przybycia lekarza.. Jak rozumiem, nie muszę pani pouczać, jak należy postępować z raną. - Zachichotał pod nosem i raz jeszcze przetarłszy ranę alkoholem, zaczął zakładać szwy. Aby powstrzymać się od płaczu, Tess recytowała alfabet przez zaciśnięte zęby.

- Niestety wziąłem ze sobą bardzo mało jedwabiu powiedział lekarz. - Założyłem tylko trzy szwy, lecz powinny wystarczyć. - Zakończywszy ostatni szew, zręcznie zabandażował ranę. Potem wstał i przypomniał: - Gdy tylko zauważy pani jakies niepokojące objawy, proszę natychmiast po mnie posłać. I proszę nie wracać do pracy, dopóki rana na dobre się nie zagoi.

- Dobrze. Obiecuję - odparła z westchnieniem, zastanawiając się, jak w takim razie ma zarobić na chleb i na czynsz. Na szczęście miała jeszcze nieco pieniędzy pozostawionych jej przez ojca, lecz wołała z nich nie korzystać. - Przyśle mi pan rachunek?

- Moja żona się tym zajmie - odrzekł uprzejmie. - Zaraz dam pani coś na sen.

Na nocnym stoliku zostawił jej buteleczkę laudanum wraz z przepisem, jak go używać, skinął uprzejmie głową, uśmiechnął się lekko, zatrzaskał swą torbę i wyszedł z pokoju.

Parę minut później wrócił Matt, dziwnie spokojny i ponury.

- Doktor powiedział, że zostawił ci coś na uspokojenie.

- Taak..., to. - Wskazała na małą zakorkowaną buteleczkę.

- Zaraz przyniosę łyżkę.

- A mógłbyś rozpuścić to w wodzie?

- No, dobrze...

Na komodzie stała karafka z wodą, więc nalał nieco do szklaneczki, zmieszał ze środkiem uspokajającym i patrzył, jak Tess pije gorzki napój.

- Jeżeli dostaniesz gorączki, a na pewno dostaniesz, lepiej będzie, by ktoś z tobą tu siedział. Wolałbym sam to zrobić, lecz chyba wiesz, że to niemożliwe, Tess. Pani Mulhaney i tak już kręci nosem na to, że pracujesz w szpitalu i bierzesz udział w zebraniach sufrażystek. Lepiej jej nie drażnić.

Tess było bardzo niedobrze; ramię okropnie ją bolało i patrzyła na Matta ledwie słysząc to, co mówi.

- Fatalnie się czuję.

- Nic dziwnego. - Odsunął jej z czoła kosmyk włosów.

- Poszukam kogoś, kto by się zgodził tu z tobą posiedzieć. Zaraz wracam. Złapała go za rękę i przytrzymała przy swoim policzku.

- Dziękuję ci... - szepnęła.

Tess nie mogła nic wyczytać z jego twarzy, lecz jego palce pieściły jej policzek z ogromną czułością zanim wreszcie cofnął dłoń.

- Postaraj się zasnąć. Laudanum zaraz powinno zadziałać.

- Dobrze...

Wyszedł po cichu na korytarz z twarzą ściągniętą gniewem i zamknął za sobą drzwi. To, że ktoś celowo skrzywdził Tess, nie miało najmniejszego sensu, a jednak nie było innego logicznego wytłumaczenia tego, co się stało. Matt miał koszmarne przeczucie, że zranienie Tess nie było prawdziwym celem napastnika. Wspomniała, że odturlała się spod nóg walczących, by uniknąć stratowania; czyżby drań mierzył nie w ramię, lecz w inną część jej ciała? Czyżby próbował ją zabić?

Matt powiedział sobie, że ponosi go wyobraźnia. Tess mieszkała w Chicago zaledwie od miesiąca. Niby dlaczego ktoś miałby pragnąć jej śmierci? Nie... napastnikiem na pewno był jakiś szaleniec... mąż lub syn, który nienawidził wszystkich kobiet i znajdował ujście dla swego gniewu atakując maszerujące sufrażystki. Ale dlaczego napadł akurat na Tess?

Zanim Matt skontaktował się ze starszą kobietą, która zajmowała się pielęgnowaniem chorych, i namówił ją do zaopiekowania się Tess, pacjentka spała już jak suseł, wsunąwszy się pod koce w ubraniu i bucikach. Matt przyjrzał się jej dokładnie, sprawdził, czy wszystko jest w porządku i zostawił ją pod opieką pani Hayes, do której miał całkowite zaufanie. Poza tym było już bardzo późno... a Tess trzeba było przebrać w nocną koszulę. Bardzo nie chciał jej zostawić, ale wiedział doskonale, że w tej chwili na nic się jej nie przyda. Poza tym nie chciał narażać jej na plotki.

Kiedy wracał do swego pokoju, na jego drodze stanęła zatroskana pani Mulhaney.

- Panie Davis, moi lokatorzy bardzo niepokoją się tym zajściem - powiedziała pospiesznie. - Proszę, niech pan nie sądzi, że nie współczuję pańskiej kuzynce... ale te sufrażystki same sprowadzają na siebie nieszczęście. Kto to słyszał o marszach i pochodach... i żeby palić pochodnie! A do tego pracują w szpitalach i mieszkają całkiem same! To doprawdy skandaliczne!

Matt przygryzł wargi i powstrzymał się od udzielenia pani Mulhaney jadownej odpowiedzi; w końcu to nie wina gospodyni, lecz jej zaawansowanego wieku i wychowania. Tacy jak ona z wielkim trudem wkroczą w dwudziesty wiek.

- Jest moją kuzynką - odrzekł sucho. - Nie mogę się jej wyrzec.

Nie uśmiechał się... czasem potrafił wyglądać wyjątkowo ponuro i to właśnie była jedna z tych chwil.

- Wcale tego nie oczekuję! - wykrzyknęła pani Mulhaney czerwieniąc się gwałtownie. Wykonała nieokreślony ruch dłonią. - Jestem pewna, że w przyszłości pana kuzynka będzie nieco dyskretniejsza... to znaczy, mam nadzieję, że szybko wydobrzeje. Jeżeli mogę w czymś pomóc...

- Już zatrudniłem pewną panią, by z nią siedziała i się nią zajmowała.

Pani Mulhaney pomyślała, że przez Matta Davisa czuje się jak ostatnia jędza. Te jego czarne oczy wywoływały w niej dreszcze! Często zastanawiała się nad jego pochodzeniem; po mieście krążyło mnóstwo plotek, lecz żadna nie wydawała się prawdziwa. Nie miał żadnego obcego akcentu, więc wątpiła, czy naprawdę jest Europejczykiem. Choć z drugiej strony, być może od dzieciństwa uczył się angielskiego i bardzo szybko pozbył się akcentu...

Wszak widziała kiedyś Afrykanina, który mówił po angielsku z idealnym brytyjskim akcentem!

- Jeżeli mogę w czymś pomóc... - powtórzyła bezsensownie, a on tylko skinął głową i wszedł do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Pani Mulhaney przyglądała im się przez krótką chwilę, po czym udała się na dół, usiłując zapomnieć o tajemniczym panu Davisie i jego niekonwencjonalnej kuzynce.

W niedzielę Matt siedział przy Tess wraz z panią Hayes przez większą część dnia, nie bacząc na to, co mogą sobie pomyśleć inni lokatorzy czy pani Mulhaney. Tess czuła się o wiele gorzej, zgodnie z przewidywaniami doktora miała wysoką gorączkę i niezdrowe rumieńce na policzkach.

Pani Hayes prawie cały czas zmieniała jej zimne okłady na czole.

- Kiedyś, podczas jakiejś demonstracji mój mąż został postrzelony - zwierzyła się Mattowi w pewnej chwili. - Potem też miał gorączkę, majaczył, rzucał się na łóżku, przewracał, wiercił i wygadywał różne brednie. Biedne dziecko... Cały czas mamrocze coś o ptakach... chyba o krukach.

Matt nie miał ochoty mówić jej, że swego czasu był znany jako Tańczący Kruk... nie chciał też wspominać wierzeń swoich przodków dotyczących dużych czarnych ptaków.

- Podejrzewam, że biedactwo majaczy - mruknął z cicha przyglądając się wybladłej twarzy Tess.

- Zachowywała się tak przez całą noc i rano - rzekła pani Hayes, kładąc na czoło dziewczyny kolejny okład. - Niech się pan nie martwi, panie Davis, panuję nad gorączką. Biednemu dziecku nic nie będzie...

Matt nie odpowiedział, tylko delikatnie dotknął zarumienionego policzka Tess; jej zielone oczy otworzyły się, lecz zdawało się, że nikogo nie poznaje.

- Ramię... mnie boli. Gdzie jest papa? Matt zawahał się przez chwilę.

- Nie ma go tu - odparł wreszcie. - Ale o nic się nie martw. Nic ci nie będzie... Spij.

- Nie mogę... spać. Przylatują ptaki... dziobią mnie! - Spojrzała na niego z paniką w oczach i zaszeptała gorączkowo: - Kule rwą ciało niczym szpony... ludzie leżą w śniegu... Martwi... w śniegu.

Wounded Knee. Gorączka przywołała wspomnienia masakry.

- Zupełnie się jej w głowie pomieszało z tej gorączki. - Pani Hayes pokiwała głową. - Biedactwo... Nic tylko ptaki, kule i śnieg. - Gdzie jest jej ojciec? - spytała, gdy Tess znowu zapadła w niespokojny sen.

- Umarł - odrzekł prosto z mostu Matt. - Zaledwie kilka miesięcy temu. Przyjechała do Chicago, bo jestem jedyną rodziną, jaką ma na tym świecie. - Wypowiadając te słowa, poczuł wewnętrzne ciepło. To była prawda. Był jedyną rodziną, jaką Tess miała na świecie, a i ona była jego jedyną rodziną. Nie byli co prawda spokrewnieni, lecz łączące ich więzy były silniejsze od więzów krwi.

- Cóż, dobrze, że macie przynajmniej siebie nawzajem - powiedziała pani Hayes, po czym przyjrzała się Tess i zmarszczyła brwi. - Dziwne, taka ładna dziewczyna i jeszcze nie wyszła za mąż?

- Ano jakoś nie.

- I nie ma nawet narzeczonego? - Pani Hayes spojrzała na niego ciekawie.

- Nie - odrzekł. Na myśl o Tess w ramionach innego mężczyzny zrobiło mu się niedobrze. Często zastanawiał się, co zrobi, jeżeli Tess kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Dzięki Bogu, jak na razie im to nie groziło. - Nigdy nie wspominała mi, by w jej życiu był jakiś szczególny mężczyzna.

- Myśli pan, że by o tym opowiedziała? Chód z drugiej strony, skoro macie tylko siebie...

Matt zmienił temat rozmowy pytając, co pani Hayes sądzi o prezydencie Rooseveltcie. Rozmawiali ponad godzinę o polityce i na szczęście rozmowa już więcej nie zeszła na temat życia miłosnego Tess.

Następnego ranka, po zaledwie kilku godzinach snu, Matt ogolił się i poszedł do pracy. Na chwilę wstąpił do pokoju Tess, lecz nadal spała i wyglądało na to, że gorączka nie ustąpiła.

- Muszę iść do biura - rzekł niechętnie. - Proszę się nią opiekować. Co prawda ma duszę wojownika, lecz nie zaszkodzi nieco się nią zająć i przypomnieć, że nie jest niezniszczalna.

- Oczywiście. - Pani Hayes zmarszczyła brwi. - Rana znowu krwawi - powiedziała cicho.

Matt poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka.

- Po drodze do biura zajrzę do doktora Barrowsa - powiedział z ponurym westchnieniem. - Pewnie rzucała się przez sen i pozrywała szwy.

- Tam są tylko trzy szwy - rzekła krótko pani Hayes. - Dziś rano zmieniałam opatrunek i zobaczyłam... Pewnie dlatego krwawi.

- Co takiego? - Matt zacisnął usta, - Dobry Boże, toż ta rana ma ze cztery cale długości! Potrzeba znacznie więcej niż trzech szwów! Będę musiał z nim porozmawiać.

Skinąwszy uprzejmie głową pani Hayes, spojrzął raz jeszcze na Tess i wyszedł; na korytarzu dwóch dżentelmenów bez słowa ustąpiło mu z drogi, widząc jego groźną minę.

Doktor Barrows właśnie wychodził do miasta. Matt Davis spotkał go na schodkach gabinetu, który lekarz prowadził przy swojej miejskiej rezydencji.

- Tess bardzo źle się czuje. Majaczy, a w nocy porozrywała szwy i rana znowu krwawi - powiedział Matt bez wstępnych uprzejmości. - Poza tym pani Hayes powiedziała, że założył pan tylko trzy szwy. Dlaczego?

Doktor Barrows spojrzął na młodzieńca z niepokojem.

- No, cóż... hmm... Wiem, że trzy szwy to mało, ale nie miałem ze sobą dostatecznej ilości jedwabnych nici, by założyć więcej szwów. Było już tak późno i chciało mi się spać... Ale dziś mam ze sobą całe mnóstwo jedwabiu i zaraz się zajmę pańską kuzynką. Czy ma gorączkę?

- Tak, bardzo wysoką - Oczy Matta zwężyły się w dwie groźne szparki. - Jeżeli jej stan nie poprawi się w ciągu najbliższych paru dni, potraktuję to jako osobistą zniewagę - dodał i nieznacznym gestem ramienia odsunął połą marynarki, tak by doktor mógł zobaczyć długi nóż o rzeźbionej rękojeści wiszący mu u pasa w skórzanej pochwie.

Barrows był przyzwyczajony do pogróżek i nigdy nie brał ich poważnie, ale ten mężczyzna był zupełnie inny od reszty ludzi, z którymi doktor miał do czynienia. Lekarz nie widział też takiego noża od czasu, gdy jako młodzieniec wędrował po Stanach i na Terytorium Montany spotkał młodego Indianina, który nosił podobnie rzeźbiony nóż myśliwski. Tamten chłopak chwalił się, że ostrze ma dwadzieścia pięć centymetrów długości i jest tak ostre, że bez trudu można nim oskalpować człowieka. Dłoń doktora odruchowo zacieśniła chwyt na ręczce czarnej lekarskiej torby.

- Ależ ma się rozumieć, panie Davis - odparł przez ściśnięte gardło. - Ale ręczę, że pańskiej kuzynce nic nie grozi. Zaraz do niej pójde i ponownie opatrę ranę.

- Cieszę się - rzekł Matt. Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu, lecz oczy pozostały zimne i groźne, tak że doktor Barrows wzdrygnął się mimowolnie.

Lekarz popatrzył za Mattem, gdy ten odchodził w swoją stronę i nagle przyszło mu do głowy, że młodzieniec bardzo dziwnie chodzi; szedł zbyt płynnie i miękko jak na mieszczucha. Podobnie jak większość mieszkańców Chicago, doktor Barrows zastanowił się, skąd pochodzi tajemniczy pan Matt Davis. Ale przecież nie mógł go o to zapytać.

Wyciągnął z kieszonki kamizelki duży złoty zegarek i otworzył go sprawnym, wyćwiczonym ruchem. Był już spóźniony na pierwszą poranną wizytę, lecz mimo to najpierw uda się do panny Meredith. W tej chwili najważniejsze jest to, by porządnie zeszyć jej ramię!

ulicą i wpadł prosto pod koła. A teraz, wiedząc, że pewnie nie utrzyma się w dawnej pracy i nie będzie miał czym płacić za to cholerstwo, popełnił samobójstwo!

- To znaczy... że to nie... przeze mnie? To nie moja wina..? - Tess nie potrafiła dokończyć zdania.

Doktor zauważył jej blade policzki i przerażone oczy. Podeszedł do niej.

- Nie, moja droga. Oczywiście, że to nie twoja wina - zapewnił ją łagodnie. - To jego własna słabość go zabiła.

Nagle obrócił się na pięcie i wyszedł.

Tess przyglądała się, jak pielęgniarka zakrywa wykrzywioną konwulsjami twarz Marsha. Potem jęknęła głośno i pospiesznie wybiegła ze szpitala gnana poczuciem winy.

- Skończyłaś dyżur ponad półtorej godziny temu - rzekł, jakby jej nie słysząc. - Chcę wiedzieć, gdzie się przez cały ten czas podziewałaś!

Tess próbowała wyszarpnąć się z jego uścisku, lecz na próżno.

- Nie muszę ci się tłumaczyć!

- A właśnie, że musisz!

Pociągnął ją w cień, z dala od światła padającego z okien; ich ciała spotkały się tak gwałtownie, że dziewczyna aż sapnęła z zaskoczenia. Właśnie chciała powiedzieć coś na temat jego brutalności, gdy Matt pochylił głowę i mocno pocałował ją w usta.

Nie tego spodziewała się po pierwszym pocałunku; Matt nie był łagodny ani czuły, a nacisk jego warg sprawiał jej ból. Jednym ramieniem podtrzymywał jej plecy, tak że siła pocałunku przechyliła ją do tyłu. Stała zaskoczona, zmartwiała, dłonie oparła o jego pierś i odpychała go nieudolnie... nawet ten ból był jej miły po tylu długich latach czekania i marzenia o pocałunkach Matta.

Chwila namiętności minęła równie niespodziewanie, jak się zaczęła. Odsunął wargi od jej ust i cofnął się nieco, lecz Tess nie widziała jego twarzy, tylko niewyraźny zarys postaci kryjącej się w mroku.

Dyszał ciężko; po chwili delikatnie dotknął dłonią jej twarzy, jak gdyby koniuszkami palców próbował poznać minę dziewczyny. Kciukiem lekko obwiodł jej dolną wargę... Tess stała jak i zahipnotyzowana. Palec Matta wsunął się między jej wargi i pieszczotliwie gładził. Zabrakło jej tchu.

Sapnęła cichutko, gdy on znowu pochylił głowę, zbliżył usta do jej warg i zaczął je ssać delikatnie, doprowadzając ją do szaleństwa. Drugą dłonią gładził ją po policzku, po szyi... pieszcząc delikatną skórę, aż Tess oparła się o niego drżąc i podniecona. Wtedy zaczął ją całować bardziej natarczywie... prowokująco... zachęcająco.

Tess zrozumiała, że dzieje się z nią coś bardzo dziwnego. Była jak w transie... kolana ugięły się pod nią, więc złapała go za ramiona, by nie upaść. Poczowała, jak unosi ją ku sobie, przyciska, tuli... i bezwiednie objęła go za szyję.

Jęknęła przerażona nowymi, nieznanymi sensacjami, jakie budził w niej pocałunek Matta... Nie chciała, by to się kiedykolwiek skończyło, więc gdy poczuła, że unosi głowę, wspięła się na palce, próbując zrobić wszystko, by tylko ich usta się nie rozłączały.

Potrzebowała... czegoś. Czegoś więcej. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej i jęknęła gardłowo. Słyszając ten dźwięk, Matt rozchylił wargi i wsunął język w wilgotne wnętrze jej ust. Teraz już drżała na całym ciele, jakby w gorączce. Tuliła się do niego czując

- Byłem dla ciebie bardzo niemiły.

- A ja byłem niezdolna - odrzekła. - Miałeś prawo być na mnie zły. Nawet nie podziękowałam ci za lody.

- A jednak nie powinienem być dla ciebie tak okropny. Nie miałem też prawa tak cię wykorzystać... jak to zrobiłem przed chwilą... - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Czy to dlatego było tak dziwnie? - zapytała z ciekawością.

- Dlatego, że ty byłeś zły, a ja zmartwiona?

- A jak było? - spytał z wahaniem.

- Trudno to opisać - odrzekła cicho. - Czułam gorąco... drżenie... było mi słabo... Nigdy wcześniej nie czułam nic podobnego.

Matt odetchnął głęboko.

- To, co czułaś, to pożądanie - wyjaśnił. - Pragnienie, by... przespać się z mężczyzną.

- By się z nim kochać - poprawiła go odruchowo.

- Taak.

- Ojej! - Tess miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

- Ludzie cywilizowani pokrywają swe pożądanie gadaniem o romantycznej miłości - kontynuował cynicznie. - Wszystko po to, by zachować pozory. Dopiero po zawarciu związku małżeńskiego mężczyzna pozwala sobie na okazanie pożądania, bo tak się utarło w społeczeństwie. Przepraszam, że straciłem nad sobą panowanie i potraktowałem cię tak prostacko.

- Nie ma o czym mówić - odparła Tess pośpiesznie. - Większość kobiet w moim wieku ma już mężów i wie wszystko na temat seksu. Ja pewnie nigdy... to znaczy... nie poznam... ojej!

Matt objął ją łagodnie.

- Nie masz się czego wstydzić - rzekł cicho. - Przykro mi, że cię zaszokowałem, ale tak naprawdę nie stało się między nami nic poważnego... a już na pewno nic, czego powinnaś się wstydzić.

Tess westchnęła.

- Czy odczuwanie takiej przyjemności nie jest przypadkiem grzechem?

Matt powoli opuścił ramiona.

- Uważam, że powinniśmy przestać o tym rozmawiać - burknął, choć w żyłach nadal pulsowała mu krew.

- Jak sobie życzysz. Ale cały czas jestem ciekawa... Choć tyle lat pracowałam jako pielęgniarka, istnieją pewne aspekty życia, które nadal są dla mnie tajemnicą.

- Jesteś stworzona do małżeństwa - wypalił nagle, przypominając sobie z poczuciem winy o sekrecie, który nosił w sercu.

- Lepiej, żebym żyła sama, niż z mężczyzną, którego nie jestem w stanie pokochać - odparła myśląc o Marshu Baileyu. Łzy zapiekły ją pod powiekami. - Powinniśmy wejść do środka.

Przeszła obok niego i weszła do hallu właśnie w chwili, gdy pani Mulhaney stanęła w drzwiach prowadzących do salonu.

Widząc wyraz twarzy dziewczyny, wydała z siebie dziwne sapnięcie.

- Ależ moja droga, co się stało!?! - wykrzyknęła rzucając podejrzliwe spojrzenie na stojącego w progu Matta.

- Jeden z moich pacjentów popełnił dziś samobójstwo - wyjaśniła Tess bez chwili wahania. - Bardzo mi przykro, że widzi mnie pani w takim stanie, ale był taki młody i to... zdarzyło się tak nieoczekiwanie... i... och! - Wybuchnęła płaczem.

- Ojej! - W pani Mulhaney od razu obudziło się współczucie i zapomniała o swoich podejrzeniach, impulsywnie objęła dziewczynę. - Moje biedactwo! Chodź ze mną do kuchni, zaraz zaparzę ci gorącą herbatę! Biedactwo, nic dziwnego, że jesteś taka wstrząśnięta! Musisz mi o wszystkim opowiedzieć!

Tess nie ośmieliła się spojrzeć na Matta. Była tak okropnie zawstydzona, że nawet zachowanie gospodyni - które w innych okolicznościach potraktowałaby jako uciążliwe - było jej teraz na rękę. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie rozmawiać spokojnie z Mattem po tym, co zaszło między nimi tego wieczora.

Za maską współczucia pani Mulhaney kryła się wygłodniała ciekawość. Dobra kobieta, pozbawiona widoku świata poza murami własnego domu, z przejęciem słuchała opowieści o młodzieńcu, któremu amputowano nogę... który nie potrafił radzić sobie z życiem jeszcze przed wypadkiem, a po nim nie widział dla siebie żadnych perspektyw.

- Jaka szkoda - powiedziała potrząsając głową. - Tym bardziej, że był tak młody, jak mówisz. - Przyjrzała się Tess niespokojnie, po czym dodała z wahaniem. - Praca w szpitalu musi być bardzo... pouczająca. To znaczy... pewnie bardzo wiele uczysz się o mężczyznach... O ich ciałach... Ojej! Nie chciałam, by to tak zabrzmiało!

Tess uśmiechnęła się do niej.

- Pani Mulhaney, pielęgniarki wykonują polecenia lekarzy, roznoszą pigułki, zmieniają opatrunki, mierzą temperaturę i ciśnienie, ale na oddziałach pracują także mężczyźni, tak zwani salowi, którzy wykonują wszystkie inne czynności... na przykład kąpią

pacjentów, i tym podobne rzeczy. Jesteśmy bardzo chronione przed... hm... nieprzystojnymi widokami.

Pani Mulhaney przyłożyła dłoń do gardła.

- Wielki Boże! Cóż za ulga - powiedziała cicho. - Nie mieliśmy o tym pojęcia... i krążyły pewne plotki... Mój ojciec zawsze powtarzał, że kobieta nie powinna pracować poza domem. Potem, gdy mój mąż jeszcze żył, byłam jego praczką, sprzątaczką i kucharką... Nie miałam czasu ani ochoty wychodzić z domu.

- Wyprostowała jakieś niewidoczne fałdki na spódnicy i spojrzała na Tess z zawstydzeniem. - Nie znam nowoczesnych poglądów... nie wiem, jak ludzie się obecnie zachowują, ale uważam, że samotna dziewczyna nie powinna pracować w sklepie ani w szpitalu. To nierozsądne. - Zmarszczyła brwi i spytała wprost: - Tess, czy ty się nie boisz sama chodzić po mieście?

- Nie... przecież to Mike wszędzie mnie wozi - odrzekła dziewczyna. - Ma tyle lat, co miałby mój ojciec, gdyby żył. Stracił żonę i dziecko podczas epidemii grypy.... Wozi mnie do szpitala i z powrotem, a także na wszystkie spotkania na mieście. Zawsze ma przy sobie ogromną pałkę i twierdzi, że wie, jak się nią posługiwać.

W oczach pani Mulhaney pojawił się błysk zadowolenia.

- Mój Boże! - A po chwili dodała z wahaniem: - Bardzo tęsknisz za ojcem, prawda?

- Tak, bardziej, niż potrafię powiedzieć. Przez kilka lat pracowałam razem z nim... Moja mama umarła, gdy byłam jeszcze bardzo mała... ojciec był dla mnie wszystkim. Bardzo mi go brakuje.

- Przynajmniej masz tu kuzyna... zawsze to jakieś pocieszenie.

- Gospodyni wypowiedziała to tak, że zabrzmiało jak pytanie.

- Nie jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni. - Tess była zaskoczona, jak łatwo przychodzi jej okłamywanie starszej kobiety.

- Matt i ja jesteśmy przyjaciółmi... bardzo miło z jego strony, że pozwolił mi tu przyjechać i zamieszkać blisko niego. Ale muszę sama zarabiać na własne utrzymanie - dodała poważnie. - Ojciec nie zostawił mi żadnych pieniędzy, a nie mam żadnych innych krewnych.

- Ojej! Nie miałam pojęcia, że tak sprawy stoją - mruknęła pani Mulhaney najwyraźniej zszokowana. - Myślałam, że pracujesz po to, by podkreślić swoje... polityczne poglądy... na temat emancypacji kobiet... Nie wiedziałam...

- Bardzo się cieszę. Kiedy tu wbiegłaś dziś wieczorem, cała zapłakana i potargana... wyglądałaś na okropnie nieszczęśliwą! - Pani Mulhaney roześmiała się nieco nerwowo. - Pewnie mi nie uwierzysz, ale przez chwilę sądziłam, że stałaś na zewnątrz z mężczyzną... no, wiesz. Jaka ja jestem niemądra... wszak był z tobą tylko pan Davis! Twój kuzyn! - Na szczęście w tej chwili była zajęta wkładaniem naczyń do zlewu, więc nie widziała miny Tess.

- W rzeczy samej, to niemądre - mruknęła dziewczyna słabo. - Dobranoc, pani Mulhaney... Jeszcze raz pani dziękuję.

- Nie ma za co, moja droga. Śpij dobrze.

- Wzajemnie.

Tess szybko weszła po schodach na piętro i bez wahania skierowała się do swego pokoiku, jednak bardzo długo miała kłopoty z zaśnięciem. Na ustach czuła pocałunki Matta... jej ciało płonęło na myśl o jego pieszczotach. Była niespokojna i stęskniona. Zamykając oczy widziała twarz Matta... słyszała jego urywany oddech... czuła jego ręce na swoim ciele...

Schowała głowę pod poduszkę. Nie chciała o tym myśleć... wiedziała, że jak najszybciej powinna zapomnieć... bo Matt pewnie właśnie tak zrobi. Stracił panowanie nad sobą i stało się coś, czego żadne z nich się nie spodziewało. To wszystko. Poza tym tak długo mieszkając w wielkim mieście, na pewno był już z niejedną kobietą i podobne incydenty często mu się zdarzały.

Jęknęła i rozplakała się. Twarz jej płonęła, a na samą myśl o Macie w ramionach innej kobiety robiło jej się niedobrze.

Zamknęła oczy i zaczęła powoli recytować alfabet... jednak minęło jeszcze sporo czasu, zanim zasnęła.

Tess obudziła się zmęczona i niewyspana, co było po niej widać, gdy zeszła na dół na śniadanie. Napotkawszy uważne spojrzenie czarnych oczu Matta, zaczerwieniła się gwałtownie. Zdenerwowana tym, że siedzi dokładnie naprzeciw niego za stołem, nie potrafiła powstrzymać drżenia rąk. Wystarczyło, by na niego spojrzała, a już serce waliło jej jak szalone. Brak samokontroli i wspomnienie wydarzeń poprzedniego wieczora omal nie doprowadziły jej do łez. Jakież to upokarzające kochać mężczyznę, który nie odwzajemnia twoich uczuć, i nie umieć tego przed nim ukryć!

Matt zachowywał się jak co dzień, pomijając fakt, że wsypał dwie łyżeczki cukru do kawy, której nigdy nie słodził, i że zjadł aż cztery kanapki z szynką, której nie znosił. Było jednak oczywiste, że w odróżnieniu od niej doskonale nad sobą panuje.

Kiedy jednocześnie sięgnęli po solniczkę i ich dłonie się spotkały, Tess miała wrażenie, że uderzył w nią grom.

Najwyraźniej Matt chciał udawać, że nic się między nimi nie wydarzyło; był uprzejmy jak co dzień i wychodząc do pracy życzył jej miłego dnia. Zupełnie jak gdyby była obcą osobą, którą przed chwilą spotkał na ulicy.

Tess odpowiedziała mu w podobnym tonie, po czym udała się do szpitala, starając się nie myśleć i wydarzeniach poprzedniego wieczora i o pocałunkach, jakie wymienili.

Przez następne kilka dni Tess musiała jakoś nauczyć się żyć z pragnieniami, jakie w niej rozbudził. Cierpiała okropnie, lecz najgorsze było dla niej to, że Matt zdawał się w ogóle nie pamiętać tego, co między nimi zaszło.

Mając umysł całkowicie zaprzątnięty samobójstwem Marsha Bailey'a i okrutnym zachowaniem Matta, Tess niewiele myślała o swojej przyjaciółce Nan, ale gdy w następny czwartek udała się na spotkanie sufrażystek, z zaskoczeniem zobaczyła przyjaciółkę siedzącą w powozie Mike'a Kennedy'ego.

- Nan! - wykrzyknęła, kiedy Mike pomógł jej wsiąść do środka. - Słyszałam, że nie będziesz już więcej przychodzić na nasze zebrania! Co się stało?

- Właściwie nie jadę na zebranie - odparła Nan drżącym głosem. - Dennis znowu mnie pobił i wywiązała się z tego potworna awantura. Zamierzam spotkać się z moją siostrą i jej mężem... zamieszkać z nimi.

- Nie rozumiem. Przecież mówiłaś, że on cię nie bije... Nan odsunęła włosy z twarzy.

- Kłamałam - odparła wprost, choć widać było, że jest przerażona. - Bałam się go i kłamałam... Myślałam, że to się kończy... ale teraz wszystko się zmieniło.

- Co się stało? - powtórzyła Tess, widząc zmęczoną twarzyczkę przyjaciółki, jej podkrążone oczy i ziemistą cerę.

- Koniec świata. - Nan roześmiała się niewesoło. - Ale teraz mam dla kogo żyć... Wreszcie zdobyłam się na odwagę, by opuścić Dennisa... nie pozwolę, by mnie dalej krzywdził.

- Wspaniale! - zawołała Tess. Nan westchnęła i oparła się ciężko o poduszki powozu. - Miałam okropne wyrzuty sumienia - przyznała po chwili. - Nie śmiałam ci o niczym mówić, bo nie byłam pewna twojej reakcji. Nie byłam pewna, czy powinnam ci ufać... Ukrywałam się jak złodziej, ale z tym już koniec. - Spojrzała wyzywająco na Tess. - Muszę ci o czymś powiedzieć... Może mnie za to znienawidzisz... może nie będziesz się chciała ze mną przyjaźnić...

Tess położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki i uściśnęła mocno.

- Nic nie może nas rozdzielić.

- Spotykałam się z pewnym mężczyzną - wypaliła niespodziewanie Nan. - Nie planowałam tego... on też nie. Tak się po prostu stało. Przez kilka tygodni mówiłam Dennisowi, że idę na zebrania z tobą, ale chodziłam do niego. A teraz Dennis się o tym dowiedział. Zaprosił... mojego przyjaciela... na kolację, nawet mnie nie uprzedzając. Musiałam przyrządzić posiłek i siedzieć z nimi przy stole. Aż nagle Dennis poderwał się, zaczął nas przeklinać... a potem mnie uderzył. On i... mój przyjaciel, pobili się. Dennis przysięgł, że mnie zabije, jeżeli jeszcze kiedykolwiek się z nim spotkam. Nie mogę ci powiedzieć jego nazwiska. Obiecałam, że tego nie zrobię... Nie gniewaj się na mnie, Tess, ale po prostu nie mogę. On mi pomógł wydostać się od Dennisa, zaaranżował całą tę sprawę z moją siostrą i załatwił, by Mike po mnie przyjechał... Ja już nigdy nie wrócę do Dennisa, Tess., Nigdy! Wolę żyć w hańbie, albo w ogóle nie żyć, niż zgadzać się na takie poniżanie! Tym bardziej teraz. Mój przyjaciel powiedział, że mi pomoże. On nie boi się Dennisa... mówi, że zna go doskonale... - Zaciśnęła dłonie w pięści i spojrzała na przyjaciółkę przez łzy. - Dennis to zły człowiek, Tess, bardzo zły... Ludzie nie doceniają potęgi zła czającego się w nim, bo nie wiedzą, jak jest... kiedy zażywa... to słońce. Mówi, że to jego „lekarstwo”... ale on od tego dostaje napadów szału.

Tess domyśliła się, że Nan mówi o opium, lecz nie powiedziała tego głośno.

- Czy twoja siostra może zapewnić ci opiekę? - zapytała.

Jego ramię pod jej palcami wydawało się jak wyrzeźbione z drewna; nawet na nią nie spojrział. Odizolował się od niej tak kompletnie, jak gdyby był jednym z tych drewnianych posągów, jakie można spotkać przed sklepami z tytoniem. Nic do niego nie docierało.

- No, dobrze - powiedziała wreszcie, rozluźniając uchwyt. - Wygrałeś. Będziemy udawać, że nic nie powiedziałam.... Nie chcesz rozmawiać ze mną o sprawach osobistych? Postaram się zapamiętać to na przyszłość.

Zostawiła go stojącego na ganku i weszła do domu, świadoma wpatrujących się w nią oczu. Może właśnie spaliła za sobą mosty? Ale teraz to i tak nie miało już żadnego znaczenia... Matt dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce z nią rozmawiać. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy; że tak bardzo zależy jej na bliskości między nimi... Za dawnych czasów Matt zachowywał się czasem tajemniczo, ale zawsze był ciepły i przyjacielski. Choć z drugiej strony, wtedy jeszcze nie przedstawiała żadnego zagrożenia dla dorosłego wojownika. Jej dziewczęcość i niedojrzałość pewnie go tylko bawiły, ale teraz dorosła i wszystko się zmieniło.

Tess poszła prosto do swego pokoju, zdjęła płaszcz i kapelusz i usiadła w niewielkim bujanym fotelu, stojącym obok okna. Kiedy po raz pierwszy zjawiała się w Chicago, Matt zauważył jej fizyczną zmianę. Niestety teraz zaczął postrzegać ją jako zagrożenie, dla jego równo poukładanego życia i spokoju umysłu. A to oznaczało, że nie będzie z nią więcej rozmawiać, nie będzie się z nią przekomarzać ani zabierać na lody do kawiarni. Będzie ją trzymać na odległość ramienia... dosłownie i w przenośni. Już nigdy nie pozwoli się do siebie zbliżyć.

Był to ciężki cios dla jej kobiecej dumy i niedoświadczonego serduszka. Matt tak długo był nieodłączną częścią jej życia, że teraz bardzo trudno będzie jej odnaleźć się w świecie bez niego. Ale on dał jasno do zrozumienia, że nie chce jej w swoim życiu i nie pragnie utrzymywać z nią bliskich stosunków. Niech więc i tak będzie.

Zaczęła wątpić w swój zdrowy rozsądek: po co w ogóle przyjeżdżała do Chicago? Nie miała prawa nakładać na Matta obowiązku zajmowania się nią tylko z tego powodu, że kiedyś byli przyjaciółmi. Nawet się nie zastanawiała, jak jej przyjazd do miasta wpłynie na jego życie. Pewnie, że czuł się za nią odpowiedzialny: wszak jej ojciec uratował mu życie, a ona pielęgnowała go przez wiele miesięcy... Czuje się w obowiązku zajmować nią... Ale któż by chciał litość, zamiast miłości? Poczucie obowiązku, zamiast szczerzej sympatii?

Może i Matt nie chce się nią na stałe zajmować, ale to przecież wcale nie przekreśla ich przyjaźni... Ani nie zmniejsza jej miłości do niego.

Postąpiła niesłusznie, bezmyślnie i nieodpowiedzialnie. A teraz musi znaleźć jakiś sposób, by to naprawić.

Jak zwykle ostatnimi czasy Tess nie spała dobrze; następnego dnia rano poszła do pracy niewyspana i zdenerwowana po nocy spędzonej na samooskarżeniach. Wychodząc z domu nie spotkała Matta, ale miała nadzieję, że pójdzie na posterunek policji, zanim Nan stanie się coś złego.

Tess starała się szybko i sprawnie wykonywać swoje obowiązki, gdyż była świadoma, że przełożona na jej oddziale niezbyt ją lubi.

Panna Fish, znana wszystkim jej podwładnym jako „Barrakuda”, lubiła sprawdzać czystość parapetów i nocnych szafek, do której to czynności specjalnie zakładała białe rękawiczki. Zawsze sprawdzała, czy narzędzia medyczne zostały odpowiednio długo wygotowane po ostatnim użyciu, czy wszystkie prześcieradła są wykrochmalone, a koce złożone jak należy. Sama tak bardzo krochmaliła swoje spódnice, że szeleściły przy każdym jej kroku; na głowie zawsze nosiła wysoki czepiec, podobnie jak wszystkie inne pielęgniarki w szpitalu. Była chlubą swojej profesji i okropnym tyranem dla podwładnych.

Tess z nostalgią wspominała dni, kiedy pracowała wraz z ojcem; wtedy nie było w okolicy żadnej panny Fish, która doprowadzałaby ją do szaleństwa; miała czas, by okazać zainteresowanie i współczucie pacjentom. Tutaj dni wypełnione były tak ogromnym natłokiem zajęć, że Tess biegała od jednego pacjenta do drugiego, nie pamiętając nawet ich imion.

Kiedy skończyła liczyć po raz drugi wysterylizowane narzędzia - pierwsze liczenie nie usatysfakcjonowało panny Fish - wróciła na swój oddział... i niespodziewanie stanęła nos w nos z Mailem.

Jeszcze nigdy dotąd nie widział jej w pielęgniarskim kitlu i teraz przyglądał się jej z uwagą. Mimo iż serce waliło jej jak oszalałe, odwzajemniła spojrzenie Matta z całym spokojem, na jaki było ją stać.

- Nie powinieś tu przychodzić - powiedziała cicho. - Panna Fish dostanie ataku furii, jeżeli cię tu zobaczy.

- Kto?

- Panna Fish - powtórzyła Tess szeptem, po czym wyprowadziła nieproszonego gościa na korytarz. - Moja przełożona.

Matt rozejrzał się dokoła z niesmakiem.

- Co ty tu robisz całymi dniami?

- Dokładnie to samo, co robiłam w Montanie - odrzekła.

- Całymi tygodniami - odparł szczerząc zęby w uśmiechu. Zaraz jednak spoważniał i przeszedł do rzeczy: - Byłem dziś rano na posterunku policji. Nie chciałem tu przychodzić, zanim nie zdobędę jakichś optymistycznych wiadomości dla ciebie, lecz ponieważ tak się nie stało, tak czy inaczej przyszedłem.

- Czy chodzi o Nan? - zapytała Tess z przerażeniem w oczach.

- Czy coś się jej stało?

- To zależy, z której strony na to spojrzysz. - Odetchnął głęboko. - Nan jest w więzieniu.

Sens tego, co powiedział Matt, dotarł do Tess dopiero po dłuższej chwili.

- W więzieniu? - powtórzyła. - Nan jest w więzieniu? Dlaczego?

- Pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia - odparł sucho.

- Dziś rano w mieszkaniu państwa Colier znaleziono Dennisa leżącego na podłodze z nożyczkami wbitymi w gardło. Nie żył.

Te słowa go zaboląły; wiedział, że odsunął ją od siebie, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że sprawy zaszyły aż tak daleko. Tess była całą jego rodziną. Kuzynów mieszkających w Montanie nie widział od tak dawna, że nie poznałby ich na ulicy.

- Porozmawiamy o tym później - powiedział, a potem wskazał na pannę Fish: - Lepiej pójde sobie, zanim narobię ci kłopotów u przełożonej.

- Masz rację... ona nie jest zbyt wyrozumiała ani cierpliwa. Odszedł parę kroków w głąb korytarza, po czym odwrócił się do niej raz jeszcze:

- Tess, nie chodź sama do więzienia. Oprócz twojej przyjaciółki są w nim zamknięci wyjątkowo nieprzyjemni kryminaliści. Jeżeli chcesz odwiedzić Nan, powiedz mi, to pójde z tobą.

Tess uniosła podbródek i już chciała zacząć nową kłótnię, gdy uświadomiła sobie, gdzie się znajduje.

- O tym też porozmawiamy później - odrzekła słodko. Matt westchnął i uchylwszy kapelusza, ruszył w stronę drzwi.

Kiedy tylko się za nim zamknęły, panna Fish podeszła do swojej podwładnej.

- Skoro nie ma na razie nic do roboty, wysterylizuj gazę, Meredith - powiedziała krótko.

- Dobrze, panno Fish. - Tess z trudem powstrzymała westchnienie. Sterylizowanie gazy było trudne, gdyż należało w odpowiednich proporcjach zmieszać jodynę, glicerynę, alkohol i eter, potem do roztworu wrzucić gazę i tak długo mieszać, aż uzyska równomierne zabarwienie. Poza tym trzeba było pracować szybko i sprawnie, by spreparowaną gazę powkładać do zakręcanych, szklanych stoików. Było to jedno z najtrudniejszych i najbardziej niechętnych zajęć w szpitalu.

- Meredith, czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad zrobieniem oficjalnego kursu? - zapytała nagle przełożona. - Jak pewnie wiesz, w naszym szpitalu pracuje kilka dziewcząt, które ukończyły Szkołę Pielęgniarską, zarabiają znacznie więcej niż ty teraz. Masz niezbędne kwalifikacje, by uzyskać dyplom, a podejrzewam, że lata pracy z ojcem też zostałyby ci policzone.

- Nigdy o tym nie myślałam, ale wiem, że mogłoby mi się to podobać - przyznała Tess. - Lubię zajmować się chorymi... zupełnie nie widzę się w żadnym innym zawodzie.

- Tak, zauważyłam, z jakim oddaniem pracujesz. Poza tym, większość atrakcyjnych dziewcząt w twoim wieku jest już mężatkami. Ty nie planujesz ślubu w niedalekiej przyszłości? Nie masz narzeczonego?

Tess zmarkotniała.

- Nie, panno Fish - odrzekła smutno. - Nie mam żadnych planów... - I to była prawda. Ponieważ Matt nie chciał się z nią ożenić, nigdy nie wyjdzie za nikogo innego. Zdawało się, że panna Fish nieco złagodniała.

- Jeżeli kiedyś zdecydujesz się na taki kurs, przyjdź do mnie. Znam kierownika jednej z takich szkół, a poza tym, dam ci doskonałe referencje.

- To bardzo miłe z pani strony. - Tess uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Bardzo dziękuję.

- Pomimo braku formalnego wykształcenia, jesteś wyjątkowo uzdolniona i inteligentna. Pracujesz ciężiej niż większość moich podwładnych i nigdy nie wykręcasz się od obowiązków. Takie rzeczy się zauważa - odrzekła starsza kobieta. Potem dodała: - A teraz wracaj do swoich obowiązków, Meredith. Kiedy już skończysz z gazą, przygotuj plaster rozgrzewający dla dziecka Watkinsonów.

Wszyscy w szpitalu lubili dziesięcioletniego chłopczyka leżącego na oddziale dziecięcym; miał uciążliwe zapalenie płuc, które zupełnie nie chciało się leczyć.

Tess obawiała się, że może to początki gruźlicy, lecz lekarze, na szczęście, nie znaleźli żadnych objawów potwierdzających tę diagnozę.

Billy był słabym i chorowitym dzieckiem, a w dodatku rodzice nigdy go nie odwiedzali. Mieli pięcioro innych dzieci, z których on był najmłodszy, i oboje pracowali w fabryce odzieżowej. Tess spotkała ich tylko raz i wydali się jej zimnymi ludźmi pozbawionymi rodzicielskich uczuć. Ku wielkiemu zgorszeniu lekarzy pielęgniarki rozpieszczały pogodnego Billy'ego, a nawet surowa i ponura panna Fish nieraz przynosiła mu miętowe czekoladki.

- A jak tam jego płuca? - spytała teraz Tess.

- Przynajmniej nie gorzej - odparła panna Fish bezosobowym tonem. - Wracaj do pracy.

- Oczywiście, panno Fish.

Następnego dnia, w sobotę, Tess miała wolne. Wstała wcześniej rano i w salonie na dole czekała na Matta; chciała być pewna, że spotka go, zanim wyjdzie do pracy, a obawiała się, że nie zostanie na śniadaniu. Nie siedziała na sofie nawet pięciu minut, gdy usłyszała jego kroki na schodach. Spojrzał na nią z niepokojem.

- Wychodzisz? - spytał, widząc, że ma na sobie elegancki czarny kostium i białą bluzkę. Skinęła głową. - Dokąd?

Tess spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

zaczerwienione oczy. - Panie Davis, przecież jeżeli nie udowodnię im swojej niewinności, powiesz mi jak psa!

- Żaden sąd nie skaze na śmierć kobiety przy nadziei - odparł pośpiesznie Matt.

- Może ich to nic nie obchodzić - jęknęła Nan. - Będą uważać, że jestem nie lepsza od tych dziewcząt w burdelach... Sędziami przysięgłymi mogą być tylko mężczyźni, a tacy na pewno mnie skarżą!

- Cicho już, cicho - zamruczała Tess podchodząc do Nan i mocno ujmując dłonie przyjaciółki. - Nie wolno ci tak myśleć. Pamiętaj o dziecku i nie martw się... I Matt, i ja robimy wszystko, co w naszej mocy, by ci pomóc. - Uśmiechnęła się. - Skrzyknę nasze dziewczęta... wszystkie bardzo cię lubią i na pewno żadna z nich nie wierzy w twoją winę. Może będziemy mogły jakoś ci pomóc.

- One nie zechcą mi pomóc, gdy dowiedzą się o dziecku - odparła Nan łamiącym się głosem.

- Nan, ależ niektóre z nich krzyczą o tym, jak to kobiety powinny mieć prawo do rodzenia dzieci poza związkami małżeńskimi! Uważają że w ogóle nie powinnyśmy wychodzić za mąż!

- Tak, a mężczyźni należy trzymać tylko do rozplodu, a potem trzeba zaraz ich zabijać, bo w przeciwnym razie... - wtrącił Matt ponuro, lecz Tess zaraz mu przerwała.

- Matt, jak możesz?!

Nan także usiłowała się uśmiechnąć.

- Tess, on ma rację... słyszałam, jak jedna z dziewcząt mówiła kiedyś coś podobnego. Jestem pewna, że tylko żartowała - dodała pośpiesznie patrząc z niepokojem na pana Davisa.

- Mną niech się pani nie przejmuję - odrzekł spokojnie.

- Lata słuchania opinii Tess uodporniły mnie na wszelkie tego typu uwagi.

- Zgadza się, że niektóre z naszych towarzyszek mają dość radykalne poglądy - odezwała się Tess. - Czasem słyszy się opinie, że najlepszy pomysł na życie miały Amazonki... a mężczyźni powinno się trzymać na smyczy lub w klatce. Matt roześmiał się cicho.

- Podejrzewam, że jesteś zwolenniczką tej teorii. Może nawet uważasz ją za racjonalną.

- Dla ciebie trzeba by zrobić ogromną klatkę - odparła zerkając na niego spod oka.

Nan popatrzyła na nich niespokojnie. Mięła w dłoniach róg spódnicy. . - I co my teraz zrobimy?

- Niech się pani o to nie martwi - odrzekł poważnie Matt. Proszę pamiętać, że jesteśmy po pani stronie. Niestety na razie nie możemy pani stąd wyciągnąć. Jestem pewien, że gdyby istniała taka możliwość, pani szwagier już dawno by to załatwił.

- Apelowali do sędziego, ale ponieważ chodzi o morderstwo, nawet nie było mowy o kaucji - powiedziała Nan ponuro kiwając głową. Potem spojrzała na Tess. - Mogłabyś znaleźć dla mnie jakieś książki do czytania? Mam tu stanowczo za dużo czasu... a moje myśli nie są najweselsze. Albo może mogłabyś przynieść mi tu wełnę i druty?

- Zobaczę, czy mi się uda to tu przeszmulować - obiecała Tess.

- Panie Davis, niech pan poprosi mojego szwagra, by tu do mnie zajrzał. Bardzo boję się tego strażnika... on jest... strasznie natarczywy, a jego uwagi robią się coraz śmielsze.

Matt spojrzał na nią ponuro.

- Niech się pani nie martwi. To da się załatwić. Tess, musimy już iść.

Dziewczyna poklepała przyjaciółkę po chudziutkim ramieniu.

- Jeżeli przyjdzie ci do głowy coś, co mogłoby nam pomóc, daj nam znać.

- A najlepiej mi - wtrącił Matt. - Nie pozwolę, by Tess przychodziła tu sama... i nie mam zamiaru dyskutować na ten temat - dodał unosząc dłoń, gdy Tess właśnie chciała zacząć się z nim kłócić.

- Drań! - sapnęła ze złością.

- Nie... pan Davis wcale nie jest draniem - powiedziała Nan cichutko. - Bardzo wam dziękuję za pomoc... i życzliwość. Nie zasługuję na nie... tym bardziej po tym, co cię przeze mnie spotkało, Tess. Proszę, uwierz mi, że gdybym mogła to odwrócić...

- Oczywiście, że ci wierzę,, przecież jesteś moją przyjaciółką - odparła pospiesznie Tess. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc.

- Jest jeszcze coś - rzekła Nan wstając nagle. - Do tej pory nie chciałam go w to mieszać, ale... ojciec mego dziecka może wam pomóc w odnalezieniu zabójcy Dennisa, To on zabrał mnie stamtąd, gdy Dennis mnie pobił. Wiem, że to nie on zabił mojego męża, ale ma różnych znajomych i może...

Widząc niepewność Nan, Matt rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- Kto to taki? - spytał. Nan skrzywiła się lekko.

- Pewnie o nim słyszeliście. Zna go większość mieszkańców Chicago,.. - Przynęła się do nich i dodała cichutko, by nikt niepowołany jej nie usłyszał: - Nazywa się Jim Kilgallen, lecz wszyscy znają go jako Diamentowego Jima.

Matt spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Wielki Boże!

- Znasz go? - zapytała ciekawie Tess.

- A kto go nie zna? - mruknął. - To on kontroluje większość ciemnych sprawek w Chicago... choć słyszałem, że nigdy nie macza palców w handlu żywym towarem. Jest właścicielem kilku saloonów, dwóch rozlewni alkoholu i największej rzeźni w mieście. - Popatrzył na zarumienioną Nan. - Czy pani mąż prowadził z nim jakieś interesy?

Zawahała się, lecz po chwili skinęła głową.

- Tak się poznaliśmy. Kilka razy przychodził do nas do domu... a raz podczas jego wizyty Dennis mnie uderzył. - Znowu usiadła na pryczy. - Odciągnął Dennisa ode mnie i zagroził mu, że jeżeli jeszcze kiedykolwiek mnie uderzy, znajdą go w rzece z poderżniętym gardłem. - Widząc wyraz twarzy Matta, Nan potrząsnęła głową i dodała pospiesznie: - Nie, Jim Kilgallen nie splamiłby sobie rąk krwią Dennisa. Gdyby chciał się go pozbyć, dałby mu pieniądze i wysłał do Nowego Jorku albo do Miami... albo może zmusiłby go, żeby się ze mną rozwiódł. On nie zabija swoich przeciwników.

- Jest pani tego całkowicie pewna? Chce pani ryzykować dla niego własne życie? - nalegał Matt.

- Tak, jestem tego pewna. Poza tym Jim nic nie wie o dziecku. Nie zdążyłam mu powiedzieć... - Wzdrygnęła się. - Nie miałam zbyt wiele czasu na zastanowienie się. Najpierw chciałam uciec od Dennisa, potem chciałam jakoś zdobyć rozwód... i dopiero po rozwodzie planowałam powiedzieć Jimowi o dziecku... by mógł spokojnie zdecydować, czy chce się ze mną ożenić... czy chce mieć to dziecko. On nigdy nie był jeszcze żonaty, choć zawsze kręci się dokoła niego całe mnóstwo pięknych dziewczyn... o wiele ładniejszych ode mnie. Ojej! Jakie to wszystko okropne! Moja matka wychowała mnie na porządną dziewczynę, dlaczego tak marnie skończyłam?

Matt, który widział już niejedną panienkę z dobrego domu kończącą w burdelu, nie odezwał się ani słowem. Natomiast Tess spojrzała na przyjaciółkę ze łzami w oczach.

- Nie poddawaj się! Obiecuję, że ci pomożemy!

- Chciałabym być tak silna jak ty, Tess - wykrztusiła Nan przez łzy. - Ja nigdy nie byłam mądra.. Wysłałam za mąż za Dennisa, bo wydawał się taki miły! A potem, po dwóch tygodniach małżeństwa, pobił mnie, bo przypaliłam grzanki na śniadanie.

- Już wtedy powinnaś była rozbić mu głowę siekierą! - powiedziała Tess z furją.

- Miałam zaledwie siedemnaście lat! Ojciec bił często i mnie, i moją matkę, gdy byłyśmy mu nieposłuszne, więc chyba po prostu przyzwyczaiałam się do tego, że mężczyźni

biją kobiety. - Spojrzała na przyjaciółkę z zaciekawieniem. - Czy nie wszystkie dziewczyny dostają baty?

- Mnie ojciec nigdy nie bił - odrzekła Tess. - Mój ojciec był wyrozumiałym i łagodnym człowiekiem... takim, jak Matt — dodała, nawet na niego nie patrząc.

- Oj, nie sądzę, by pan Davis był taki znowu łagodny - mruknęła Nan wycierając oczy.
- Czy łagodny człowiek nosi w mieście nóż myśliwski przytroczony do pasa?

- Aleja nigdy nie biję słabszych - zapewnił ją Matt, po czym obrócił się do Tess. - A teraz naprawdę musimy już iść. Mamy mnóstwo pracy.

- Bardzo dziękuję, że mnie odwiedziliście - powtórzyła Nan. W jej oczach palił się strach, ale i rezygnacja. Widać było, że nie liczy na szybkie wyjście z więzienia, chyba że na szubienicę.

Matt kazał Tess poczekać na dziedzińcu więzienia, podczas gdy sam rozmówił się ze strażnikiem. Gdy dołączył do niej kilka minut później, w jego oczach nadal palił się ogień.

- Powinni byli zamknąć ją w więzieniu dla kobiet, albo przynajmniej przydzielić jej strażniczkę - burknął. - Porozmawiam z Greenem i zobaczę, co on zdziała... Ten strażnik to drań!

- Co ci powiedział? - zapytała.

- Nieważne. - Zrównali krok, a po chwili Matt dodał: - Nie przychodź tu sama.

Spojrzała na niego przerażona.

- Czy Nan jest z nim bezpieczna?

- Teraz już tak - odrzekł krótko. - Nie będzie ryzykował ponownego spotkania ze mną. Naczelnik policji jest moim dobrym znajomym i jeżeli go tylko o to poproszę, zamknie drania w tym samym więzieniu, w którym teraz pracuje.

- I bardzo dobrze! - W głosie dziewczyny słychać było zawziętość.

- Ale twoja przyjaciółka wpadła w tarapaty po same uszy - kontynuował. - Nie wiem, jak uda nam się ją ocalić od stryczka. Miała niezły motyw, nikt nie może jej zapewnić alibi na czas, gdy jej mąż został zamordowany, no i jest kobietą. To wystarczy, by ława przysięgłych złożona z mężczyzn uznała ją za winną.

- To nie jest w porządku!

- A co na tym świecie jest w porządku? Zatrzymali się na rogu ulicy.

- A co z Diamentowym Jimem Kilgallenem?

- Może i prowadzi brudne interesy, może i zabija ludzi, ale na pewno nie robi tego za pomocą nożyczek. Narzędzie zbrodni dość jednoznacznie wskazuje na kobietę. To kolejny argument przeciwko Nan.

- Może jej mąż miał kochankę?

- Może.

- Albo ktoś chciał, by wszystko wyglądało tak, jakby to Nan go zamordowała?

- Nie sędzę.

- Niby dlaczego?

Ujął ją pod ramię i poprowadził na drugą stronę ulicy.

- Bo żeby kogoś zrobić w coś podobnego, trzeba go bardzo nienawidzić, a Nan nie wydaje mi się osobą, która miałaby sporo wrogów. - Widząc jej zdziwioną minę, wyjaśnił: - Pomyśl tylko: ty sama niezbyt lubisz kobiety jako takie, z Nan od razu się zaprzyjaźniłaś. Już teraz rozumiesz?

- Tak. - Uśmiechnęła się ponuro. Szli teraz obok siebie w milczeniu, każde pograżone we własnych myślach. Po dłuższej chwili, zapytała: - Czy Diamentowy Jim nie mógł komuś zlecić zamordowania Dennisa Coliera?

- Oczywiście, ale do takiej roboty wysłałby mężczyznę, który załatwiłby sprawę nożem albo użyłby rewolweru. Nigdy nożyczek.

Tess musiała z tym zgodzić.

- Jeżeli Colier miał gdzieś na boku kochankę i ostatnio z nią zerwał, to byłby to jakiś motyw.

- Niestety, nie mamy na to żadnego dowodu. Domysły nic nam w sądzie nie pomogą. Żeby wybronić Nan, musimy zdobyć porządne dowody i świadków.

- A to nie będzie takie proste. - Tess skrzywiła się mocno.

- Czy zaprosisz mnie do swego biura?

- Naprawdę chcesz je zobaczyć?

- Tak, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Nikogo tam nie ma... większość moich agentów pracuje w terenie...

- A masz sekretarza?

- Tak... ma na imię Garner i przeszedł wraz ze mną z Agencji Pinkertona. Jest wspaniały.... szybko pisze, a na dodatek wszystko można potem odczytać.

- Jeżeli to ma być przytyk do tego, że ja piszę jak kura pazurem, to przypominam ci uprzejmie, że nigdy nie miałam czasu na kaligrafię. Musiałam zapisywać wszystkie polecenia ojca, a on był wyjątkowo niecierpliwy.

Matt uśmiechnął się na wspomnienie Harolda Mereditha.

- To był dobry człowiek... Bardzo mi go brakuje.

- Mnie też... - szepnęła cichutko. - W Montanie byłam bez niego taka samotna, że czasem myślałam, iż nie wytrzymam!

- Zawahała się krótko, po czym dodała patrząc mu w oczy. - Ale powinnam była się chwilę zastanowić, zanim wdarłam się do twojego życia. Wiem, że bardzo chcesz się mnie pozbyć... pierwszym pociągiem odesłać z powrotem do Montany. Przepraszam, że narobiłam takiego bigosu.

- Jakiego bigosu? O czym ty mówisz?

- O twoim życiu, Matt - odrzekła smutno. - O zamieszaniu, jakie do niego wprowadziłam. Wiem, że cię krępuję... czasem przynoszę ci wstyd przed znajomymi...

- Co też ty opowiadasz?! Mnie nic nie krępuje. Poza tym lubię twoje towarzystwo. Nigdy nie należałaś do tego typu kobiet, które wiecznie siedzą w domu i robią na drutach! Nie byłabyś sobą, gdybyś od czasu do czasu nie zrobiła czegoś szalonego.

- I twoja gospodyni mnie nie lubi.

- Mnie też nie, ale jak długo płacę czynsz, może mnie sobie nie lubić. Jeżeli mnie wyrzuci, znajdę sobie pokój gdzie indziej. Chicago to duże miasto.

- Zauważyłam. Więc jak pomożemy Nan?

- Znajdziemy zabójcę jej męża.

- Razem? - Uśmiechnęła się promiennie. Matt przekrzywił głowę i spojrzał na nią ponuro.

- A czy dasz się odwieść od pomysłu pomagania mi?

- Oczywiście, że nie!

- W takim razie musisz obiecać, że będziesz bez szemrania spełniać moje rozkazy... tak samo jak wszyscy moi podwładni.

Tess uśmiechała się promiennie. Obudziło się w niej pragnienie przygody, jakiego nie zaznała od lat.

- Doskonale, szefie! - wykrzyknęła. - Tylko mi powiedz, co mam robić!

Biuro Matta zrobiło na Tess wielkie wrażenie; w głównym gabinecie stało ogromne biurko, a za nim obrotowy fotel. Fotele obite były ciemnoczerwonym aksamitem, dopasowanym kolorem do wiśniowych zasłon na oknach. Na ścianie wisiał staroświecki zegar z kukułką, a na podłodze leżał wspaniały perski dywan w przepięknym ciemnowiśniowym kolorze. Na ścianach widniały fotografie Matta z różnymi znanymi osobistościami Chicago, ale nie tylko: na jednym zdjęciu Matt stał obok uśmiechniętego Theodora Roosevelta!

- Znasz prezydenta! - wykrzyknęła Tess patrząc z podziwem na fotografię.

- Nie jest, co prawda, moim osobistym przyjacielem, ale spotkaliśmy się kilkakrotnie.

Dziewczyna podeszła do ściany i przeczytała dedykację w rogu zdjęcia: „Dla Matta od Teddy'ego”.

- Jakoś nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jakich ludzi spotykasz w swojej pracy - odezwała się po chwili; potem przyjrzała się innym fotografiom i dodała: - Zdaje się, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat poznałeś całe mnóstwo sławnych ludzi.

- Pewnie tak - zgodził się spokojnie. Stał przy oknie z jedną dłonią wepchniętą w kieszeń spodni i wyglądał na ulicę. - Ale oni wszyscy noszą buty, mówią po angielsku i co rano czeszą włosy - dodał sucho.

Tess zarumieniła się słysząc te słowa.

- Zachowuję się jak typowy wsioch, prawda? Ale z drugiej strony, przecież jestem nieoświeconą wiejską dziewczyną, czyż nie? Przez większą część życia mieszkałam z ojcem zakopana w głuszy Montany... nigdy zbyt długo nie przebywałam w mieście.

- Jednak nieźle się do miejskiego życia zaadoptowałaś - odparł patrząc na nią spod zmrużonych powiek.

- Nie jestem o tym przekonana - rzekła marszcząc brwi. Matt spojrzał na nią swymi zagadkowymi czarnymi oczyma i uśmiechnął się lekko.

- Sam nie wiem, kiedy miła wiejska dziewczyna, jaką znałem dawno temu, wyrosła na damę z wyższych sfer, którą teraz widzę przed sobą.

Tess założyła ramiona na piersi i popatrzyła na niego wyzywająco.

- No i nie jestem już tak młoda, jak kiedyś... o czym niektórzy ciągle mi przypominają - dodała z odcieniem goryczy w głosie.

- Nie o to mi chodziło. - Zmarszczył brwi i podszedł do niej. - Jesteś teraz bardziej dojrzała... Zniknął gdzieś ten młodzieńczy bunt i gorący temperament.

- Nie warto tracić panowania nad sobą. Sam mnie tego nauczyłeś.

- Ale zbyt wielkie opanowanie też nie jest dobre - powiedział patrząc jej ponuro w oczy. - Masz przede mną sekrety, Tess... a były czasy, gdy mówiłaś mi o wszystkim.

Dziewczyna przeniosła wzrok na perski dywan pod stopami.

- Nie podobałyby ci się moje sekrety - odparła spokojnie, choć w środku gotowała się z wściekłości. Jak on śmiał powiedzieć jej coś podobnego?! Przecież to on trzymał ją na dystans... to on o niczym jej nie mówił... to on unikał rozmów z nią...

Matt zacisnął dłonie w pięści.

- Ty i ja byliśmy, i jesteśmy nadal, przyjaciółmi... ale teraz jesteś już dorosłą kobietą... i potrzeba ci czegoś więcej niż mojej przyjaźni.

Spojrzała na niego z gniewem w zielonych oczach.

- Niczego mi nie trzeba! - warknęła przez zaciśnięte zęby. - Oprócz twojej pomocy! Sama nie dam rady wyciągnąć Nan z więzienia! Musimy jakoś ocalić ją od stryczka, to teraz najważniejsze! Ale nie musisz mnie tak odpychać! Dostałam nauczkę i już nigdy więcej nie powtórzę tamtego błędu! - Odwróciła się na pięcie i szybko podeszła do drzwi. Matt patrzył za nią osłupiały. Tess spojrzała na mały zegareczek, który miała przypięty do stanika sukni. - Muszę wracać do szpitala., niedługo zaczynam służbę. Dziękuję, że pokazałeś mi swoje biuro... Było mi miło.

Skinęła uprzejmie głową i wyszła zamykając za sobą drzwi; sekretarza obdarzyła równie chłodnym i pospieszonym skinieniem głową, po czym ruszyła ku schodom.

Już na ulicy zatrzymała się na chwilę; tak naprawdę wcale nie musiała iść do szpitala - po prostu chciała uwolnić się od towarzystwa Matta. Poszła do parku i usiadła na małej ławeczce pod drzewem; przez długi czas przyglądała się gołębiom dziobiącym ziarno, które rzucali im przechodnie. Żałowała, że sama nie przyniosła okruszków chleba, by im dać. Była wykończona psychicznie... cały zapas energii zużyła na Matta, lecz do niego nic nie docierało. Był tak samo nieczuły, jak te gipsowe posąжки w parku. Zimny i obojętny.

Był człowiekiem, który nie ma własnego miejsca na ziemi. Zastanowiła się, czy jej ojciec naprawdę oddał mu przysługę, oddzielając go od braci i wysyłając do miasta, gdzie musi żyć wśród białych ludzi udając jednego z nich. Teraz już nie umiałby wrócić do życia w rezerwacie. Tess zastanawiała się, czy Matt wspomina dawne dni z nostalgią i tęsknotą. Jeżeli tak było, trzymał to w tajemnicy i nikomu się nie zwierzał.

Wreszcie wstała z ławki i poszła w kierunku stacji. Postanowiła, że pomoże Nan albo sama, albo razem z Mattem. W końcu nie była taka głupia i wiedziała, jak zabrać się do rzeczy.

Następnego dnia rano poszła do kamienicy, w której mieszkała Nan pod pretekstem roznoszenia ulotek o następnym spotkaniu kobiet domagających się równouprawnienia. Dało jej to sposobność wejrzenia w świat sąsiadów przyjaciółki.

W pierwszych dwóch mieszkaniach, do których zastukała, powitały ją przyjazne kobiety, natomiast drzwi trzeciego otworzył jej ponury mężczyzna, który stał w progu i nie chciał wpuścić jej dalej. Na szczęście zaraz pojawiła się jego żona, niepozorna kobietka o miłym uśmiechu, i zaprosiła ją do środka.

- Niech się pani nie przejmuj Humphreym, moja droga - powiedziała odsuwając męża na bok. - Odpoczywa w domu po ataku serca i jest zły, że nie może wrócić do pracy. Jest bednarzem... to nie jest ciężka praca, lecz doktor mu zabronił i już. Biedny Humphrey nie potrafi siedzieć beczynn timer domu.

- Jak większość mężczyzn - odparła Tess z uśmiechem. Podała kobiecie ulotkę i wyjaśniła, o co chodzi w emancypacji, a potem, przy okazji, wspomniała, że jedna z członkiń ruchu mieszka w tej właśnie kamienicy.

- Ma pani na myśli panią Colier, tak? - spytała kobieta ponuro potrząsając głową - Miłe dziecko, a ten jej mąż to taki łotr! Nieraz słyszeliśmy, jak na nią wrzeszczał, a ona tylko płakała. Kiedyś posłałam nawet Humphreya, by go uciszył. Biedactwo często chodziła okropnie posiniaczona. Nie wiem, jak ona mogła z nim wytrzymać. Zdaje się, że łajdak starał się nie bić jej po twarzy, by ludzie nie widzieli... ale nie zawsze nad sobą panował. A potem, ostatniej nocy! - Wzdrygnęła się. - Kiedy usłyszałam jego krzyki, nawet nie powiedziałam Humphreyowi, by poszedł go uciszyć... i dlatego znaleźli go dopiero rano. Może gdyby ktoś zajrzał tam wcześniej, biedaczysko żyłby jeszcze. Policjant, który tu był, powiedział, że słyszał przedśmiertny okrzyk pana Coliera..

Do końca życia tego nie zapomnę! Wykrzyknął jej imię... tylko jej imię, potem długo nic, aż wreszcie ten koszmarny wrzask!

- Czyje imię? - spytała łagodnie Tess.

- No, jak to? Swojej żony! Zawołał: „Nan!” a zaraz potem... - Nachyliła się ku Tess i dodała scenicznym szeptem: - Podobno zamordowała go nożyczkami!

- Widziała ją pani tego wieczora? - zapytała Tess natarczywie.

- Nie. Ale słyszałam kroki na schodach, a chwilę później odgłos otwierania wejściowych drzwi. Nawet nie przystanęła, by je zamknąć... Nie... nie widziałam jej, ale inni

widzieli i przysięgają, że to była kobieta. Biedny pan Colier! To nie był dobry człowiek, ale zabicie go to już przesada! Tak nie można!

Zdegustowana Tess wstała.

- Bardzo pani dziękuję.

- Ależ za co, moja droga? - zapytała kobieta patrząc na nią ze zdumieniem.

W tej samej chwili rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, a potem ciężkie kroki Humphreya w korytarzyku. Usłyszały jego gniewne mamrotanie, a po chwili uprzejme kasznięcie. Tess odwróciła się w chwili, gdy Matt stanął w drzwiach do pokoju.

- Chodźmy, Tess - rzucił krótko.

- To mój kuzyn - wyjaśniła dziewczyna. - Muszę już iść... Jeszcze raz dziękuję za rozmowę.

- Miło było mi panią poznać - odparła kobieta, po czym odprowadziła ich do drzwi i pomachała ręką na pożegnanie.

Matt uchylił kapelusza, rzucił Humphreyowi ponure spojrzenie i ująwszy Tess pod ramię, pociągnął ją korytarzem. Nie odezwał się do niej ani słowem, dopóki nie wyszli z domu i nie znaleźli się na ulicy.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?! Jak możesz sama chodzić do obcych ludzi? - W jego głosie nie było złości, tylko bezmierny chłód. Tess wolałaby, żeby na nią krzyczał.

- Przestań się wściekać - powiedziała zaciągając poły płaszcza. - Ja tylko przesłuchiwałam świadków. Ta kobieta, którą widziałeś, mówi, że słyszała, jak tuż przed śmiercią Colier wykrzyknął imię Nan... a potem wydał z siebie koszmarny wrzask. Podobno policjanci mówili, że to był jego przedśmiertny okrzyk. - Westchnęła ponuro. - Myślisz, że Nan nas okłamała?

Matt był na nią tak wściekły, że ledwo mógł się zmusić do odpowiedzenia na jej pytanie. Z wysiłkiem przełknął ślinę, powstrzymał złość i wetknąwszy dłonie do kieszeni płaszcza, spojrzał na nią z góry.

- Policja ustaliła, że tamtego wieczora Colier siedział w mieszkaniu po ciemku. Nie paliła się ani jedna lampa, ani świeca. Na stole, przy którym siedział, leżał rewolwer. Najwyraźniej czekał na kogoś, kogo zamierzał skrzywdzić. - Zobaczywszy, że Tess chce coś powiedzieć, uniósł dłoń. - Chwileczkę... daj mi dokończyć. Z tego rewolweru nikt nie strzelał. Colier położył go na stole i zapomniał o nim, gdy w drzwiach stanął gość. Ponieważ w mieszkaniu było ciemno, nie widział, kto wszedł do mieszkania. Pewnie sądził, że to jego żona. Znalaziono go leżącego nieopodal drzwi z nożyczkami wbitymi w gardło. Pierwszy cios przeciął tętnicę i Colier wykrwawił się na śmierć w ciągu zaledwie kilku sekund. - Tess

- W naszym szpitalu nie dzieje się nic takiego, co sugerujesz - powiedziała Tess lodowato.

- Ależ ja nic nie chciałem sugerować. - Nasunął kapelusz głębiej na oczy osłaniając się przed porywistym wiatrem. - Chcę, byś od tej pory mnie zostawiła przesłuchiwanie potencjalnych świadków.

- Znalazłam powód, by chodzić od drzwi do drzwi... Roznosiłam zaproszenia na wiec kobiet i...

Matt popatrzył na nią z jawnym podziwem.

- A niech mnie diabli! - mruknął cicho.

- Nie jestem idiotką Matt! Nie chodziłam od mieszkania do mieszkania i nie mówiłam: „Przyszłam do państwa, bo prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, więc powiedzcie mi wszystko, co wiecie na ten temat”.

- Widzę.

- Tak, czy inaczej, wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Wiesz, boję się, że to jednak Nan zabiła Dennisa! Wszyscy, z którymi dziś rozmawiałam, powtarzali, że miała mnóstwo powodów, by to zrobić. Wiedzieli, że on ją bije.

- Mam nieco inny pogląd na tę sprawę - rzekł Matt. - Chcę porozmawiać z Diamentowym Jimem.

- Zastrzeli cię, jeżeli oskarżysz go o morderstwo! - wykrzyknęła Tess z przerażeniem.

- Ależ ja nie zamierzam go o nic oskarżać. Poza tym nie mogę ot, tak sobie, po prostu, wejść do jego biura i zacząć zadawać mu pytania. Pomyślałem, że pójdę na organizowany przez niego bal dobroczynny. Zadziwiająco, że cały dochód z niego ma być przeznaczony na dotację dla sierocińca.

- Pójdiesz sam? Uśmiechnął się lekko.

- To by wyglądało podejrzanie. Nieczęsto chadzam na tego typu imprezy, więc gdybym przyszedł sam, Diamentowy Jim pomyślałby, że prowadzę jakieś dochodzenie... może w sprawie jego domów gry. A to mogłoby ściągnąć mi na głowę całą masę kłopotów.

- Co zrobisz w takim razie?

- Wezmę z sobą towarzyszkę.

Tess odwróciła wzrok, by w jej oczach nie wyczytał zazdrości.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - mruknął gniewnie. - Na miłość boską! W kółko ci powtarzam, że nie zadaję się z białymi kobietami!

To już mówiło samo za siebie, lecz Tess nie chciała zadawać mu bardziej osobistych pytań.

- W takim razie zamierzasz pójść na to przyjęcie w towarzystwie mężczyzny? - zapytała z ironią, na co Matt uśmiechnął się szczerze.

- Pomyślałem sobie, że ty mogłabyś pójść ze mną.

Tess zarumieniła się gwałtownie i spojrzała na niego zaskoczona.

- Ale ja nie mam żadnej wieczorowej sukni.

- Kupię ci.

Popatrzyła na niego ze złością.

- Nie ma mowy! Nie przyjmuję drogich prezentów od obcych mężczyzn, a już na pewno nie pozwolę, byś kupował mi ubrania!

- Oj, Tess, wydorosłej! - warknął niecierpliwie. - Zapomniałaś, że tu jesteś uważana za moją kuzynkę? Nie ma nic zdroźnego w tym, że kuzyn kupuje ci sukienkę.

Kuzyn... Hmm... Czy kiedykolwiek będzie między nimi coś więcej?

- Poza tym... - dodał Matt widząc jej minę - ... to tylko interesy. Chodzi o wyjaśnienie morderstwa Dennisa Coliera, pamiętasz? - Potem dodał patrząc prosto przed siebie: - Niedaleko jest taki mały sklepik... Kiedyś prowadziłem pewną sprawę dla właścicielki... to bardzo miła kobieta. Na pewno ją polubisz. Sądzę, że dobierze ci piękną suknię.

Dziewczyna przycisnęła torebkę do piersi; miała bardzo mało pieniędzy, lecz dumy aż za nadto.

- Kupię materiał i jakiś wykrój, i sama uszyję sobie suknię.

- Nie ma mowy. W Chicago ludzie wyjątkowo zwracają uwagę na to, co kto nosi. Poza tym bal charytatywny jest największym możliwym zgromadzeniem snobów!

Tess popatrzyła uważnie na jego elegancki garnitur, doskonale skrojony płaszcz i wysoki kapelusz.

- Rozumiem.

Matt bez mrugnięcia patrzył jej w oczy.

- Chciałaś wiedzieć, jak dopasować się do życia w mieście. Właśnie tak.

- Postaram się nie sprawić ci zawodu.

- Dzięki - odrzekł sucho.

Tess przeboleła już sprawę kupna sukni i wróciła myślami do przyjaciółki.

- A jeżeli Nan naprawdę to zrobiła?

- Zostanie skazana na karę śmierci... ale to nie zmienia faktu, że musimy zrobić dla niej, co w naszej mocy.

- Dziękuję ci, Matt - powiedziała po długiej ciszy.

Nie odpowiedział; po paru minutach zatrzymał się przed wystawą bardzo eleganckiego sklepu.

- Chyba żartujesz! - wykrzyknęła Tess spoglądając na manekiny stojące na wystawie.

- Na miły Bóg, Matt! Przecież te suknie kosztują więcej niż ja zarabiam przez miesiąc!

- Ale są warte swojej ceny - odrzekł bez mrugnięcia. - Chodźmy.

Otworzył przed nią drzwi, a gdy znaleźli się w środku, podeszła do nich elegancka dama w pięknej sukni.

- Czym mogę służyć, *monsieur* Davis? - spytała po wstępnych powitaniach i obrzuciła figurę Tess krytycznym spojrzeniem.

- To moja kuzynka - powiedział Matt. - Potrzebujemy dla niej wieczorowej sukni.

- Nazywam się *madame* Dubois - przedstawiła się dama z uśmiechem. - Myślę, że wiem, co się pani spodoba. Proszę chwilkę poczekać - dodała i pospieszyła na zaplecze sklepu.

Wróciła niosąc najpiękniejszą suknię z białej tafty, jaką Tess w życiu widziała. Rękawy i spódnica przyozdobione były błękitnymi i bladoloróżowymi wstążkami i koronką.

- Zapiera dech w piersi, nieprawdaż? Została zrobiona dla pewnej klientki, która zbyt szybko nabrała wagi, by móc się nią cieszyć. - Dama uśmiechnęła się przebiegle. - Ale, jak sądzę, dziecko sprawi jej więcej radości niż suknia. Proszę tedy, niech *mademoiselle* przymierzy.

Poprowadziła Tess na zaplecze sklepu, gdzie znajdowała się mała garderoba. Zamknęła za nią drzwi i zostawiła ją w spokoju.

Parę minut zajęło Tess zdjęcie wielu warstw ubrań, a gdy wreszcie nałożyła suknię, była zaskoczona, jak wspaniale na niej leży. *Madame* Dubois wróciła akurat na czas, by pomóc założyć ostatnie haftki na plecach.

- Będzie pani potrzebna pomoc przy ubieraniu, ale na pewno znajdzie pani jakąś damę, nieprawdaż, moja droga?

- Oczywiście; mieszkam na stacji - odparła Tess. - Wspaniale pasuje! Czy dobrze w niej wyglądam? - zapytała nerwowo, wygładzając stanik. - Chodzi mi o to, czy nie jest zbyt wycięta?

- Dla dziewczyny z biustem takim, jak pani, *mademoiselle*, jest doskonała - powiedziała z uśmiechem *madame* Dubois. Faktycznie, suknia leżała doskonale. Jasnowłosa Tess w tym stroju zapierała dech w piersi z wrażenia. - Chodźmy, pokażemy panu...

- Nie, nie! Proszę! - Tess przyłożyła dłonie do piersi.

- Aha, rozumiem. Wstydzi się pani, że kuzyn zobaczy ją w takiej sukni... pewnie przeznaczona jest tylko dla wielbiciela! Nic mu nie powiem - wyszeptała. - To będzie nasza tajemnica Teraz zostawię panią... niech się *mademoiselle* ubierze... ale najpierw zdejmijmy suknię, bym mogła ją zapakować. Zaraz po przyjeździe do domu musi ją pani powiesić na wieszaku, by się nie pogniotła! Rozumie pani?

- Oczywiście - odrzekła Tess. Suknia bardzo jej się podobała...

musi ją mieć, choćby miała kosztować tyle, co jej roczne wynagrodzenie! Czula się w niej pociągająca i piękna.

Kiedy wreszcie wynurzyła się z przymierzami, Matt nadal cierpliwie czekał.

- Masz - powiedział podając jej pudło z suknią. - Możesz to ponieść?

- O, tak! - Opiekuńczym gestem ujęła pudełko. - To najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek miałam!

- Dodałam też parę długich rękawiczek, moja droga - rzekła *madame* Dubois. - Ale musisz mieć jeszcze pasujące pantofelki.

- Na pewno znajdę jakieś w domu. - W Tess tliła się jeszcze resztką dumy.

- Doskonale! W takim razie, do widzenia! I życzę udanej zabawy!

- Dziękuję! - Tess uśmiechnęła się do damy z wdzięcznością i ruszyła za Mattem.

Kiedy znaleźli się z powrotem na ulicy, ujął ją pod ramię i zaprowadził do sklepu z butami. Nie dał jej spokoju, dopóki nie wybrała pantofelków idealnie pasujących do sukni. Potem zatrzymali się w jeszcze jednym sklepiku, gdzie kupili maleńką satynową torebkę i kościane grzebienie, którymi modne damy ostatnio upinały włosy.

- Wydałeś na mnie stanowczo za dużo pieniędzy - narzekała Tess, gdy jechali do domu wynajętym powozem.

- Nie możesz iść na bal w łachmanach, Kopciuszku - odparł. Nawet na niego nie spojrziała.

- Nie mam szklanych pantofelków i o północy nie zamienię się w myszkę!

- To konie od karety zamieniły się w myszy - poprawił ją łagodnie.

Pomógł jej wnieść pakunki do domu; w hallu spotkali panią Mulhaney, która popatrzyła na nich z jawną ciekawością.

- To suknia wieczorowa - poinformowała ją podniecona Tess. - Kuzyn Matt zabiera mnie na bal dobroczynny!

- No i dobrze! Już najwyższa pora, byś zaczęła bywać między ludźmi, moja droga - odrzekła gospodyni. - Nic tylko pracujesz i chodzisz na te okropne zebrania!

- Ma pani całkowitą rację - dodał Matt.

Położył pakunki w pokoju na łóżku i uchyliwszy kapelusza, wyszedł. Tess nie zobaczyła go do wieczora.

Przez kilka następnych dni Tess nie myślała o niczym innym niż pójście z Mattem na bal. Może i był to niezbędny krok, by pomóc Nan, ale był to także pierwszy bal w jej życiu. Tess powiesiła suknię w szafie, lecz często podchodziła do niej i dotykała materiału rozmyślając o tym, jak pięknie w niej wygląda. Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że kiedykolwiek pójdzie z Mattem na prawdziwy bal.

W dzieciństwie przeczytała bajkę o Kopciuszku i czasem zastanawiała się, jak to by było, gdyby miała piękną suknię i czarującego wielbiciela, który zabierałby ją na bale. Co prawda w Montanie odbywały się potańcówki w stodole szeryfa, ale gdzie im tam do prawdziwego balu!

Tess liczyła dni do upragnionego wieczora i harowała w szpitalu, starając się nie pamiętać, że gdyby nie sprawa morderstwa Coliera, Matt nigdy nie zabrałby jej na taką zabawę.

Aż wreszcie nastąpiła sobota i przy pomocy pani Mulhaney Tess ubrała się w swoją piękną suknię. Gospodyni była zafascynowana jej pięknem, a jednocześnie zszokowana tym, jak nisko wycięty jest stanik.

- Musisz mieć narzutkę, moja droga - powiedziała autorytatywnie. - Mam taką futrzaną... z nerek... pożyczę ci. Będzie wspaniale pasować do tej sukni!

- Z nerek! Och, nie mogę! - zaprotestowała Tess słabo. Pani Mulhaney delikatnie poklepała ją po ramieniu.

- Mężczyźni nigdy nie myślą o takich rzeczach, a przecież wieczorami bywa bardzo zimno. Nie powinnaś marznąć. Zatem, przyniosę narzutkę!

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, Tess podeszła do lustra i poprawiła grzebień podtrzymujący jej fantazyjną fryzurę. Ledwo rozpoznała piękną, elegancko ubraną kobietę, która patrzyła na nią z lustra. Miała nadzieję, że spodoba się Mattowi.

Wróciła pani Mulhaney i pomogła jej włożyć narzutkę. Potem przyjrzała się dziewczynie krytycznie i powiedziała:

- Wyglądasz pięknie... A perły doskonale pasują do sukni - dodała z podziwem.

- Należały do mojej babki - wyjaśniła Tess dotykając naszyjnika. - Jestem z nich bardzo dumna.

- Nie wątpię. Baw się dobrze, moja droga.

- Dziękuję pani bardzo - powiedziała dziewczyna. - I bardzo dziękuję, że pożyczyła mi pani tę narzutkę. Obiecuję, że będę na nią uważać.

Pani Mulhaney kiwnęła dziewczynie dłonią na pożegnanie. | Matt czekał na nią u stóp schodów.

- Przecież się nie spóźniłam - odezwała się Tess obronnym tonem, widząc, że przechadza się niecierpliwie.

i Odwrócił się, spojrzał na nią., i głos uwiązł mu w gardle. Nigdy w życiu nie widział równie pięknej kobiety. Chciał porwać ją w ramiona i unieść jak najdalej stąd, tak daleko, by nie mógł jej zobaczyć żaden inny mężczyzna. Odetchnął głęboko, zaskoczony własną reakcją. Czyżby był zazdrosny o małą Tess?

Dziwne spojrzenie Matta wytrąciło Tess z równowagi tak bardzo, że w zdenerwowaniu potknęła się i omal nie spadła z ostatniego schodka. W ostatniej chwili złapała się poręczy.

- Nie miałam odpowiedniej narzutki - odezwała się nerwowo zaciągając poły wierzchniego okrycia, by Matt nie zauważył nisko wyciętego stanika. - Pani Mulhaney pożyczyła mi tę...

- Pięknie wyglądasz - odrzekł Matt ochryple. Jego zazwyczaj ponurą twarz rozjaśniło uczucie podziwu.

Tess patrzyła na niego zaskoczona; po raz pierwszy w życiu Matt ją podziwiał, a to było wspaniałe uczucie. Sprawił, że czuła się jak Kopciuszek przeobrażony nagle w księżniczkę.

Ale już po sekundzie Matt przerwał magię chwili, pytając krótko:

- Idziemy?

Miał na sobie pięknie skrojony smoking, białą koszulę i wypolerowane buty. Narzuciwszy pelerynę, wziął w lewą rękę jedwabny kapelusz i laskę o srebrnej gałce, a potem ujął Tess pod ramię i wyprowadził na ulicę. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie wyglądał tak elegancko.

Kiedy jechali wynajętym powozem do hotelu, w którym miał odbyć się bal, zauważyła z niepokojem, że Matt przygląda się jej z uporem. Poruszyła się niespokojnie.

- Jakoś nie przyszło mi do głowy, że nie masz odpowiedniego do sukni płaszczka... Bóg jeden wie, dlaczego założyłem, że musisz mieć coś na takie okazje.

- Nie miałam jeszcze powodu... - Odkaslnęła i zaczęła inaczej: - Nie jest mi potrzebny elegancki płaszcz, bo przecież nie chodzę na bale.... Podejrzewam, że to pierwsza i ostatnia tego typu okazja w moim życiu.

Matt wyjrzał przez okno; wiedział, że jeżeli będzie się jej zbyt długo przyglądać, straci swoje słynne opanowanie. Zawsze uważał, że jest śliczna, nawet gdy biegała w starych spodniach ojca lub chodziła w wyblakłych sukienkach. Ale tego wieczoru była wyjątkowo pociągająca i to doprowadzało go do szału. Zdawało się, że bardziej niż on pasuje do wyrafinowanego towarzystwa. Zważywszy na jego poczucie niższości, jej dzisiejsza elegancja tylko podkreśliła dzielące ich różnice... przez co Matt poczuł się jeszcze bardziej

winny. Już dawno powinien był jej zdradzić sekret, jaki nosił w sercu... ale wiedział, że nie może tego zrobić. Miał prawo jej pożądać, lecz ona nie powinna nic o tym wiedzieć.

Tess bardzo chciała dobrze się bawić... więc postanowiła, że nie będzie zwracać uwagi na humory Matta. Przecież na pewno ktoś poprosi ją do tańca Trudno, niech Matt robi, co mu się żywnie podoba... nawet ją ignoruje. Do diabła! Dlaczego on nie widzi, jak bardzo ją rani?

Hotel tonął w światłach. Wytworne pary wchodziły powoli po szerokich schodach i wymieniały uprzejme pozdrowienia. Na podjeździe stały czarne lśniące powozy, do których zaprzęgnięte były prześliczne konie w złożonych uprzężach. Co najmniej dwie pary przybyły automobilami... Tess nigdy dotąd nie widziała tylu bogatych ludzi zgromadzonych w jednym miejscu. Była zaszokowana i zachwycona zarazem.

Matt trzymał ją pod ramię. W pewnej chwili uszczypnął ją lekko.

- Nie gap się tak - burknął ostro. - To tylko ludzie.

- Ale ja nigdy jeszcze nie widziałam takich ludzi - odparła, wyraźnie zafascynowana.

- No, jasne, że nie - rzekł jadowicie. - Czegóż można się spodziewać po dziewczynie wychowanej w rezerwacie?

Nadepnęła mu na stopę i uśmiechnęła złośliwie, gdy skrzywił się z bólu.

- Może po prostu zostawisz mnie tu, kochany kuzynie? - zapytała słodko. - Na pewno znajdzie się ktoś, kto z przyjemnością dotrzyma mi towarzystwa, żebyś ty nie musiał spełniać tego ponurego obowiązku!

Pokojówka wzięła od niej narzutkę, a gdy Matt zauważył, jak bardzo wycięta jest jej suknia, wstrzymał oddech. Gdyby o tym wiedział, nigdy nie pozwoliłby jej kupić! Co prawda musiał przyznać, że Tess wygląda w niej jak księżniczka.... Nagle poczuł, że jest tak podniecony, iż jego ciało pionie!

Zaczął coś mówić, lecz w tej samej chwili podszedł do nich młody człowiek. Ujął dłoń Tess i podniósł do ust. Nazywał się Michael Boson i był jednym z pacjentów, którymi Tess zajmowała się w szpitalu. Niedawno go wypisano i dziewczynie brakowało jego przyjacielskich docinków i niewinnych flirtów.

- Całe życie na ciebie czekałem, piękna pani - powiedział Michael z zachwytem. - Tańcz ze mną do białego rana, a potem po drodze mlecznej polecimy aż na Księżyc!

Tess, zadowolona, że nie musi już znosić humorów Matta, uśmiechnęła się do młodzieńca, po czym klepnęła go po ramieniu wachlarzem z piór.

- Cóż za pochlebca! - odparła lekko. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo!

- Nie masz serca., i to ty, która wyleczyłaś mnie z zapalenia płuc! - Odwrócił się do Matta i obrzucił go taksującym spojrzeniem. - Czy to on? Powinienem był się spodziewać. Wygląda jak płatny morderca. Założę się, że ma przy sobie broń.

- Michael, przestań wreszcie! - błagała Tess.

- Michael Boson do pańskich usług - powiedział młodzieniec kłaniając się zgrabnie. - A pan jest kuzynem Mattem, tym słynnym detektywem. Poznaję pana... Tess wiele mi o panu opowiadała Opiekowała się mną w szpitalu, a potem okrutnie odrzuciła mą miłość tylko dlatego, że jestem młodszy od niej o cztery lata! Nie sądzę, by wiek był w miłości istotny, ale ona uważa inaczej. Prawda, moja mała? - dodał szczerząc zęby w uśmiechu.

- Tak, to mój kuzyn, Matt Davis - odparła dziewczyna, po czym położyła dłoń na ramieniu Michaela, wdzięczna mu za wyratowanie jej z opresji. Nie potrafiła spojrzeć Mattowi w oczy. - Zatańcz ze mną, Michaelu! Matt zgodził się przyprowadzić mnie tutaj, ale nie chciałabym, żeby przeze mnie nudził się jak mops!

- Cała przyjemność po mojej stronie. Niech się pan nie martwi! Zajmę się pańską kuzynką, a pana zaproszę na wesele!

Porwał dziewczynę na parkiet, zanim Matt zdążył się odezwać. Tess roześmiała się i podążyła za nim, lecz przy pierwszych krokach na parkiecie zawahała się.

- Nie znam tego tańca... bardzo mi przykro - powiedziała cicho. - Mógłbyś mnie nauczyć?

- Wielkie nieba, dziewczyno! Gdzieś ty się uchowała? - zapytał szczerze zaskoczony.

- Wychowałam się na Zachodzie - wyjaśniła. - Mieliśmy co prawda potańcówki w mieście, ale nie przypominały tutejszej gali.

Michael wyszczerzył zęby.

- To walc... wcale nie jest trudny. Zaraz ci pokażę. To idzie tak...

Matt patrząc na nich miał mord w oczach. Najchętniej podszedłby i wyrwał Tess z objęć młodzieńca.

Nagle poczuł, że ktoś go obserwuje. Odwrócił głowę i tuż obok siebie zauważył Diamentowego Jima - Kilgallen stał z cygarem w dłoni i przyglądał mu się głęboko osadzonymi, szarymi oczyma.

Był to wysoki, postawny mężczyzna o ciemnych, falujących włosach i cienkim wąsiku. Jego skóra była opalona na oliwkowy kolor, jednak nie aż tak ciemna, jak ciało Matta. Miał na sobie wytworny smoking... Matt jeszcze nigdy nie widział go z tak bliska i teraz od razu zorientował się, że nie uda mu się oszukać tego człowieka fałszywą historyjką o tym, jak to chce wesprzeć sierociniec.

Matt nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Musiał przyznać, że nie sposób nie lubić i nie szanować tego człowieka.

Rozejrzał się po zatłoczonej sali i nagle uświadomił sobie, że Tess zniknęła.

- Wyszli na dwór - powiedział usłudźnie Jim widząc zaskoczony wzrok detektywa

Matt zdusił cygaro w popielniczce i gwałtownie ruszył ku drzwiom. Nie miał pojęcia, co powie, ani jak się zachowa, gdy już stanie przed Tess, ale bardzo nie podobało mu się to, że wyszła gdzieś z tym przeklętym dandysem. Nie zamierzał tolerować takiego zachowania z jej strony!

- Znam Bosona - rzekł Jim Kilgallen niespodziewanie. - To bogaty paniczyk, który ma pociąg do dziewic.

Dziewczyna aż sapnęła z oburzenia i zarumieniła się po same uszy. Widząc to, Diamentowy Jim uśmiechnął się złośliwie.

- Chyba słyszała pani, że jestem złym człowiekiem - przypomniał jej niewinnie. - Powinna była pani uciekać, gdy miała pani szansę!

- Pan... jest... zły!

Matt spojrział na nich właśnie w tej chwili - w mgnieniu oka dostrzegł zszokowaną minę Tess i szeroki uśmiech Kilgallena. Bardzo szybko pozbył się urodziwej partnerki i zaczął przedzierać się przez tłum w ich kierunku.

- Oho! Nadchodzą kłopoty! - burknął na jego widok Diamentowy Jim i w jego oczach zabłysły iskierki rozbawienia.

- Zrobił pan to celowo! - wykrzyknęła Tess.

- Ciii! Niech mu pani tylko o tym nie mówi. Proszę zaczekać i zobaczyć, co zrobi!

Matt zatrzymał się tuż przy Tess.

- Zostaw go w spokoju - polecił jej w narzeczu Siuksów.

- On jest dla ciebie za sprytny.

Dziewczyna odwzajemniła jego ponure spojrzenie bez mrugnięcia.

- Sama wybieram sobie towarzystwo! - odrzekła w tym samym języku. - Wracaj do swojej damulki!

Diamentowy Jim najwyraźniej doskonale się bawił. Zacisnął usta i udawał, że bardzo się dziwi.

- Cóż... na pewno nie jest to rosyjski - zamruczał pod nosem. Oboje spojrzeli na niego w tej samej chwili; Tess zarumieniła się jeszcze bardziej, a Matt zacisnął szczękę.

- Co ty jej powiedziałaś? - spytał Jima po angielsku.

- Oj, nic strasznego. Ostrzegłem tylko twoją kuzynkę, że Boson to bogaty nierób gustujący w towarzystwie dziewic. Ty możesz ten wątek rozwinąć, jeśli chcesz. Ta paniuszka jest zadziwiająco niewinna, jak na swój wiek... - dodał, po czym przeprosił ich i odszedł w stronę bufetu.

- Ależ on jest bezpośredni - wyjąkała Tess ze zdumieniem.

- Nawet bardziej niż ty!

- Pomimo całego jego uroku osobistego, jest kryminalistą...

A co do Bosona, miał rację. - Oczy mu się zwęziły, gdy jego wzrok spoczął na dekolcie dziewczyny. Na odkrytej piersi widać było jasnoczerwone znamię.

- t ramiona i piersi - odburknął gniewnie. - Widziałem, jak ten młody osioł się na ciebie gapił. Powiedziałaś, że to guzik jego marynarki zostawił ten odcisk na twojej piersi, ale nie wierzę ci... Pozwoliłaś, by cię dotknął, prawda?

Tess aż sapnęła z oburzenia.

- Czy naprawdę sadzisz, że pozwoliłabym jakimkolwiek mężczyźnie...?

- Mnie pozwoliłaś - przypomniał jej dusząc w sobie dziki gniew. - A może już o tym zapomniałaś?

Jednym płynnym ruchem ściągnął jej z ramion narzutkę z nerek i rzucił na ziemię... Tess ledwie zdołała ją złapać, nim delikatne futro dotknęło piasku plaży. Następny ruch Matta kompletnie ją zaskoczył - pochylił się i przycisnął usta do jej piersi, na której widać było jeszcze czerwone znamię po guziku Michaela Bosona.

Dziewczyna sapnęła, złapała go za ramiona i... zesztyniała. Chciała go odepchnąć, lecz jego usta dawały jej zbyt dużo przyjemności; przymknęła oczy czując, jak jego język delikatnie pieści jej skórę.

Nagle odsunął się od niej; jego piękne, silne ręce miękko gładziły dekolt dziewczyny, a po chwili jednym gwałtownym ruchem ściągnęły cienki materiał obnażając piersi.

W chłodnym nocnym powietrzu przez długą chwilę przyglądał się jej sterczącym, ciemnoczerwonym sutkom, a po chwili znowu skłonił ku nim głowę. Otoczył jeden sutek wargami, a potem chwycił w zęby i delikatnie przygryzł.

Tess była przerażona; nie tylko jego gniewem, jego zębami tuż przy jej miękkiej skórze, ale i własną reakcją na jego pieśczość. Zadrzała.

Ujął jej piersi w obie dłonie i podniósł głowę.

- Zabolalo? - spytał, patrząc jej w oczy.

Chciała mu odpowiedzieć, że tak... chciała odwrócić się i uciec jak najdalej, chciała położyć się na piasku i pociągnąć go na siebie...

- Ugryzłeś mnie! - szepnęła oskarżycielskim tonem.

Patrząc na jej zszokowana minę, jednocześnie pieścił ją leciutko; jego palce tańczyły dokoła stężyących sutków, i gdy tym razem Tess zadrzała, wiedział już, że to nie z zimna.

- Kilgallen miał rację - mruknął pod nosem. - Jesteś zupełnie niedoświadczona.

- Aha... - Nagle zrozumiała, że Matt czuje dokładnie to samo pragnienie, co ona. Jej ciało wygięło się w łuk... Tess czekała na jego następny ruch wiedząc, że nie będzie mogła - ani chciała - mu się oprzeć. Wszak cały wieczór myślała tylko o tym, jak byłoby cudownie, gdyby Matt ją pocałował... W jej zielonych oczach błyszczało pożądanie.

- Błagam... - szepnęła i objęła go za szyję. - Matt... błagam... zrób to jeszcze raz!

Serce podskoczyło mu w piersi. Ujął jej piersi w obie dłonie, a potem pocałował dziewczynę w usta. Już nie słyszał cichego głosu rozsądku, który kazał mu natychmiast wracać do powozu. Pieścił Tess, a ona mu na to pozwalała... pragnęła go. Podobnie było tego letniego wieczora na werandzie domu Harolda Mereditha, kiedy nawzajem odkrywali swe tajemnice. Ale tym razem mógł dokładnie widzieć jej ciało skąpane w blasku księżyca. Była piękna... tak piękna, jak zawsze to sobie wyobrażał.

Długo całował jej usta, a potem przesunął wargi niżej, na szyję i dekollet dziewczyny. Pocałował stężyły sutek i pieścił go tak długo, aż usłyszał cichy jęk Tess; wtedy wsunął go do ust i ssał, dopóki dziewczyna nie wyprężyła się i nie krzyknęła głośno z rozkoszy.

Ten dźwięk podniecił go jeszcze bardziej; wolną dłoń przesunął na pośladki dziewczyny i przyciągnął do siebie jeszcze bliżej... całując jej piersi, jednocześnie zaczął ocierać się biodrami o jej biodra, aż poczuła jego twardą męskość i zszokowana oparła dłonie na jego piersi i odepchnęła go z całej mocy.

Matt uniósł głowę i zobaczył przerażenie w jej oczach; oparł się o niski murek i przyciągnął dziewczynę do siebie, tak że stała między jego szeroko rozstawionymi nogami. Cały czas patrząc jej w oczy, położył obie ręce na jej biodrach i przycisnął ją do siebie. Tess chciała zaprotestować, lecz Matt był nieugięty..., nie puścił jej. Czując rytmiczny ruch jego bioder, przyglądała mu się oczyma rozszerzonymi z przerażenia, zażenowania i fascynacji...

- Jesteś niewinna - powiedział ochryple. - Ale sporo wiesz na temat męskiego podniecenia. Kiedy byłem ranny i leżałem w szpitaliku twego ojca, pewnego ranka, gdy myślałaś, że śpię, podeszłaś do mego łóżka, uniosłaś prześcieradło i spojrzałaś na mnie.

Tess zaczerwieniła się po uszy.

- Nie domyślałaś się, że nie spałem? To było niezwykle doświadczenie... Byłaś wtedy jeszcze taka młoda, Tess. Ale podobałaś mi się... sama widziałaś, jak bardzo. Usłyszałem twoje sapnięcie... po kilku chwilach puściłaś prześcieradło i uciekałaś.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek się dowiesz - szepnęła zawstydzona.

- Ale wiedziałem od samego początku - odrzekł spokojnie.

- Właśnie wtedy zacząłem słuchać opowieści twego ojca o Chicago. Miałaś tylko czternaście lat, a jednak byłaś kobietą w każdym calu... i bardzo cię pragnąłem.

- Przecież nigdy nic mi nie powiedziałeś... - powiedziała Tess ze zdumieniem.

- Nie ośmieliłem się. Byłaś jeszcze taka młoda! Wstyd mi było, że pożądam dziecka... Jedynym wyjściem z tej sytuacji był dla mnie wyjazd do Chicago. - Tess słuchała jego głosu, lecz nie rozumiała słów... czuła tylko jego twarde ciało ocierające się o nią. Patrząc jej w oczy, Matt wyszeptał przez zaciśnięte zęby:

- Czujesz to? Jeszcze nigdy nikogo tak nie pragnąłem, a ty jesteś dziewicą!
- Tylko dlatego... że ty nie chcesz się ze mną kochać - odrzekła drżącym głosem.
- Wiesz, że nie mamy przed sobą żadnej przyszłości.
- Dlaczego? - szepnęła.

- Bo zbyt wiele nas dzieli. Bo w świecie białych nie mogę ci zapewnić dostatniego życia i należnego ci miejsca w społeczeństwie. Nie mogę ci nic dać... - szepnął ponuro, po czym jego wzrok spoczął na nagich piersiach dziewczyny. Dotknął ich delikatnie ciepłymi dłońmi i dodał cicho: - Nie mogę ci dać nic, oprócz tego...

Odwrócił się tak, że teraz to ona opierała się o murek, i podciągnął rąbek jej sukni. Przesunął dłonią w górę jej obleczonej pończoszką nogi, aż dotarł do miejsca, gdzie zaczynał się gorset i cieniutka bielizna.

Tess sapnęła cicho z oburzenia i odruchowo złapała go za nadgarstek, ale Matt nie zwracał na to uwagi. Jęknął gardłowo i pochyliwszy głowę, znowu ujął jej sutek w zęby. Tess zadrżała czując jego ciepłe palce wsuwające się pod muślin bielizny i sunące w stronę najintymniejszych części jej ciała. Czuła wilgoć w tym miejscu i z zażenowaniem pomyślała, że on też pewnie ją czuje. Matt delikatnie poruszał palcami, aż wygięła się w łuk i krzyknęła głośno.

Wtedy on uniósł głowę i nie przestając jej pieścić, patrzył jej w oczy. Patrzył, jak z trudem łapie powietrze, jak drży pod jego dotykiem,..

- Nie miałas o tym pojęcia, prawda? - wyszeptał ochryple. - A to jest dopiero początek...

Nie odpowiedziała... Została porwana do innego świata, a którym panowała rozkosz i cudowne, słodkie napięcie... Jego dotyk podniecał ją do granic wytrzymałości; otworzyła usta i sapła cicho w rytm jego pieszczot... a potem nagle wygięła się w łuk i... rozkosz stała się nie do zniesienia. Dziewczyna wykrzyknęła jego imię w mrok nocy, po czym opadła na niego drżąca, przytrzymując się go, by nie upaść na piach. Serce waliło jej jak oszalałe... nie wiedziała, na jakim świecie się znajduje.

Matt zaczekał, aż Tess złapie oddech, po czym, z ustami tuż przy jej ustach, pociągnął jej rękę w dół swego brzucha, aż na twardą wypukłość. Tess szarpnęła dłonią zaskoczona, zażenowana, lecz on nie dał za wygraną. Pokazał jej, jak przesunąć dłonią w górę i w dół, by dać mu rozkosz, i jęknął z cicha.

- Pomóż mi - szepnął. - Nie... błagam, nie odsuwaj się... Pomóż mi, Tess... nie zniosę tego dłużej!

Serce w niej podskoczyło; obróciła się do niego i spojrzała mu w oczy.

- Może to nam wystarczy. - Patrzyła mu w oczy i nagle zobaczyła w nich dziką żądzę.

Sapnęła cicho i dodała: - Wiedziałam! Ty też tego pragniesz!

- Pożądanie to niesłychanie potężna siła. - Przysunęła się do niego i wyszeptała:

- Chcę leżeć naga w twoich ramionach, w twoim łóżku. Chcę cię widzieć tak, jak widziałam cię tamtego dnia w szpitalu. Kiedy teraz na ciebie patrzę, widzę, że mnie pragniesz. Widzę to...

- Tess... - zaczął ochryple.

- Moglibyśmy leżeć razem. Moglibyśmy kochać się tak jak przed chwilą i nie martwić się, że zajdę w ciążę.

- Czy naprawdę sądzisz, że gdybyś leżała naga w moich ramionach, zadowolilibym się takimi pieszczotami? - zapytał ze zdumieniem. - Na miły Bóg! Byłbym w tobie, zanim byś się spostrzegła!

- We mnie? - powtórzyła, po czym zadrżała wyobraziwszy to sobie.

Przez długą chwilę Matt przyglądał się jej szeroko rozwartymi oczyma, po czym sapnąwszy cicho chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę powozu.

- Musimy wracać do domu! Natychmiast!

Tess poddała mu się oszołomiona; szła za nim potykając się co krok i myślała ze smutkiem, że Matt nigdy się nie zmieni. Zaprzepaści ich miłość tylko z tego powodu, że ona nie jest Indianką.

się jej bez słowa, ciągnęła: - Obawiam się niestety, że element ryzyka zawsze istnieje... -
Przyglądała mu się z rosnącym pożądaniem, po czym dodała zdławionym głosem:

- Chyba oszalałam! Tak bardzo cię pragnę!

- Tess!

- Czyżbym cię szokowała? - zapytała z lekkim zdziwieniem.

- Aż mnie boli na wspomnienie przyjemności, jaką mi dałeś. Chcę, żebyśmy to powtórzyli...

- To nie powinno było się zdarzyć!

- Dlaczego nie? - W głosie Tess brzmiało szczere zdziwienie.

- Nie jestem z nikim zaręczona... ty też nie. Oboje jesteśmy dorośli i nie zrobiliśmy nic złego.

Matt uniósł brwi.

- Czy opowiesz pani Mulhaney o naszej małej eskapadzie i poprosisz ją o wyrażenie poglądu na temat naszej moralności?

Tess poruszyła się niespokojnie.

- Ja nie miałam poczucia, że robię coś niemoralnego - sprecyzowała.

Matt oparł się o poduszki siedzenia i poparzył na nią spod przymrużonych powiek.

- Ano nie... To nieomal graniczyło z cudem.

- Byliśmy nieomal jak... kochankowie.

- Jesteśmy kochankami - poprawił ją spokojnie.

- I niczym więcej. - W oczach dziewczyny utkwionych gdzieś w dal błyszczał smutek.

Matt wyciągnął rękę i uściśnął zimną dłoń Tess.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo zmieniłoby się twoje życie, gdybyś urodziła dziecko.

Przeniosła wzrok na ich złączone dłonie.

- A gdyby był jakiś sposób na zabezpieczenie się? Gdybym znalazła jakieś wyjście?

- To nierealne - odparł krótko. - Nierealne i niebezpieczne.

- Znam kobiety, które głoszą pochwałę wolnej miłości i zapobiegania ciąży - szepnęła.

- Może one mogłyby mi coś poradzić.

- Taak... pewnie to samo, co każda burdelmama w mieście - rzekł tak okrutnie, że Tess wyrwała dłoń z jego uścisku i spojrzała na niego z odrazą - O, na miłość boską! Przestań zachowywać się jak dziecko! Daj temu spokój! Powiedziałem ci już, że nie podejmę tego ryzyka. Nigdy więcej nie powtórzymy też tego, co robiliśmy dziś wieczorem, bo to jest jak zabawa dynamitem!

Matt oparł się ciężko na lasce i usiłował opanować gniew, gdyż z naprzeciwka zbliżał się ku nim jakiś mężczyzna.

- Ty nic nie rozumiesz... Nie wiesz, co do ciebie czuję.

- Wiem tylko, że z idiotycznym uporem nie chcesz pogrzebać duchów z przeszłości, i że w końcu zniszczy to nie tylko twoje, ale i moje życie!

- Duchów?! - krzyknął z wściekłością.

- A tak! Właśnie, że duchów! Nie masz prawa... - Urwała w pół słowa, gdyż mężczyzna, który nadszedł z naprzeciwka, nagle zatrzymał się i z uwagą zaczął się przyglądać twarzy Matta, teraz zastygłej w masce furii.

Mężczyzna miał na sobie elegancki garnitur, a w ręku niósł laskę o srebrnej gałce, bardzo podobną do tej, na której opierał się Matt. Po chwili roześmiał się ironicznie.

- A niech mnie kule biją! Indianiec! Tu w mieście! Nic dziwnego, że my, biedni żołnierze, nie mogliśmy was znaleźć na prerii! Wszyscy uciekliście do miast, jak te wielkie byki, co podróżują wraz z Buffalo Billem Codym i zarabiają pieniądze na tym jego show z Dzikiego Zachodu.' Ty też jesteś w showbiznesie, chłopcze? - Oparł się na laseczce i patrzył na Matta najwyraźniej ignorując groźny błysk w jego oczach. - Z jakiego szczepu pochodzisz, chłopcze?

Matt wyprostował się, zeszywniał i powoli wypuścił dłoń Tess.

- Moje życie prywatne to nie pański interes - odpowiedział z perfekcyjną dykcją i idealnym akcentem.

Mężczyzna uniósł brwi.

- Pyskaty jesteś jak na Indiańca, co?

- Proszę pozwolić nam przejść - odrzekł Matt. Ale tamten przeniósł wzrok na Tess.

- Czy ty nie masz za grosz honoru, żeby prowadzić się z Indiańcem? - zapytał patrząc na nią z odrazą. - Żadna szanująca się kobieta nie chodzi pod rękę z Indiańcami! Czego ty chcesz, moja mała, zostać jego squaw? - To powiedziawszy zarechotał głośno, najwyraźniej rozbawiony własnym żartem.

Tess bez słowa, nie namyślając się długo, rąbnęła go prosto w żołądek, nie przejmując się tym, że znajdują się w miejscu publicznym. Właściwie nie wiadomo, kto był tym bardziej zdziwiony, Matt czy nieznajomy.

Zabolały ją kłykie, więc pocierała je patrząc mężczyźnie z wściekłością w oczy; z pewną satysfakcją zauważyła jego pełną bólu i niedowierzania minę, a także fakt, że obiema dłońmi kurczowo ścisnął się za brzuch.

- I niech to będzie dla ciebie lekcja! - warknęła z gniewem. - Nie pozwolę, by jakikolwiek mężczyzna mówił do mnie w ten sposób i uszedł cało! Szkoda, że nie spotkaliśmy się dwanaście lat temu, gdy zawsze nosiłam przy sobie łuk i kołczan pełen strzał. Przeszylabym twoje plugawe serce, zamiast brukać sobie tobą dłonie!

Mężczyzna był tak zaskoczony, że nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. Po prostu patrzył na nią z ogłupiałym wyrazem twarzy i mamrotał coś pod nosem.

Zdegustowana Tess powiedziała mu wtedy płynnie w języku Siuksów, że jest podłym wężem o zimnym sercu.

- Co takiego? - wyjąkał mężczyzna słysząc ten dziwny język w ustach białej dziewczyny. - Ty mówisz... w ich języku?

- I co w tym dziwnego? - odparła patrząc na niego płonącymi z gniewu oczyma. - Każdy przekłety żołnierz o morderczych instynktach jest gorszy od najpodlejszego zapchlonego psa w obozie Siuksów! - Odwróciła się do Matta i ująwszy go pod ramię, zapytała głosem nadal drżącym z gniewu: - Idziemy? - Potem raz jeszcze spojrzała na zaskoczonego mężczyznę i warknęła:

- Świnia!

Matt nie wiedział, czy ma się pokładać ze śmiechu, czy też zbesztać Tess za oburzające zachowanie. Obejrzał się przez ramię na mężczyznę, który nadal stał w tym samym miejscu na chodniku i trzymając się za brzuch toczył dokoła błędnym wzrokiem.

- No cóż! Nieźle dałaś mu popalić!

- Szkoda, że nie miałam przy sobie noża! Żywcem obdarłabym go ze skóry! Cóż za podły, wstrętny, żaloszny mały kretyn! - powiedziała podnosząc głos tak, by tamten na pewno ją usłyszał. Najwyraźniej tak się stało, gdyż oglądając się za siebie, Matt zauważył, jak podrywa głowę i ucieka gdzie pieprz rośnie, byle jak najdalej od nich.

- Uspokój się - mruknął spokojnie. - Nie ma potrzeby tak krzyczeć.

- Jak ja nie znoszę głupich mężczyzn! - syknęła Tess z wściekłością; potem popatrzyła na Matta i dodała nieco spokojniej:

- Dlaczego aż tylu płacze się po tym pięknym mieście?

Nadal rozśmieszony i trochę zły, Matt zatrzymał się po środku chodnika i spojrzał dziewczynie w oczy. Jej agresywne zachowanie w stosunku do bezczelnego mężczyzny byłoby naprawdę szalenie zabawne, gdyby nie to, że nie chciał, żeby Tess go broniła; to budziło w nim sprzeciw: nie znośił czuć się bezradny.

- Ten człowiek mnie obraził, więc to ja powinienem być zareagować - powiedział z lekką wymówką w głosie.

Tess machnęła ręką.

- Doskonale. Pozwolę ci uderzyć następnego osobnika, który cię obrazi, żebyś mi potem nie mógł wypominać, że wtrąciłam się w sprawę męskiego honoru.

Matt nie potrafił już opanować rozbawienia; odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Wielki Boże! I co ja mam z tobą począć?

Tess oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego z dziwnym, smutnym uśmiechem.

- Możesz się ze mną ożenić.

Przez ciemną twarz Matta przebiegło nagle dziwne uczucie, coś pomiędzy poczuciem winy a żalem. Znikło równie szybko, jak się pojawiło, i Tess nie potrafiła rozszyfrować jego znaczenia. Gwałtownie odwrócił wzrok i nic nie odpowiedział.

- Tak, wiem, że nigdy nie poślubisz białej kobiety - dodała Tess znużonym tonem. - Cóż, ojciec zawsze mi przepowiadał, że w końcu zostanę starą panną. Nie zostało mi nic innego, jak tylko poświęcić się opiece nad chorymi i żyć wspomnieniami ostatniej nocy.

- To było czyste szaleństwo. - Matt poruszył się niespokojnie.

- To było cudowne - odrzekła cicho, głosem ochryplym z emocji. - Śniłam o tym całą noc.

Matt nie chciał przyznać, że on tak samo to przeżył. Uniósł wysoko podbródek i poszedł przed siebie. Nie powiedział już ani słowa o tym, co się wydarzyło poprzedniej nocy, ani o ich spotkaniu z byłym żołnierzem.

- To chyba nie pierwszy raz, gdy spotykasz w mieście jakiegoś żołnierza, który domyśla się twojej tożsamości? - spytała, gdy już podeszli do szpitala.

- Ano nie. To się zdarza od czasu do czasu.

- I co zazwyczaj wtedy robisz?

- Ignoruję ich - odrzekł spokojnie, lecz w jego oczach palił się jakiś ogień.

- Aha.. No i oczywiście obdarzasz ich tym twoim słynnym spojrzeniem.

- Że co, przepraszam? - spytał unosząc brwi.

- Spojrzeniem - powtórzyła niewinnie. - Tym ponurym, pogardliwym spojrzeniem, pod którym ludzie czują się jak robaki nabite na szpilkę. Już nieraz widziałam, jakie ono wywiera wrażenie. - Matt nie raczył jej odpowiedzieć, po prostu nadal szedł przed siebie. - Tak czy inaczej, kulturalni ludzie nie obrażają nieznajomych przypadkowo spotkanych na ulicy. Nie przejmuj się tym aż tak bardzo.

- Dlaczego nie? - zapytał poważnie, po czym wreszcie zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. - Bo jestem czarną owcą z carskiego dworu albo hiszpańskim szlachcicem w

przebraniu. - Rozejrzał się dokoła z rozpaczą. - Jestem pełnokrwistym Indianinem z plemienia Siuksów! - dodał ochryple, a w jego głosie brzmiała lodowata furia - I nic nigdy tego nie zmieni! Nic!

- A niby dlaczego miałbyś to zmieniać? - zapytała ze szczerą ciekawością.

- Chcesz, żebym ci powiedział, co by się stało, gdybym nagle, wszem i wobec, oznajmił moje prawdziwe pochodzenie? Naprawdę chcesz wiedzieć? Byłbym czarną owcą nawet między moimi braćmi! Straciłbym wszystko, co posiadam, bo Indianie nie mają w tym kraju prawa własności, ani nawet prawa do głosowania! Nie mam nawet obywatelstwa, choć mają je najgłupszy emigranci, którzy nie potrafią mówić poprawnie po angielsku! Każdy, kto kiedykolwiek był w wojsku i walczył na preriach, nadal jest moim śmiertelnym wrogiem! W całych Stanach Zjednoczonych nie ma miejsca dla czerwonoskórego!

- Ale przecież twoja skóra nie jest czerwona - przypomniała mu Tess. - Jest ślicznego brązowego koloru!

- Przestań, Tess!

- Przepraszam. - Spojrzała na niego zielonymi oczyma, w których widać było całą jej miłość dla niego. - Gdybyś się ze mną ożenił, moglibyśmy wszystko przepisać na mnie... Wiem, że twoja męska duma bardzo by na tym ucierpiała, ale przynajmniej mielibyśmy z głowy prawne komplikacje. - Matt nie uśmiechnął się; nie odpowiedział. - Zbyt się tym przejmujesz. Problem polega na tym, że nie nauczyłeś się jeszcze żyć ze swoją przeszłością. Przez dwanaście lat wypierałeś się swego pochodzenia... ale nadszedł wreszcie czas, gdy nie możesz dłużej temu zaprzeczać.

Oczy Matta zwężyły się w dwie czarne szparki, jak gdyby widok jej złotych loków sprawił mu ból.

- Należymy do innych ras. Ja należę do typu mongolskiego, a ty kaukaskiego.

- Wiem. I co z tego?

- Chcesz mi powiedzieć, że wcale ci to nie przeszkadza? Tess spojrzała mu w oczy i odrzekła łagodnie:

- Znam cię od dwunastu lat. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że jesteś inny niż ja. No... może z wyjątkiem oczywistych różnic - dodała z żartobliwym uśmiechem. Kiedyś uśmiechnąłby się na tę figlarną insynuację, ale przez tego idiotę spotkanego niedawno, ani drgnął. Tess przysunęła się do niego i dodała cichym tonem: - Matt, nie pozwól, by aż tak cię to dotknęło. Nie pozwól na to! Och, dlaczego nie możesz przestać zwalczać tego, co do mnie czujesz?!

Na te słowa uniósł dłoń władczym gestem i spojrzał jej w oczy.

- A gdybyśmy mieli dziecko? Gdzie byłoby jego miejsce?

- Z nami, rzecz jasna - odrzekła gniewnie.

Matt westchnął ciężko i potarł dłonią kark. Natrafiwszy na gruby warkocz schowany pod kołnierzykiem koszuli, nagle znieruchomiał. Jak miał zapomnieć o swoim dziedzictwie, jeżeli warkocz stale mu o nim przypominał. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby ściąć włosy; była to co prawda lekka niekonsekwencja, skoro nie chciał być Siuksem.

Spojrzał na Tess z bólem; starał się zapomnieć o swoich uczuciach do niej,, ale nawet gdy nie chciał się do tego przyznać, należał do niej. Zawsze tak było i zawsze będzie. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby należeć do kogoś innego.

Jednak oprócz pożądania, paliła się w nim potrzeba zapewnienia dziewczynie szczęścia... a wyjście za mąż za Indianina byłoby dla niej najgorszym możliwym rozwiązaniem.

Jakoś nie przyszło mu do głowy, że zbytnio przejmuje się wszystkim, że robi z igły widły, ani że przecież już nieraz jakiś były żołnierz rozpoznał w nim Indianina. Co prawda po raz pierwszy tak się tym przejął. obraźliwe uwagi tego półgłówka może i nie wywarły na nim większego wrażenia, lecz w przyszłości mogłyby sprawić przykrość Tess lub ich dziecku.

Całkiem niedawno rozwiązał pewną sprawę dla klienta, który był synem Murzyna i białej kobiety. Młody mężczyzna walczył o przyznanie mu prawa do dziedziczenia ziemi po rodzicach, lecz skończyło się to tylko śmiercią jego ojca i uwięzieniem jego samego. Matt udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że młodzieniec jest niewinny, uwolnił go z więzienia, ale nie był w stanie wrócić życia jego ojcu ani zapewnić klientowi należnego mu dziedzictwa.

Młodzieniec był tym bardzo rozgoryczony, czego nie omieszkął głośno powiedzieć; to tylko wzmogło niepokój Matta co do jego własnej przyszłości z Tess. Mieszane dzieci nie należały do żadnego społeczeństwa: Mulat przeklinał i matkę, i ojca za to, w jakiej sytuacji go postawili. Był człowiekiem bez korzeni, bez rasy, bez przynależności. Pewnego dnia podzielił się z Mattem gorzkimi wspomnieniami ze swego dzieciństwa i od tego czasu Matt myślał o tym coraz więcej.

Tess obserwowała grę uczuć na twarzy ukochanego i wiedziała, co go trapi: te same demony, przed którymi uciekał przez ostatnie lata. Wiedziała, że pewnego dnia Matt będzie musiał zatrzymać się, odwrócić i spojrzeć w twarz prześladowającym go duchom przeszłości. Ona nie mogła zrobić tego za niego; mogła tylko stać przy nim i służyć mu oparciem w trudnych chwilach, zachęcać go i pomagać przetrwać. Dopiero teraz, gdy patrzyła, jak walczy sam ze sobą, Tess zrozumiała, że tak naprawdę Matt żywi dla niej głębokie uczucie. Jeżeli nie będzie go dręczyć, jeżeli będzie cierpliwie czekać, to może kiedyś...

- A co z Nan? - spytała nagle.

Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi, jak gdyby pytanie zbiło go nieco z tropu. Już od jakiegoś czasu nie potrafił skupić się na chwili obecnej, ani na sprawie, nad którą powinien pracować.

- Pamiętasz Nan? - nalegała Tess. - Moją przyjaciółkę? Tę, co siedzi w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniła?

Matt wsadził obie dłonie do kieszeni spodni i popatrzył na dziewczynę rozkojarzonym wzrokiem.

- Taak, oczywiście - mruknął po dłuższej chwili. - Przepraszam, ale wypadło mi to z głowy.

- Musimy znaleźć prawdziwego mordercę - powiedziała.

- JA muszę... - odparł, ale Tess nie dała mu dokończyć.

- Przepraszam cię bardzo, lecz ta sprawa dotyczy także mnie rzekła niecierpliwie. - Obiecałam Nan, że jej pomogę, zamierzam dotrzymać słowa - Matt chciał oponować, lecz wystarczyło mu jedno spojrzenie na zdecydowaną minę Tess. Uśmiechnęła się do niego zwycięsko. - Miło mi, że się ze mną nie sprzeczasz. Muszę już iść na dyżur, lecz gdy tylko skończę pracę, zobaczę się z paroma osobami...

- Jeżeli jeszcze raz zbliżysz się sama do tej kamienicy, powiem Greenowi, by cię zaareztował za bezprawne wkroczenie na teren cudzej posiadłości.

Aż sapnęła z oburzenia.

- Nie ośmielisz się!

- Tak sądzisz? Chcesz się przekonać?

Tess wykonała gniewny ruch ręką, lecz Matt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, więc założyła ramiona na piersi i spojrzała na niego ponuro.

- Muszę porozmawiać z siostrą Nan. Nawet jej mąż nie może mi tego zabronić!

- No, dobrze... ale z nikim więcej - zgodził się niechętnie, po czym zmarszczył brwi i zapytał: - Dlaczego właśnie z nią?

- A dlaczego nie? Może wiedzieć o mężu Nan coś, czego my nie wiemy. Na pewno warto spróbować.

- Chyba masz rację.

Podjęli dalszą wędrowkę do szpitala; z sinych chmur zaczął padać drobnutki śnieg. Tess złapała drobny płatek na rękę i uśmiechnęła się do siebie.

- Jak ja lubię zimę i śnieg! Uwielbiam, gdy naokoło jest białe! Ale z drugiej strony pamiętam taką zimę czy dwie, gdy już nie mogłam doczekać się odwilży!

- Ja także. - Matt nie uśmiechał się. Pamiętał ciała zabitych leżące na zamarzniętej ziemi pod Wounded Knee. Pamiętał, jak żołnierze w granatowych kurtkach wrzucali ciała do zbiorowej mogiły... ramiona i nogi porzucane pod dziwnymi kątami, jak gdyby stworzył je jakiś szalony artysta...

Tess po minie poznała, o czym Matt myśli, ale nie odezwała się ani słowem. W obecnym stanie ducha Matt sam powinienem uporać się ze swymi wspomnieniami... i choć bardzo pragnęła mu pomóc, wiedziała, że w tej chwili byłby to daremny trud.

Zatrzymali się tuż przed szpitalem. Tess odwróciła się i popatrzyła na niego swoimi niesamowitymi oczami.

- Podejrzewam, że masz mnóstwo pracy - powiedziała. - Pewnie dzisiaj już się nie zobaczymy.

- A to dlaczego? - zapytał przyglądając się jej bacznie.

- Nie chcę zajmować twego cennego czasu. - Tess wzruszyła lekko ramionami.

To pozornie niewinne zdanie wzbudziło jego ciekawość i nieufność zarazem. Przyjrzał się jej uważnie.

- Co ty znowu knujesz?

- Dziś wieczorem idę na zebranie - odrzekła - Po dyżurze nie wrócę już do domu, a ponieważ zebrania zazwyczaj trwają do późna, nie sądzę, byśmy się jeszcze dziś zobaczyli. To wszystko.

Matt wyglądał na zaniepokojonego.

- Myślisz, że nieco przesadziłem z reakcją na tego gościa tam - powiedział ruchem brody wskazując kierunek, z którego przyszli.

- Ale ty nie rozumiesz, jakie to uczucie. Nie pochodzisz z mego ludu, choć wiesz o nim pewnie więcej niż większość białych.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że dziewczynę przeszedł dreszcz; czyżby Matt w ten sposób wznosił między nimi niewidzialny mur?

- Czy to tym właśnie stałam się dla ciebie? - zapytała cicho.

- Jeszcze jedną białą kobietą? Jeszcze jedną bladą twarzą? Matt zacisnął szczęki.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie zamierzam wpychać się na siłę do twojego życia - odrzekła po chwili. - Jeżeli chcesz, bym przeprowadziła się na inną stację, wystarczy, byś mi o tym powiedział. Chicago to duże miasto. Nie musimy się ciągle widywać, jeżeli tego nie chcesz...

Matt doznał szoku; wciągnął powietrze z głośnym sapnięciem.

- Nie powiedziałem nic podobnego.

- Nie... ale widzę to w twoich oczach. Stoisz tu przede mną taki spokojny i opanowany, lecz wiem, że aż cię skręca z chęci wzięcia mnie do łóżka!

Matt zarumienił się; obrócił się i rozejrzał dokoła niespokojnie.

- Tess, nie mów w ten sposób! Jeszcze cię ktoś usłyszy!

- Dlaczego? Bo to, co mówię, jest takie naturalne? - Oparła dłoń na biodrze. - Wiem, że nie chcesz pamiętać o tym, co razem przeżyliśmy... ale ja się nie wstydzę tego, że kochaliśmy się tam, na plaży. Jeżeli ty się tego wstydzisz, to już twój problem!

- Wcale nie powiedziałem, że się wstydzę! - Matt jeszcze bardziej poczerwieniał i w jego oczach pojawiły się wściekłe błyski. - Jesteś jednym wielkim utrapieniem!

- I kto tu się teraz wścieka! - odpaliła unosząc brwi. - W końcu to świat mężczyzn, czyż nie? Kobiety nie odchodzą, nie dają kosza... leżą spokojnie i czekają, aż mężczyźni je porzucą!

- Wcale cię nie porzuciłem!

- A właśnie, że tak! Powiedziałeś, że nie chcesz białej kobiety za żonę, ani dziecka z białą kobietą, ani mnie w swoim życiu! I bardzo dobrze! Możesz sobie iść, dokąd chcesz, mój ty ważniaku! - Pomachała mu ręką na pożegnanie. - Ja tymczasem pójde ponianczyć kogoś, kto doceni moje pielęgniarские umiejętności!

- Kogoś takiego, jak ten dandys na balu, który nie potrafił trzymać rąk przy sobie? - zapytał z wściekłością.,.

- A dlaczego nie? - warknęła w odpowiedzi. - Jemu przynajmniej nie przeszkadza kolor mojej skóry!

Matt zaczął coś mówić, lecz Tess nie dała mu szansy: odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do szpitala. Weszła do środka ani razu nie obejrząwszy się.

Matt zawrócił w stronę biura, lecz był tak rozkojarzony, że omal nie wpadł pod przejeżdżający powóz. W duchu przeklinał się za to, że jest ślepy i głupi. Za to, że nie zareagował na wyzwiska tamtego drania. Powinien był od razu powalić go na ziemię i zdrowo przetrzepać mu skórę. Nie zmieniłoby to sytuacji, ale czułby się teraz o wiele lepiej.

Potem przypomniał sobie wścieklą reakcję Tess i nie potrafił opanować wesołości. To prawda, że była utrapieniem, ale miała nieugięte serce wojownika i nikt, bez względu na płéć, nie mógł bezkarnie nią pomiatać.

Spod zmarszczonych brwi przyjrzał się niebu; ciekawe, czy będzie burza? Na niebie gęstniała pokrywa chmur, śnieg padał coraz gęstszy, a i wiatr z minuty na minutę przybierał na sile.

Poszedł do biura, przejrzał najpilniejsze sprawy, wyznaczył agentów do ich rozpracowania, a potem udał się do kamienicy, w której mieszkała Nan, i podjął porzucone przez Tess przeypytywanie sąsiadów.

Pod koniec dnia Matt wiedział niewiele więcej niż Tess, ale mimo wszystko nie był to czas stracony. Jedyńymi gośćmi państwa Colierów byli młodzi, zamożnie wyglądający mężczyźni. Jeden z nich szczególnie utkwił w pamięci sąsiadów: przystojny, barczysty mężczyzna o ciemnych włosach i wąsach. Jego cechą charakterystyczną było to, że na małym placu prawej ręki nosił sygnet z diamentem.

Matt nie musiał nawet pytać, kto to taki: Diamentowy Jim Kilgallen.

Kiedy już skończył przeypytywać sąsiadów, zajrzał do więzienia, by zamienić słówko z Greenem. Poprzedni strażnik został zastąpiony młodym mężczyzną, uprzejmym i przyjaznym, który bez przeszkód wpuścił Matta i Briana Greena do Nan, a także bardzo życzliwie i uprzejmie odnosił się do samej więźniarki.

Nan bardzo ucieszyła się na ich widok, ale nadal była bardzo przygnębiona całą sytuacją.

- Tego okropnego strażnika nie ma już od rana - powiedziała potrząsając głową. - Sama nie wiem dlaczego... a sądząc po tym, co słyszałam, nikt inny też nie ma pojęcia, co się z nim stało. - Uśmiechnęła się nerwowo. - Cieszę się z tego niesłychanie... Był niegrzeczny... i czynił mi nieprzystojne propozycje.

Matt nic nie powiedział na temat swojego udziału w zwolnieniu nachalnego strażnika, ani o tym, kto za tym stał.

- Wyglądasz na zmęczoną, dziewczyno - burknął Brian Green. - Może chcesz, żebyśmy ci coś przynieśli?

- Po prostu chcę wrócić do domu - odparła Nan cicho i żałośnie. - Żle się czuję... Jak oni mogą sądzić, że zabiłam człowieka... nawet takiego, który mnie bił.

- Wiele kobiet, w ostatnim odruchu rozpaczy, właśnie tak czyni - powiedział cicho Matt. - Wierzę w pani niewinność, ale nie jestem ani sędzią, ani przysięgłym. Poza tym, choć bardzo się staram, nie mogę znaleźć nikogo, kto miałby równie dobry motyw, jak pani. Nie trafiłem na ślad ani jednej kochanki pani zmarłego męża...

- Davis! - wykrzyknął oburzony Green.

- No, cóż... po prostu nie znalazłem - odparł Matt niewzruszony. - Szkoda, bo inna kobieta byłaby doskonałym podejrzanym!

- Nie... Dennis nie lubił kobiet... nawet mnie - spokojnie powiedziała Nan. - Zbyt był zajęty piciem i braniem tych swoich proszków, by uganiać się za kobietami.

- Skąd brał narkotyki?

Nan westchnęła i spojrzała na nich bezradnie.

- Nie mam pojęcia. Zdawało się, że zawsze miał przy sobie mnóstwo pieniędzy... i mnóstwo proszków... ale nigdy mi nie mówił, skąd je bierze.

- Mógłbyś popytać tego dzianego kryminalistę, z którym Dennis się prowadzał - wtrącił gniewnie Green. - Tego Diamentowego Jima...

- Kilgallen nie używa narkotyków - szybko odparł Matt, by powstrzymać cierpką uwagę cisnącą się na wargi Nan. - On nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

- I jesteś tego taki pewny, co? - zapytał Green z sarkazmem.

- Tak, jestem pewny - odparł Matt. - Mam własne kontakty w podziemnym świecie i wiem o nim to i owo.

Brian Green wzruszył potężnymi ramionami.

- Cóż, przyznaję, że sam nie bardzo wierzyłem, by Kilgallen go załatwił... Po prostu bardzo martwię się o Nan i o moją żonę. Bardzo się tym wszystkim przejęta... Odkąd aresztowano Nan, nie odezwała się do mnie ani słowem... siedzi tylko w kącie, kołysze się jak dziecko i płacze...

- Myśli, że mnie powiesz, prawda? - spytała Nan z niepokojem. - Może i ma rację? Może ja jednak umrę...

- Wykluczone! - powiedział Matt szybko. - Choćbyśmy mieli wyciągnąć stąd panią siłą! Wierzymy w pani niewinność... trzeba jej jeszcze tylko dowieść!

Nan uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd weszli do celi.

- Jest pan dobrym człowiekiem, panie Davis!

- Moja kuzynka bardzo panią lubi - odrzekł.

- Jest wspaniałą przyjaciółką - cicho szepnęła Nan. - Każdy na jej miejscu odwróciłby się do mnie plecami... Jest wyjątkowo oddana i lojalna... Szkoda, że jest sama na tym świecie. Czasem dziwię się, dlaczego jeszcze nie wyszła za mąż? Mężczyźni bywają doprawdy ślepi!

Matt odwrócił wzrok.

- Jak nietoperze - burknął.

Siostra Nan otworzyła drzwi. Miała pobladłą twarz i chorobliwie rozszerzone źrenice, Na jej dłoniach i fartuchu Tess zauważyła ślady mąki.

- Musiałam zająć się czymś, by nie oszaleć, więc upiekłam ciasto - wyjaśniła pani Green po wstępnych powitaniach. - Proszę, niech pani usiądzie. Wiem, co pani i pan Davis robicie dla mojej biednej Nan. Jestem wam za to bardzo wdzięczna:

Tess usiadła na wskazanym jej przez gospodynię bujanym fotelu i przyjrzała się jej z nie ukrywaną ciekawością.

- Jest pani dużo starsza od Nan, prawda?

- O piętnaście lat - odrzekła pani Green. - Było nas sześcioro, lecz czwórka zmarła wkrótce po narodzinach. Z całej naszej rodziny została tylko ja i Nan... - W jej oczach zagościł smutek, gdy dodała:

- Ja sama straciłam dwoje dzieci, gdy z zaziębienia wywiązało się im zapalenie płuc... Teraz szaleję ze strachu, kiedy z pozostałą dwójką coś się dzieje. - Westchnęła. - W każdym razie robię, co w mojej mocy... - Ucichła. Najwyraźniej nie chciała dłużej o tym mówić. Po dłuższej chwili poprawiła się na krześle i spojrzała Tess w oczy.

- Czym mogę pani służyć, panno Davis?

- Meredith - poprawiła ją Tess. - Jestem z Mattem spokrewniona przez matkę - skłamała.

- Aaa... rozumiem. W takim razie, panno Meredith, czy mogę pani jakoś pomóc?

- Taką miałam nadzieję - odrzekła dziewczyna. - Czy zna pani kogoś, kto mógłby mieć powód, by zabić Dennisa Coliera?

Twarz starszej kobiety zmieniła się w maskę gniewu.

- Ten drań znęcał się nad żoną - odparła. - Nie miał żadnych ludzkich uczuć w sercu! Obchodziły go tylko jego własne zachcianki... Bił moją siostrę... okropnie ją bił. - Przymknęła oczy i zadrżała. - A Nan to takie słodkie dziecko! Nigdy w życiu nie skrzywdziła nawet muchy! A on... on tak strasznie ją traktował..

- Wiem o tym - rzekła Tess najłagodniej, jak umiała. - Nan nie potrafiłaby nikogo skrzywdzić.

- Cieszę się, że on nie żyje - powiedziała gwałtownie pani Green. - Mam nadzieję, że cierpiał przed śmiercią! Może to któraś z jego kochanie go zabiła... i daj jej Boże za to zdrowie!

Tess podchwyciła ten wątek.

- Colier miał kochanki?

Pani Green zdawała się ledwie nad sobą panować; zerknęła na Tess, lecz pospiesznie odwróciła wzrok.

- A pewnie, że tak. Nan nic o tym nie wiedziała., ale przede mną nic się nie ukryje. Mam przyjaciółkę, która mieszka niedaleko nich. Mówiła mi, że gdy Nan chodziła do kościoła albo do mnie z wizytą, do tego drania ciągle przychodziły kobiety.

- Czy zna pani nazwiska tych pań? - spytała Tess; w jej oczach paliło się podniecenie. Może w końcu jednak znalazła podejrzanego? - Czy pani przyjaciółka wie, gdzie mieszkają albo gdzie pracują?

Pani Green wzruszyła ramionami.

- Nie... ona ich nie znała., widywała je czasami, ale to wszystko. To były pospolite kobiety, nie żadne tam damy. - Nachyliła się do Tess i wyszeptała: - To były kobiety z burdelu!

Tess słyszała o tych przybytkach i często spotykała prostytutki, gdyż większość z nich dokonywała żywota w szpitalach, umierając na jakieś wstydlive choroby. Przypomniała sobie wszystkie zasłyszane od tych pacjentek historie i nagle wydało się jej dziwne, że kobieta pracująca w burdelu odwiedzała klienta w domu, pod nieobecność żony. Nie tak załatwiano się podobne interesy. Większość mężczyzn korzystających z usług panienek w burdelach to szanowani obywatele, ojcowie rodzin i bogobojni mężowie... Był to jeden z tych aspektów podwójnego życia mężczyzn, którego jej znajome sufrażystki najbardziej nienawidziły.

- Dlaczego Colier sam nie chodził do burdelów, tylko sprowadzał prostytutki do swego domu? - zapytała Tess.

- No... cóż... - Pani Green usiłowała wziąć się w garść.

- Podejrzewam, że chciał jeszcze bardziej upokorzyć Nan... Nie dość mu było, że sprowadza do domu swoich znajomych kryminalistów, to zapraszał jeszcze takie ladacznice....

To nie miało najmniejszego sensu. Tess omal nie wypowiedziała tych słów głośno, lecz coś w minie pani Green nakazało jej trzymać język za zębami. Zawahała się i uśmiechnęła z przymusem.

- Obawiam się, że nigdy nie dowiemy się całej prawdy - powiedziała spokojnie. - Problem polega na tym, że jeżeli nie znajdziemy prawdziwego mordercy, sąd może skazać Nan na karę śmierci.

Pani Green pobladła jeszcze bardziej.

- Wiem. - Przymknęła oczy i znowu zadygotała. - Podobno te sznury od stryczków są strasznie szorstkie... - dodała bez sensu przykładając dłoń do szyi, jak gdyby poczuła na niej dotknięcia katowskiego stryczka.

- Słyszałam, że to dość szybka śmierć - odrzekła Tess.

- Jeżeli kat ma w sercu choć odrobinę współczucia. - Edith Green patrzyła przed siebie niewidzącym spojrzeniem. - Nie mogę pozwolić na to, by powiesili moją siostrę.

- Nie powieszają jej, jeżeli odnajdziemy prawdziwego mordercę - rzekła Tess pewnym głosem. - Musi mi pani pomóc odszukać te kobiety, które przychodziły do Coliera.

- Jak? - Skrzywiła się gorzko.

- Proszę zapytać przyjaciółkę... może ktoś jeszcze coś słyszał lub widział? I proszę jej powiedzieć, by się pospieszyła... Nie mamy zbyt wiele czasu!

- Czy mogę zrobić coś jeszcze? Tess zastanowiła się dłuższą chwilę.

- Pani nie, ale ja owszem. Dziś wieczorem idę na zebranie sufrażystek... Może mogłybyśmy pomóc Nan, gdybyśmy zorganizowały wiec albo marsz z pochodniami, gdybyśmy pokazały ludziom, jaka Nan jest dobra i jak mąż okropnie ją traktował. Może dotarłoby to jakoś do sądu i...

- To może być niebezpieczne... nawet bardzo niebezpieczne - odrzekła pani Green z obawą. - Ostatni taki marsz zakończył się zamieszkami, a mąż wspominał mi, że została pani poważnie ranna, panno Meredith.

- Tym razem będę bardziej uważać - powiedziała Tess nie wspominając ani słowem, że ostatnim razem to właśnie Dennis Colier ją zaatakował. - Poza tym bezpieczeństwo Nan jest teraz ważniejsze niż moje...

Pani Green zagryzła dolną wargę i zacisnęła dłonie na kolanach.

- Jest pani wspaniała! Także bym chciała być tak odważna jak pani!

- Proszę się nie martwić - odparła łagodnie Tess. - Wszystko będzie w porządku, uratujemy Nan! Obiecuję!

Uporawszy się z całą masą papierkowej roboty, którą odkładał już od dawna, Matt wrócił do domu pani Mulhaney. Zjawił się przed drzwiami dokładnie w tej samej chwili, co młody mężczyzna - A co to takiego? - zapytał, gdy młodzieniec, zapytawszy go o nazwisko, wręczył mu liścik.

- Pewna pani z więzienia prosiła, bym to panu doręczył. Dała mi za to półdolarówkę!

- Więc tu masz drugą! - Matt rzucił posłańcowi monetę; tamten schwycił ją w locie i uchyliwszy z uśmiechem kapelusza, odszedł w swoją stronę.

Matt poszedł do hallu, gdzie przy świetle gazowej lampy mógł spokojnie odczytać wiadomość. Spodziewał się, że to wiadomość od Nan Colier... może jakiś nowy trop, który mógłby sprawdzić?

Ku jego ogromnemu zaskoczeniu, na karteczce była nagryzmołone w wyraźnym pośpiechu: *Aresztowano mnie. Proszę, przyjedź do więzienia. Tess.*

Pani Mulhaney właśnie wychodziła z kuchni wycierając dłonie w ściereczkę; zobaczywszy dziwną minę Matta i słysząc, jak pod nosem burczy przekleństwa, wykrzyknęła:

- Ależ panie Davis! Co się stało?

- Moja kuzynka została aresztowana - odrzekł bez zastanowienia Pani Mulhaney usiadła na pobliskim krześle, lecz zanim się uspokoiła, Matta dawno już nie było w domu.

Dotarwszy do więzienia, Matt poszedł szybko do wspólnej celi, gdzie przetrzymywano Tess, i pomachał jej przed nosem liścikiem.

- Co to ma znaczyć, u wszystkich diabłów?! - wrzasnął z furią.

- Ależ proszę pana! Cóż za słownictwo! - oburzyła się strażniczka.

Matt uchylił grzecznie kapelusza.

- Serdecznie panią przepraszam - powiedział uprzejmie - ale aresztowanie mojej kuzynki jest dla mnie szokiem!

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego - odrzekła Tess. - Wszak musiałeś się chyba spodziewać, że kobieta mego pokroju marnie skończy!

Zrozumiawszy tę insynuację, Matt oblał się rumieńcem. Zmiał liścik w dłoni.

- Pani Mulhaney omal nie zemdląła. Na pewno wyrzuci nas oboje na zbity pysk za to, że szargamy imię jej stancji. Ta kobieta przesadnie strzeże moralności!

- Nic mnie nie obchodzi to, czy mnie wyrzuci, czy nie! I tak miałam zamiar się stamtąd wyprowadzić. - Potem wskazała na siedzącą obok kobietę, na oko niewiele od niej starszą. - Daisy powiedziała, że mogę u niej zamieszkać. Jest studentką! To, co mówiła mi o studiach, jest tak interesujące, że kto wie? Może sama się zapiszę!

- To nie ma w tej chwili żadnego znaczenia - wtrącił Matt ze złością. Tego dnia zbyt wiele zważyło mu się na głowę; zaczynał mieć dość. - Wpłacę za ciebie kaucję, a potem pójdziemy tam, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- O tej porze? - zdziwiła się Daisy ironicznie. - Wszak jest już noc! Zrujnuje pan kuzynce reputację!

Matt obdarzył ją nieprzychylnym spojrzeniem.

- Reputacja mojej kuzynki to nie pani sprawa!

- Matt, jak możesz?!

Ale on nie słuchał; odwrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

- Twój kuzyn wygląda na niezłego osiłka - odezwała się Daisy. - Im mniej będziesz mieć z nim do czynienia, tym lepiej dla ciebie.

Tess przez długą chwilę przyglądała się jej w milczeniu.

- Poradzę sobie z Mattem. - Już żałowała tego, że pochopnie zgodziła się zamieszkać z tą dziewczyną; Daisy najwyraźniej nie znosiła mężczyzn. Nigdy by się nie dogadały. - Chyba nie mogę skorzystać z twojej propozycji, Daisy, choć bardzo jestem ci za nią wdzięczna - dodała. - Może Matt pomylił się co do naszej gospodyni?

- Obawiam się, że nie - rzekła nagle Ellen O'Hara. - Tess, możesz zamieszkać ze mną i moimi siostrami - zaproponowała, po czym dodała patrząc na Daisy: - A pan Davis będzie cię mógł odwiedzać, gdy tylko zechcesz.

- To bardzo miło z twojej strony - odrzekła Tess. Ellen zachichotała.

- Oj, dodałaś takich emocji do mego żałownego, nudnego życia, że chyba już nie potrafię się bez ciebie obejść. Jestem pewna, że moje siostry też cię polubią. Są dużo młodsze ode mnie, ale wszystkie ciężko pracują... Razem pracujemy u pewnych bardzo miłych i kulturalnych państwa, którzy mieszkają w takim ogromnym domu tuż nad brzegiem jeziora.

- Służące! - Daisy skrzywiła się z niesmakiem.

- Żadna uczciwa praca nie hańbi - zauważyła Tess spokojnym tonem. - Poza tym uważam, że nie powinnyśmy sobie nawzajem przyczepiać etykietek. To nieojojalne.

Większość kobiet zgromadzonych w celi przyklasnęła, a Daisy wycofała się do kąta, gdzie wbiła wzrok w ścianę i zagłębiła się w świat własnych myśli.

Parę minut później wrócił Matt wraz ze strażniczką.

- Musisz wpłacić kaucję także za Ellen - powiedziała Tess przyciągając do siebie pulchną blondyneczkę. Jeżeli pani Mulhaney naprawdę mnie wyrzuci, zamieszkam wraz z nią i jej siostrami.

Matt wytrzeszczył na nią oczy z niedowierzaniem.

- Co takiego?

- Powiedziałam, że musisz wpłacić kaucję za Ellen. Wyszedł bez słowa. Gdy wrócił po paru minutach, obie kobiety zostały bez słowa zwolnione z aresztu.

- Czy zanim wyjdziemy, mogę zobaczyć się z Nan? - zapytała Tess, kiedy Ellen już podziękowała Mattowi za pomoc.

- Dlaczego nie? - odrzekł ponuro. - Przecież i tak jest już późna noc.

Tess skrzywiła się i bez słowa ruszyła w stronę budynku, w którym przetrzymywano więźniów oczekujących na rozprawę.

Na jej widok Nan zalała się łzami i usiłowała przytulić ją przez kraty.

- Och! Jak się cieszę, że cię widzę! - wykrzyknęła. - Zdręla na dzień ogarnia mnie większe przerażenie. Czy dowiedziałas się już czegoś nowego? I pan tu jest, panie Davis? Co się stało?

- Tess została aresztowana i właśnie przed chwilą wpłaciłem za nią kaucję - wyjaśnił sztywno.

- Zostałaś aresztowana?! Za co?!

- Za podżeganie do buntu - odparł usłużnie Matt.

- Dziękuję ci bardzo! - warknęła Tess przez ramię.

- Ależ nie ma o czym mówić - powiedział Matt z zabójczą ironią Nan przyglądała się im z niedowierzaniem.

- Za podżeganie do buntu? - powtórzyła.

- Taak - przyznała niechętnie Tess. - Poprowadziłam marsz na ratusz i wygłosiłam mowę o tym, że trzeba skończyć z bezmyślną brutalnością mężczyzn.

Nan śmiała się i płakała na przemian.

- Och, Tess! Ty naprawdę jesteś moją przyjaciółką!

- Oczywiście... i obiecuję, że jakoś cię z stąd wyciągnę. Uszy do góry, moja kochana. Nie możesz się poddawać.

Nan położyła dłoń na brzuchu.

- Ja już nawet nie potrafię się modlić - powiedziała cicho. - Mój szwagier mówi, że policja nie ma żadnych innych podejrzanych. W całym Chicago nie mogą znaleźć ani jednej osoby, która by bardziej ode mnie pragnęła śmierci mego męża.

- Ale to nie ty go zabiłaś - rzekła Tess. - I my jakoś to udowodnimy.

Nan uśmiechnęła się do przyjaciółki, lecz był to uśmiech smutny i pełen rezygnacji.

Podwieźli Ellen do sypiącego się gotyckiego domu stojącego nieopodal torów kolejowych, w którym mieszkała wraz z trzema siostrami. Zanim się obejrżeli, już wchodzili do domu zaproszeni na filiżankę herbaty.

Dom, w którym mieszkały panny O'Hara, był w fatalnym stanie, domagał się gruntownego remontu i było w nim zimno, gdyż jedynym źródłem ciepła był ogromny piec stojący w kuchni. Mimo to mieszkanie było przytulne, a dziewczęta przyjazne. Domagały się, by Matt, Ellen i Tess opowiedzieli im wszystko o aresztowaniu i pobycie w więzieniu. Kiedy już wszystko opowiedzieli i wypili herbatę, Matt i Tess zebrali się do wyjścia. Myślała jednocześnie, że z chęcią zamieszka w domku sióstr, które były miłe i dobre... a ona już czuła się u nich jak u siebie.

- Pani Mulhaney cię nie wyrzuci - rzekł krótko Matt, gdy wracali na stację wynajętym powozem.

- Ależ wyrzuci, wyrzuci... - odparła Tess ze znużeniem. - Tak czy inaczej, nic mnie to nie obchodzi... Może tak będzie lepiej?

Matt spojrział na nią z ukosa; słowa dziewczyny tylko podsyciły tlące się w nim poczucie winy. Odwrócił twarz do okna i zaczął się przyglądać mijanym domom. Była już późna godzina i mroki nocy rozświetlały tylko nieliczne gazowe latarnie.

Tess przyglądała mu się przez długą chwilę; potem westchnęła smutno i pomyślała, że więcej ich dzieli niż łączy.

- Czy ty w ogóle coś do mnie czujesz, Matt? Nawet na nią nie spojrział.

- Oczywiście. To, co zawsze.

- To znaczy co?

Właśnie w tej chwili powóz zaczął zwalniać.

- Nie ma teraz czasu na takie rozmowy - powiedział, gdy stanęli przed domem pani Mulhaney. - Teraz musimy zająć się o wiele poważniejszym problemem.

- Panią Mulhaney - dodała dziewczyna z lekką obawą.

- Właśnie.

Starsza pani krążyła po hallu mrużąc coś gniewnie pod nosem. Na widok Matta i Tess wchodzących do jej domu, zatrzymała się jak wryta. Dziewczyna podeszła do niej bez chwili wahania.

- Moja przyjaciółka została oskarżona o morderstwo, którego nie popełniła - powiedziała. - Razem z kilkunastoma kobietami, które znają i kochają Nan, pomaszerowałyśmy pod ratusz, by okazać jej poparcie. Zostałyśmy aresztowane przez mężczyzn.

- Uniosła dumnie podbródek. - Ma pani pełne prawo wyrzucić mnie na bruk, pani Mulhaney, i jeżeli taka będzie pani decyzja, nie odezwę się ani słowem, a jutro już mnie tu nie będzie. Potrzeba odwagi, by walczyć o słuszną sprawę, tym bardziej, że w naszym społeczeństwie, w którym liczy się tylko zdanie mężczyzn, jest ona uważana za niesłuszną.

To powiedziawszy, Tess wyprostowała się i czekała na decyzję gospodyni.

Pani Mulhaney czerwieniła się i bladła na przemian. Zawahała się, wytarła dłonie w fartuch, zamruczała coś pod nosem i skrzywiła się lekko.

- Panno Meredith, postawiła mnie pani w wyjątkowo trudnej sytuacji - powiedziała.

- W jakiż to sposób? - zapytała cicho Tess. - Czyżbym zrobiła coś niemoralnego?

- Nie! Oczywiście, że nie - odparła pośpiesznie pani Mulhaney.

- Chodzi mi o rozgłos...

- O moim kuzynie też mówią ludzie w całym mieście - wytknęła jej dziewczyna. -

Często naraża życie...

- Ale jest mężczyzną! - dodała gniewnie starsza dama.

- Czyżby uważała pani mężczyzn za lepszych od kobiet? Odważniej szych?

Sprawniejszych? Bardziej wartościowych?

Pani Mulhaney zaczęła się jąkać ze zdenerwowania.

- Chodzi mi tylko... znaczy się... muszę mieć na uwadze dobro moich lokatorów...

Tess uniosła dłoń.

- Niech pani nie mówi nic więcej - rzekła krzywiąc się lekko.

- Mam przyjaciółki, z którymi mogę zamieszkać. Proszę tylko pozwolić mi spędzić tu noc. Rano spakuję rzeczy i już więcej nie zakłócę pani spokoju.

Starsza dama miała poczucie winy.

- Proszę, panno Meredith! Musi pani zrozumieć moje położenie!

- Ależ oczywiście, że rozumiem - odparła Tess. - Resztę może pani wytłumaczyć Stwórca, gdy obie już opuścimy ten padół łez. Jestem pewna, że On zrozumie pani brak współczucia i zrozumienia dla kobiety, którą fałszywie oskarżono... zupełnie tak, jak zrozumiał tłum domagający się uwolnienia Barabasa i ukrzyżowania Chrystusa za zbrodnię, której nie popełnił!

To powiedziawszy obróciła się na pięcie i poszła do swego pokoju. Pani Mulhaney została w saloniku z otwartymi ustami; obok niej tkwił Matt zżerany zazdrością o to, że Tess jest taka elokwentna. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, zdjęła kapelusz i płaszcz, po czym ciężko opadła na bujany fotel. Nagle poczuła się strasznie samotna - nie dość, że jutro straci dach nad głową, to jeszcze będzie z dala od mężczyzny, którego kocha. A wszystko to stało się w ciągu zaledwie jednej nocy! Inna kobieta załamałaby się pod presją takich przeżyć, ale nie Tess. Z doświadczenia wiedziała, że potrafi poradzić sobie z każdą kłodą, jaką życie rzuci jej pod nogi.

Pani Mulhaney odwróciła się do Matta; była blada i nagle wyglądała na dziesięć lat starszą, niż była w rzeczywistości.

- Czuję się wyjątkowo podle - odezwała się cichym głosem.

- Ja także. Moja kuzynka jest bardzo elokwentna, prawda?

- Czy to ja popełniam błąd? Czy powinnam pozwolić jej zostać? Wiem, że wszystko, co robi, czyni w dobrej wierze... a ja ją za to karzę. - Potrząsnęła głową ze smutkiem. - Och, panie Davis! Ten nowoczesny świat nie nadaje się dla kobiety mojego pokolenia! Obawiam

się, że nie potrafię sobie z nim poradzić. Zachodzi zbyt wiele zmian... - Jeszcze raz potrząsnęła głową i z niepokojem spojrzała Mattowi w oczy. - Przecież nikt tu nic nie wie o jej aresztowaniu... poza tym to dobra i miła dziewczyna... Czy mógłby pan porozmawiać z nią w moim imieniu? Niech jej pan powie, że pokornie proszę ją o wybaczenie i mam nadzieję, że jednak zostanie pod moim dachem.

Matt nie wiedział, co odpowiedzieć; napięcie między nim a Tess dochodziło już do punktu szczytowego. Jeżeli dziewczyna szybko nie zniknie z jego życia, czuł, że już do końca straci panowanie nad sobą. Serce podpowiadało mu jedno rozwiązanie, rozum - drugie... lecz wiedział, że musi mieć na względzie dobro Tess.

- Panie Davis? - nalegała starsza dama. - Powtórz jej pan moje słowa?

- Myślę, że Tess powinna się stąd wyprowadzić - odrzekł poważnie, zaskakując panią Mulhaney i siebie zarazem. - Może zamieszkać z czterema siostrami, które zdają się być porządnymi i zacynymi niewiastami... Zdaje mi się także, że mają niejaki wpływ na moją kuzynkę. Może przy nich się ustatkuje... Poza tym uważam, że powinna raczej przebywać z kobietami w swoim wieku.

Starsza dama zawahała się, ale tylko na chwilę.

- Byłoby mi bardzo przykro rozstawać się z nią w gniewie.

- Dopilnuję, by nie zostały między paniami żadne urazy - obiecał Matt spokojnie. - Wszystko będzie dobrze.

Pani Mulhaney uśmiechnęła się smutno.

- Naprawdę tak pan uważa? Przyznam się szczerze, że jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak podle jak dziś... Bardzo panu dziękuję za pomoc, panie Davis. - Zawahała się. - A czy pan zostanie z nami?

- Ależ naturalnie - odrzekł.

Pani Mulhaney uśmiechnęła się słysząc te słowa, przeprosiła go, mówiąc, że musi iść do swoich obowiązków i życzywszy mu dobrej nocy, poszła do swego pokoju. Matt udał się na górę, lecz znalazłszy się w sypialni, wiedział, że minie jeszcze dużo czasu, zanim zaśnie. Usiadł na fotelu obok łóżka i wrócił myślami do okrutnych - słów byłego żołnierza, którego spotkał rankiem na ulicy. Odkąd przyjechał do Chicago, oszczędzone mu zostały w większości przesady i uprzedzenia, jakich doświadczali jego bracia na zachodzie kraju, w Montanie czy Dakocie. Wypierając się swego pochodzenia i dziedzictwa, uniknął wszystkich problemów związanych z byciem Indianinem w świecie białych ludzi. Ukrywał się w Chicago od 1891 roku. Po zakończeniu nauki w szkołach zaczął swą grę w udawanie... Grał kogoś, kim naprawdę nie był... i po co? Dla bogactwa? Prestiżu? Wpływów? Dla tych wszystkich

rzeczy, które kiedyś, wedle słów Tess, pozwoliłyby mu żyć w tym mieście, nawet gdyby przyznał się do swego pochodzenia? Przecież Indianie podróżujący z show Billa Cody'ego spokojnie żyli wśród białych ludzi. Ale - zastanawiał się Matt - czy oni kiedykolwiek starali się zyskać aprobatę białego społeczeństwa, czy tylko zadowalali się rolą jarmarcznych małpek?

Pomyślał cynicznie, że Tess ma tak ogromną wiarę w dobrą wolę i dobrą naturę ludzi, podczas gdy on jest tej wiary całkowicie pozbawiony. Dlaczego? Od najmłodszych lat widywał okrucieństwa, do jakich zdolny jest człowiek. Pomijając Tess i jej ojca, niewiele dobrego doznał ze strony białych, kiedy nosił skórzaną spodnie, łuk i kołczan pełen strzał. Tess знаła go wtedy, wiedziała o nim wszystko, znała jego sekrety... i nigdy jakoś jej to nie przeszkadzało. Właściwie odnosił wrażenie, że jest z niego dumna... I nadal była przepełniona tą samą dumą, mimo iż całkowicie zmienił swój świat wartości.

Przypominając sobie, jak Tess uwielbia rozpamiętywać przeszłość i sposób, w jaki wtedy żyli, Matt poczuł się nieswojo; nie odczuwała żadnego wstydu na myśl, że jej ojciec pracował w rezerwacie wśród Indian, nie wstydziła się tego, że kocha Indianina; mówiła w języku Siuksów bez żadnych zahamowań, miała wybuchowy temperament i niezależnego ducha, którego tak w niej podziwiał.

Sprawiała, że zawstydził się własnego postępowania; nie bała się prawdy, która jego tak przerażała. Była odważna i zdecydowana; nie bała się nikogo i niczego. Udowodniła to tego wieczora prowadząc marsz pod ratusz i domagając się uwolnienia niewinnie uwięzionej przyjaciółki. Oddałaby własne życie za tych, których kochała... czyli właściwie za każdego. Nie zdziwiłby się, gdyby to samo zrobiła dla niego, nawet gdyby go nie kochała.

Wreszcie rozebrał się do bielizny - czyli długich kalesonów - i rozpuścił włosy - uwolnione z warkocza, w ciężkich puklach opadły mu aż do połowy pleców. Spojrzał w lustro wiszące nad toaletką i długo przyglądał się własnemu odbiciu. Gdy stał tak rozebrany, z rozpuszczonymi włosami, trudno było go wziąć za kogoś innego niż pełnej krwi Indianina.

Prychnął pod nosem nienawidząc własnego konformizmu; co też Tess powiedziała kiedyś o lustrach? Że nie lubi swojej twarzy, gdyż jest biała. Był zły na siebie za to, że przeżywa takie wahania. Nie chodziło o to, że boi się wyjawic światu swe prawdziwe pochodzenie. Po prostu czuł, że nie mógłby patrzeć na to, jak ludzie ponizają Tess tylko dlatego, że żyje z Indianinem. Teraz była jeszcze młoda i silna; miała chęć walczyć o to, co uważała za słuszną. Ale jak długo kobieta może walczyć sama przeciw całemu światu? Na jak długo starczy jej siły, zanim pogrąży się w rozpacz i zwątpieniu? Była taka mądra, odważna i piękna! Nie chciał, by jej duch załamał się pod wpływem zbyt wielu okrutnych słów

rzucanych na nią tylko dlatego, że ma męża Indianina. A po tylu latach spędzonych w Chicago on nie potrafiłby już żyć w rezerwacie; wiedział, że już nigdy nie potrafiłby żyć jak prawdziwy Siuks.

Odwrócił się od lustra i pomyślał o jutrzejszym dniu, kiedy Tess wyprowadzi się ze stacji i już nie będą się widywać każdego dnia. Dobry Boże, chyba pęknie mu serce! Poza tym musiał przyznać, że martwi go pomysł mieszkania z przyjaciółkami po drugiej stronie miasta.

A jeżeli znowu się komuś narazi jak Dennisowi Colierowi? Co prawda wiedział, że nie jest całkowicie bezbronna - wszak nauczył ją podstaw samoobrony - a jednak czuł się w obowiązku ją chronić.

Zaskoczyło go cichutkie pukanie do drzwi. Podeszedł i otworzył je ostrożnie zostawiając tylko wąską szparę.

- Matt?

Na progu stała Tess w nocnej koszuli i szlafroku, którego poły trzymała zaciśnięte pod szyją, miała rozpuszczone włosy.

Pospiesznie otworzył drzwi rozglądając się na boki, a potem wciągnął ją do środka; zatrzasnął drzwi i obrzucił ją ponurym wzrokiem.

- Czego chcesz? - zapytał krótko.

Tess przyglądała mu się z jawnym uwielbieniem; dawno nie widziała go prawie nagiego, z długimi włosami opadającymi na plecy.

- Wyglądasz dokładnie tak, jak dwanaście lat temu - powiedziała tęsknie. - Tak lubiłam na ciebie patrzeć.

Uniósł podbródek i popatrzył na nią krzywo.

- Czego chcesz? - powtórzył ostro. Jej jawny podziw wywołał w nim zrozumiałą reakcję, a nie chciał, by zauważyła jego podniecenie.

- Zapomniałam ci powiedzieć, czego dowiedziałam się od siostry Nan - odparła.

- I nie mogło to poczekać do jutra? - Patrzył na nią nieprzyjaźnie.

- Nie będzie mnie tu jutro rano. A na pewno nie będę miała czasu z tobą gadać... sam wspominałeś, że jesteś rano umówiony na spotkanie. Nie zajmę ci dużo czasu.

Wskazał jej fotel pod oknem.

- A ty nie usiądziesz? - spytała.

- Czy potrwa to aż tak długo? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Tess westchnęła ciężko.

- No, dobrze... będę się streszczać. - Zrelacjonowała mu pospiesznie, co pani Green powiedziała jej o prostytutkach i o tym, że postara się dowiedzieć czegoś bliżej o tych kobietach. Matt przyglądał się jej ponuro.

- Nie, to niemożliwe - powiedział po paru minutach zastanowienia. - Zrobiłem małe dochodzenie i sporo dowiedziałem się na temat nocnych wypraw Dennisa Coliera... Chodził po opium, a nie do burdeli. Poza tym żaden mężczyzna nie sprowadza prostytutek do własnego domu.

- A dlaczego nie? - zapytała. - Jeżeli chciał zhańbić Nan, to mógł to robić.

- Nie robił tego, uwierz mi na słowo. Gdyby sprowadzał sobie do mieszkania kobiety, wiedziałby o tym właściciel kamienicy i wyrzuciłby ich oboje na ulicę. Poza tym, gdy mężczyzna jest odurzony opium, nie ma ochoty na kobiety.

- Nie rozumiem.

- Kobiety go nie podniecają - wyjaśnił Matt.

- Aha.

- Powinnaś o tym wiedzieć - nalegał. - Przecież twój przyjaciel Marsh Bailey zażywał laudanum... Nie było tak?

- Tak, ale nie miałam okazji zobaczyć u niego efektów, o których mówisz - odrzekła spokojnie. - Jedyńm nagim mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam, jesteś ty - dodała po prostu.

- Czy chciałaś mi coś jeszcze powiedzieć? - spytał z trudem; nie mógł oderwać wzroku od jej smukłego ciała pod zwiewnym szlafrocikiem.

- Tylko to, że Edith Green strasznie martwi się o siostrę... Jej miłość dla Nan jest naprawdę pokrzepiająca. Ja nigdy nie miałam rodzeństwa...

- Pamiętam.

Tess przyglądała mu się swymi jasnymi oczyma, w których płonęło pożądanie; było ono tak wyraźne, jak bicie pulsu na jej szczupłej szyi. Wstała.

- Muszę wracać do swego pokoju - powiedziała usiłując ukryć przed nim swe uczucia

- Nie chciałam ci przeszkodzić. Widzę, że szykujesz się do snu...

- Nie - odparł krótko. - Sypiam bez ubrania.

- Och!

Cisza panująca w pokoju pełna była napięcia Tess spojrzała mu w oczy i już nie mogła oderwać od nich wzroku.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to niebezpieczne?

- zapytał ostro Matt.

Nie potrafiła wydobyć słów ze ściśniętej krtani, więc tylko kiwnęła głową.

- Chcę, byś na mnie patrzyła. Dobry Boże, pomóż mi! Niczego na świecie nie pragnę równie mocno!

To powiedziawszy powoli zsunął kalesony; gdy opadły na podłogę, Tess wstrzymała oddech. Matt był pięknym mężczyzną, smukłym, harmonijnie zbudowanym i... podnieconym.

Matt podszedł do łóżka i wyciągnął się na nim. Jego czarne włosy rozsypały się po poduszce. Leżał, drżąc z oczekiwania i pożądania.

Tess przysunęła się do niego; w jej oczach paliło się pragnienie i zarazem wahanie.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - zapytała ochryple. Odwrócił głowę i utkwił w niej spojrzenie czarnych błyszczących oczu.

- Wszystko, co tylko zechcesz.

Zrzuciła szlafrok, a potem drżącymi dłońmi sięgnęła do wąskich „ramiączek koszuli.

- Wszystko, tylko nie to. Tess przełknęła ślinę.

- Nie chcesz na mnie patrzeć? - spytała drżącym głosem.

- Bardzo. - Zacisnął szczęki aż do bólu. - Ale to zbyt niebezpieczne.

- Proszę. - Zsunęła ramiączka, cały czas patrząc mu w oczy.

- Błagam... pozwól mi! Tak bardzo tego pragnę!

Matt skrzywił się, lecz nie odezwał się ani słowem, gdy dziewczyna zsunęła koszulę z ramion i zrzuciła ją na podłogę. Przymknął oczy i zadrżał.

- Umrę, jeżeli to jest wszystko, co możemy mieć - wykrztusiła Tess udręczonym głosem.

- Ja też... - W jego głosie słyhać było ulgę i rozpacz jednocześnie; pokonała go. Wyciągnął do niej ramiona.

Upadła na niego, a on natychmiast przekręcił ją na plecy, tak że leżała pod nim, jej nogi splecione z jego nogami, ciało „ocierające się o ciało, skóra o skórę.

- O, Boże... - jęknęła czując jego męskość przyciśniętą do jej miękkiego brzucha. W pokoju paliły się wszystkie lampy gazowe, lecz ona nie była zawstydzona; byli nadzy... a on taki piękny! Jakże podniecał ją sam jego widok!

Matt uniósł się lekko i przyglądał się jej przez długą chwilę, dopiero potem pochylił głowę nad jej piersiami... ale i wtedy nadal był łagodny i czuły. Cały czas szeptał jakieś dziwne, czule słowa. Długo tylko całował jej ciało, a gdy wreszcie zaczął ssać brodawki, Tess przycisnęła zaciśniętą pięść do ust, by powstrzymać jęk rozkoszy. Czuła jego długie włosy otulające ją niby skrzydła kruka, jego usta na swoim ciele, jego nogi, zaplątane między jej

uda. Matt wsunął jedną rękę pomiędzy jej uda i pieścił ją łagodnie, aż wreszcie wygięła się w łuk i wyprężyla w ekstazie.

Ale i tego było im za mało. Patrzyła na niego oczyma rozszerzonymi z nie spełnionego pożądanía, gdy prowadził jej dłoń w dół swego ciała.

- Musi... być... jakiś sposób - szepnęła Tess. - Och, Boże! Jak ja cię pragnę! Chcę mieć cię w sobie... całego we mnie!

- Tess!

Leżała pod nim, ocierała się o niego, potem objęła go aksamitnymi udami i cały czas patrząc mu w oczy przyciągnęła go do siebie. Nie miał siły się opierać. Przez długą chwilę leżał wpatrując się w jej oczy, błagając niemo o opamiętanie, a potem - widząc jej pragnienie i rozpacz - wszedł w nią jednym długim pchnięciem, tak że aż sapnęła z zaskoczenia. Mimo inicjacji sprzed dwóch nocy, zabolą ją to... Matt poruszył się łagodnie i po chwili ból ustąpił miejsca niewysłowionej przyjemności. Dziewczyna zeszytniała i wbiła mu palce w ramiona.

- Wiem, że cię zabolą, ale już więcej nie będzie boleć... obiecuję. Obejmij mnie.

Posłuchała go zafascynowana nowym błyskiem w jego oczach i dziwnymi, nowymi doznaniem.

- Tylko nie krzycz i nie jęcz - szepnęła cicho z ustami tuż przy jej ustach. - Odgłosy miłości łatwo jest rozpoznać. - Niestety, rozpaczliwie skrzyphiały pod nimi sprężyny materaca.

- Wiem... narobimy mnóstwo hałasu...

Odsunął się od niej, aż jęknęła ze strachu, że go utraci. Wstał z łózka i pociągnął ją za sobą.

- Pozwoliłabyś mi posiąść cię w salonie na dole przy otwartych drzwiach - mruknął patrząc z podziwem na jej nagie, drżące ciało. - Teraz już rozumiesz, jakie to gwałtowne? Jakie niekontrolowane? Próbowałem cię ostrzec, ale mnie nie słuchałaś. A teraz oboje musimy ponieść tego konsekwencje.

- Pragnę cię - jęknęła rozpaczliwie Tess.

- I będziesz mnie miała - odparł ochryple. Położył ją na miękkim dywanie i przez długą chwilę stał nad nią drżąc z pożądanía; potem podszedł do drzwi, pospiesznie zamknął zasuwę i obrócił! klucz w zamku.

Wrócił do niej, podziwiając jej pełne piersi, sterczące w podnieceni, drgające biodra i to, jak jej oczy szklily się pożądaním.

Położył się obok niej, potem przetoczył! na nią i wszedł w nią jednym pchnięciem; załkała i zadrżała. Przesunął dłonie na jej miękkie pośladki i zaczął przyciągać je do siebie w

odwiecznym rytmie namiętności. Dziewczyna zarzuciła ramiona nad głowę i mrużąc cicho, płacząc, pozwalała, by ją brał.

Nigdy nie podejrzewał, że Tess jest zdolna do takiego wybuchu namiętności, do tak dzikiego, niczym nie skrępowanego pożądania. Poruszała się pod nim z drapieżnością dzikiej kocicy i zagryzała wargi do krwi, by stłumić jęki. Poruszał się w niej tak, jak chciała, lecz nadal nie mogła osiągnąć upragnionego rozładowania.

- Przestań... - jęknęła wreszcie unosząc ku niemu ciało wygięte w łuk. - Już dłużej nie mogę! Przestań, proszę!

- Nie krzycz - szepnął ochryple, Wszedł w nią mocno i nieomal brutalnie. Prawie natychmiast osiągnęła szczyt, gryząc go w ramię, by nie krzyczeć z rozkoszy; dopiero gdy omal nie straciła przytomności i opadła bezwładnie na podłogę, on wreszcie znalazł rozładowanie. Przymknął oczy i poddał się wstrząsającym nim spazmom.

Później leżeli tuż przy sobie, obłani potem mimo chłodu panującego w pokoju. Tess nie mogła złapać tchu; jej długie włosy były wilgotne i splecione. Kurczowo trzymała Matta, jakby się bała, że zaraz wstanie i odejdzie od niej.

- Nigdy nie myślałem, że mógłbym aż tak pożądać kobiety - szepnął Matt ochryple. - Byłaś taka piękna...

- I ty też - odparła cichutko. Tulila się do niego z całej siły.

- Dobry Boże, co my teraz zrobimy?

- Żebym to ja wiedział - odparł ponuro. Nadal drżał po przeżytych spełnieniu i ledwo łapał oddech.

- Wcale nie żałuję - szepnęła. - Nigdy nie będę tego żałować!

- Ja też nie... to było cudowne - rzekł cicho. - To było najpiękniejsze, najwspanialsze doświadczenie w moim życiu.

Uśmiechnęła się do siebie słysząc te słowa.

- Miło mi to słyszeć, nawet jeżeli naprawdę tak nie myślisz. Matt przeturlał ją na plecy i oparłszy się na łokciu, spojrzął jej poważnie w oczy.

- Oj, naprawdę tak myślę. Nie potrafiłbym skłamać w tak ważnej sprawie.

Spoglądała w jego czarne źrenice świadoma wyrazu, jakiego do tej pory w nich nie widziała: mieszaniny dumy, pożądania i... czegoś jeszcze. Czegoś ciepłego, smutnego i spokojnego, czego nigdy wcześniej nie ujawnił.

Delikatnie przesunął dłonią po jej nagim ciele.

- Teraz należysz do mnie - powiedział. - W każdy możliwy sposób.

- A ty do mnie, Matt.

- Nic nie rozumiesz... Jest jeszcze coś oprócz gorącej namiętności, której przed chwilą doświadczyliśmy. Znacznie więcej.

Patrzyła na niego wyczekująco.

- Co?

Odetchnął głęboko i na chwilę przymknął oczy.

- Zaraz ci powiem - rzekł po dłuższej chwili, - Odkładałem to na później przez wiele lat, lecz po tym, co się stało, nie mogę tego dłużej przed tobą ukrywać.

Wstał nagle i podszedł do toaletki; nalał wody do miednicy i zmoczywszy dwa ręczniki, podał jeden dziewczynie. Usiadł obok niej na dywanie i otarł pot z ciała. Ona uczyniła to samo.

- Krwawiłaś tym razem? - zapytał nagle.

- Nie. - Zarumieniła się po uszy. - Poprzednio tak, ale teraz już nie.

Matt uśmiechnął się łagodnie.

- Dzięki temu nie było tak źle, jak czasem bywa za pierwszym razem.

- Wiem. - Odłożyła na bok wilgotny ręcznik i spojrzała na niego z uwielbieniem; był piękny, niczym doskonała grecka rzeźba w muzeum.

- Podobasz mi się naga - szepnął z uśmiechem.

- Co chcesz mi powiedzieć? - zapytała Tess nagle poważniejąc. - Czy to coś nieprzyjemnego?

- Właściwie to nie. - Oparł się plecami o łóżko i przyciągnął ją do siebie. - Pamiętasz ten dzień, gdy poszliśmy razem do rezerwatu i spotkaliśmy tam starego Rączego Jelenia?

- Tak - szepnęła przymykając oczy. - Czuła się kochana, potrzebna i bezpieczna; chciała, by to trwało wiecznie, - Pewnie że pamiętam.

- To spotkanie nie było przypadkowe. Poprosiłem go, by przyszedł.

- Tak?

- Był szamanem i moim krewnym. Spotkaliśmy się wkrótce po tym, jak spojrzałaś na mnie w szpitalu.

- To także pamiętam - odrzekła rumieniąc się lekko. Z uśmiechem pogładził jej wilgotne włosy.

- Bałem się, że coś się wydarzy... mimo iż robiłem wszystko, co w mojej mocy, by zachować między nami bezpieczny dystans. - Westchnął. - Może przewidziałem jakoś to, co się zdarzyło dzisiejszej nocy? Tak czy inaczej, chciałem cię ochronić... a na to był tylko jeden sposób. Raczy Jeleń pomógł mi w tym.

- Jak?

- Pamiętasz ten rytuał, który odprawił? Wtedy jeszcze nie znałaś naszego języka.

- Pamiętam.

- Nigdy wcześniej ci tego nie wyjaśniłem.

- Wiem, często zastanawiałam się, dlaczego.

- Bo nie było takiej potrzeby. To, co zrobił Raczy Jeleń, nie ma żadnego znaczenia w twoim świecie. Było to ważne tylko w świecie moich braci... w świecie, do którego wtedy i ja należałem. Ale gdyby coś miało się stać, chciałem, byś nie była sama.

- Nie rozumiem.

Matt zawahał się, jego ręka na włosach dziewczyny znieruchomiała.

- Tess, Raczy Jeleń udzielił nam ślubu.

Przez chwilę Tess nie wierzyła własnym uszom... nie odezwała się ani słowem i czekała, aż jej otępiały umysł pojmie to, co Matt powiedział. Potem spojrzała mu w oczy.

- Udzielił nam ślubu? - powtórzyła zaskoczona. Matt skinął głową.

- Tak. Wedle praw Siuksów jesteśmy małżeństwem, mimo iż nie dałem twemu ojcu koni, ani nie zalecałem się do ciebie w odpowiedni sposób. Rączy Jeleń wiedział, co do ciebie czuję. Niektóre dziewczynki z naszego plemienia wychodzą za mąż w wieku czternastu lat... czasem nawet wcześniej. Mimo młodego wieku, byłaś już wtedy kobietą... Nie mniej niż dzisiaj.

- Nigdy nawet mnie nie dotknąłeś.

- Ale pewnego wieczora podglądałem cię przy kąpieli... Teraz wstyd mi za to, ale wtedy było to najpiękniejsze doświadczenie mojego życia. Nie wiedziałaś, że cię obserwuję... Byłaś taka piękna!

- I ty mi wypominałeś, że zerknęłam na ciebie w szpitalu! Matt uśmiechnął się lekko.

- Już wtedy pożądaliśmy się nawzajem... Powinniśmy byli przewidzieć, że gdy będziemy przebywać razem, tamy trzymające nas na przyzwoitą odległość, prysną! Po tym, jak pieściliśmy się tamtej nocy, po balu u Jima Kilgallena, wiedziałem już, że to nieuniknione...

- Żałujesz?

- Nie., i mam nadzieję, że i ty niczego nie żałujesz - odrzekł potrząsając głową. - Biali mogą nas potępić” za to, że sypiamy ze sobą nie będąc w formalnym związku, lecz wedle prawa Siuksów jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat!

Tess aż sapnęła; potem spojrzała na niego z ogniem w oczach.

- A ty mnie zdradzałeś!

Matt uniósł brwi; w jego oczach zapaliły się wesołe ogniki, lecz nic nie odpowiedział na to oskarżenie.

- Przecież ty nic nie wiedziałaś o naszym małżeństwie! - A po chwili dodał spokojnie:

- A być może doświadczenie, jakiego nabyłem, sprawiło, że dzisiaj mogłem ci dać tyle przyjemności.

Tess zarumieniła się po uszy i przytuliła mocno do niego.

- Ta przyjemność była nieco przerażająca.

- Wiem. - Przyciągnął ją do siebie i pogładził po włosach. - Ja też nigdy jeszcze nie doświadczyłem niczego podobnego.

- Czy mogę dziś spać z tobą?

- Chcę tego bardziej, niż czegokolwiek na świecie... ale wiesz, że w tym społeczeństwie jest to niedopuszczalne.

- Aha. A ty bardzo byś nie chciał opowiadać swoim białym znajomym, jak i dlaczego zawarliśmy związek małżeński.

Matt nie odpowiedział; przyjemność zatarła wszystkie jego wątpliwości na jakiś czas, lecz gdy teraz spojrzął na Tess, wróciły do niego ze zdwojoną siłą. Zmarszczył brwi i położył rękę na jej brzuchu. Dziewczyna przekręciła się na plecy i cały czas patrząc mu w oczy pozwalala, by wodził palcami po gładkiej powierzchni jej skóry. Doskonale wiedziała, o czym Matt myśli.

- Czy to byłoby naprawdę aż tak okropne, gdyby się stało? W jego oczach czaił się smutek; nie odpowiedział, tylko nadal delikatnie gładził jej brzuch. Tess patrzyła na niego i myślała o tym, jak bardzo pragnie mieć z nim dziecko. Co zrobiłby Matt, gdyby zaszła w ciążę? Czy posłałby ją do jednej ze swych obytych w świecie przyjaciółek, by pomogła jej pozbyć się go? Na twarzy Tess pojawił się nagle strach i Matt to zauważył.

- O co chodzi?

- Te kobiety... twoje znajome... - zaczęła, nie wiedząc, jak skończyć. - Powiedziałeś, że one wiedzą, jak przerwać ciążę...

Przygryzła wargę tak mocno, że w jej oczach pojawiły się łzy bólu.

- Och... nie! - szepnął Matt pospiesznie. - Nie, Tess! Nie mógłbym prosić cię o coś podobnego! Nigdy! - W jego głosie słycać było takie przerażenie, że Tess uwierzyła mu, jednak nadal była zmartwiona. Zbyt często Matt powtarzał jej, że nie chce mieć z nią dziecka. Zmusił ją do tego, by się z nią kochała, by zaspokoił jej potrzeby, lecz nie zastanowiła się nad konsekwencjami. Dopiero teraz poczuła ukłucie poczucia winy.

- Jeżeli będziesz miała dziecko, to nie będzie to tragedia - powiedział Matt krótko. - Nigdy nie powiem ci, że żałuję tego, co dziś zrobiliśmy. Pragnąłem cię aż do bólu... Nie mogłem się powstrzymać.

- Ani ja... Ale przykro mi, że zmusiłam cię do czegoś, czego wołałbyś nie robić.

- Jak mógłbym żałować? W twoich ramionach było mi jak w niebie - rzekł łagodnie. - Wiem, że i tobie było dobrze.

Tess przymknęła oczy i oparła policzek o jego pierś.

- I co my teraz zrobimy?

Matt nie odpowiedział; nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Postąpili nierozważnie, podjęli straszliwe ryzyko wbrew jego rozsądkowi i wbrew jego woli... ale nie mógł jej za to winić; pragnął jej równie gorąco, co ona pożałała jego. Poza tym, jak mógłby żałować tak wstrząsającego orgazmu? Było dokładnie tak, jak zawsze marzył; a teraz będą musieli stawić czoło wszelkim możliwym konsekwencjom. I modlić się, by nie wynikły.

Jakiś czas potem ubrali się i Tess niechętnie, z ociąganiem, podeszła do drzwi; obejrzała się na niego przez ramię.

- Nie martw się - odezwał się Matt cicho. - Najważniejsze jest to, byśmy się nie spieszyli.

- Pani Mulhaney chce, bym się wyprowadziła. Matt skinął głową.

- Niezupełnie, ale uważam, że będzie najlepiej, jeżeli się wyprowadzisz. - Spojrzał na dywan, na którym niedawno się kochali. - Wiesz, że robilibyśmy to ciągle, dopóki ktoś by nas na tym nie przyłapał i nie naplotkował. Wiesz przecież, że tak by było...

Tess wciągnęła powietrze z cichym jękiem.

- Pewnie tak. Ale czy nie zapomnisz o mnie, kiedy już zamieszkam z Ellen? Nie wyrzucisz mnie całkowicie ze swego życia?

- Ależ oczywiście, że nie! Za kogo ty mnie uważasz?

- odparł, a potem uśmiechnął się, by nieco rozładować napiętą atmosferę. - Poza tym mamy przecież sprawę do rozwiązania.

- Nan! - sapnęła Tess. - Och, Boże! Zupełnie o niej zapomniałam!

- Biorąc pod uwagę okoliczności, wcale mnie to nie dziwi!

- odrzekł Matt z uśmiechem.

- No, cóż... biorąc pod uwagę okoliczności... - Tess odwzajemniła uśmiech.

- Lepiej idź już do swego pokoju, zanim ktoś nas przyłapie tak rozebranych, ty bezwstydna ładacznico! - dodał tak czule, jakby te słowa były najpiękniejszym komplementem.

- I kto to mówi!

- Dobranoc! - Matt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobranoc - odrzekła Tess w języku Siuksów i wystawiwszy ostrożnie głowę na korytarz, upewniła się, czy nikogo nie ma w zasięgu wzroku. Potem wyszła pospiesznie i udała się do swego pokoju; zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. Nogi miała jak z galarety, a serce waliło jej jak szalone. Matt kochał się z nią na podłodze, przy zapalonym świetle! Nadal nie mogła złapać tchu po tak wstrząsającym przeżyciu! Chciała kochać się z nim jeszcze raz, i jeszcze... aż do rana, ale musi się stąd już jutro wyprowadzić. I co Matt

czuje do niej teraz, gdy już zaspokoił swą żądzę? Jak będzie patrzył na wszystko jutro, w zimnym świetle dnia? Czy nie będzie na nią zły za to, że przyszła do niego prawie naga i uwiodła go bezwstydnie? Czy będzie się martwił ryzykiem ciąży? Czy nie wyrzuci jej raz na zawsze ze swego życia, gdy tylko okaże się, że nie będzie dziecka?

Położyła się do łóżka, lecz długo nie mogła zasnąć.

Schodząc następnego dnia rano na dół, ubrana w swój najelegantszy kostium, z walizką w dłoni, Tess nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać. Musiała wyteńczyć wszystkie siły, by przybrać bojową minę i nie dać po sobie poznać, jakie piekło przechodzi wyprowadzając się z tego domu. Podeszła do drzwi jadalni; na szczęście Matta nie było wśród domowników. Pani Mulhaney spojrzała na nią znad talerza z poczuciem winy jasno wypisanym na twarzy.

- Zadzwoiłam po Mike'a Kennedy'ego, pani Mulhaney - rzekła Tess do gospodyni. - Dołączyłam koszt połączenia do tygodniowego rachunku - dodała podając starszej damie kopertę.

Pani Mulhaney wstała od stołu i podeszła do dziewczyny; w dłoniach miętoszyła rąbek fartucha, co było oznaką najwyższego zdenerwowania.

- Naprawdę nie miałabym nic przeciwko, gdyby zdecydowała się pani zostać - powiedziała cicho. - Nikt tu nic nie wie o wczorajszych wydarzeniach... Ale pan Davis zdaje się uważać, że najlepiej dla pani będzie, jeżeli zamieszka pani z przyjaciółkami. Mam nadzieję, że nie rozstaniemy się w złości...

- Niech pani nie będzie niemądra - odparła Tess, załując szorstkich słów, jakie wczoraj wypowiedziała pod adresem gospodyni. - Wiem, że była pani dla mnie bardzo dobra... i proszę mi wybaczyć to, co wczoraj powiedziałam. To było głupie i okrutne! Nie chciałam, by wypadło to aż tak melodramatycznie.

- Nie ma o czym mówić. Pani przyjaciółka znalazła się w wielkich tarapatach, a pani tylko chce jej pomóc. Każdy by to zrozumiał. Czy na pewno da pani sobie radę, moja droga?

- Oczywiście. Ellen i jej siostry to dobre dziewczęta i na pewno poradzimy sobie razem. Do widzenia, pani Mulhaney.

- Do widzenia, panno Meredith.

Na dworze czekał na nią powóz; Mike Kennedy wrzucił jej walizkę na górę i pomógł Tess wsiąść do środka.

- Dokąd tym razem, panienko? - zapytał uprzejmie, a kiedy podała mu adres domu Ellen, dodał z uśmiechem: - Aaa... to będzie dom pańien O'Hara... znam je wszystkie. W całym Chicago nie ma lepszych dziewcząt. Takie porządne i ciężko pracujące.

- Mam nadzieję, że przeze mnie nie stracą tej opinii - odparła Tess ponuro.

- Przez panienkę?! A to dobry żart! - Mike chichotał zamykając drzwi powozu i wdrapując się na kozioł.

Tess oparła się o poduszki potrząsając głową. Mike Kennedy nie miał pojęcia, ile szumu narobiła Tess w swoim krótkim życiu i ile jeszcze narobi. Położyła sobie dłoń na brzuchu i przymknęła oczy; miała niejasne wrażenie, że mimo dzielących ich różnic, przed nią i Mattem jest jeszcze wspólna przyszłość.

Ellen bardzo się ucieszyła na jej widok. Dała Tess własny pokój, niezbyt duży, lecz jasny i czysty. Niestety miały bardzo mało czasu na bliższe zaznajomienie się, gdyż podobnie jak Ellen i jej siostry, Tess musiała spieszyć się do pracy.

- No, co prawda nasza praca nie jest tak szlachetna jak twoja - powiedziała żartobliwie Ellen - lecz w końcu jesteśmy tylko biednymi, niewykształconymi dziewczętami z przedmieścia.

- Ojej! - zezłościła się Tess. - Przecież cała różnica polega na tym, że ja miałam możliwości, a wy nie.

- Bardzo się cieszę, że zamieszkas z nami - dodała łagodnie Ellen. - Miałam przecucie, że ta stara Mulhaney cię wyrzuci, kiedy tylko usłyszy, co się stało. Jest taka przyzwoita, że prowadzi swój pensjonat niczym klasztor.

- To bardzo miła kobieta - odrzekła Tess spokojnie. - Raz, gdy Matt zabrał mnie na bal charytatywny, pożyczyła mi nawet swoją etolę z norek.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Ellen z niedowierzaniem. - Kto by pomyślał!

Przypomniawszy sobie, co zdarzyło się po tym balu, Tess zarumieniła się lekko, lecz szybko zapanowała nad emocjami i wesoło pożegnawszy się z Ellen, pobiegła do szpitala.

Miała nadzieję, że dzisiejsza nieobecność Matta przy śniadaniu nie miała nic wspólnego z jego wyrzutami sumienia po wspólnie spędzonej nocy. Potem przypomniała sobie jego słowa, że ma do załatwienia pilny interes z samego rana... Poczuli się nagle tak, jakby po długim deszczowym dniu wyszło słońce. Uśmiechnęła się do siebie i zaczęła nucić pod nosem jakąś wesołą melodyjkę. Życie byłoby doprawdy cudowne, gdyby tylko zdołała wyciągnąć Nan z więzienia, namówić Matta do spojrzenia w oczy duchom przeszłości... no i gdyby udało się wywalczyć prawo głosowania dla kobiet! Ale jeżeli uda się jej osiągnąć tylko pierwsze dwie z tych rzeczy, także będzie szczęśliwa!

Z samego rana Matt odszukał Stanleya; miał dla młodego człowieka zadanie do wykonania, które wymagało sprytu, inteligencji i odwagi. Młodzieniec był zachwycony tym, że szef wreszcie uwierzył w jego zdolności i chce powierzyć mu zadanie nieco bardziej

odpowiedzialne, niż napełnianie piór atramentem. Niestety, kiedy dowiedział się szczegółów, serce w nim zamarło.

- Chce pan, żebym poszedł do burdelu?! - zapytał z niedowierzaniem. - Ależ panie Davis! Ja obiecałem matce, że...

- Nie chcę, żebyś tam coś robił! - odrzekł Matt z irytacją. - Chcę tylko, żebyś zadał parę pytań. Zdobyłem nieco nowych informacji w sprawie zamordowania Dennisa Coliera i proszę, byś je sprawdził. Chcę wiedzieć, czy znała go któraś z zatrudnionych tam pań... - Skinął głową w stronę słynnego przybytku rozpusty.

- T mam udawać... klienta? - Stanley przełknął z trudem. Matt zaczynał już tracić cierpliwość.

- Masz po prostu zebrać informacje... jesteś przecież detektywem! Wyglądasz na młodzieńca godnego zaufania i, jeżeli mogę się tak wyrazić, nie stwarzającego zagrożenia.

' - Dlaczego sam pan nie pójdzie? - odważył się zapytać Stanley.

- Bo niedawno aresztowałem szefową tego przybytku pod zarzutem oszukania klienta. Jestem pewien, że rozpoznałaby mnie z daleka i żadna z jej dziewcząt nie chciałaby ze mną rozmawiać.

- Powiedział pan, że to będzie niebezpieczne zadanie - mruknął młodzik z wyrzutem; czuł się oszukany.

Matt poklepał go po ramieniu.

- Na miły Bóg, synu! Wszak to jest niebezpieczne - rzekł najpoważniej, jak umiał. - Pomyśl tylko: możesz zostać zgwałcony! - Stanley obdarzył go niechętnym spojrzeniem, lecz Matta wcale to nie zraziło. - Ochroniarz tego przybytku zawsze nosi przy sobie rewolwer. Jeżeli nie będziesz uważał, może cię postrzelić, więc nie wykonuj zbyt podejrzanych ruchów!

Młodzieniec natychmiast się rozchmurzył; to mu się już bardziej podobało.

- Zrobię, co w mojej mocy, proszę pana. Jakich informacji pan potrzebuje?

- Chcę wiedzieć, czy Dennis Colier był regularnym klientem. Czy spotykał się tu z jakąś konkretną dziewczyną, czy też brał, co popadło. A przede wszystkim, muszę wiedzieć, czy kiedykolwiek zapraszał którąś z dziewcząt do domu.

- To może nie być takie łatwe - rzekł Stanley powoli. - Ale obiecuję, że zrobię, co tylko w mojej mocy.

To powiedziawszy poprawił krawat, strzepnął pyłek z rękawów marynarki i poszedł w stronę drzwi przybytku rozpusty.

Matt czekał na niego na zewnątrz z niepokojem czającym się w czarnych oczach; nie mógł pozwolić, by chłopcu stało się coś złego. Nie kłamał mówiąc, że to niebezpieczna

okolica, a ochroniarz w burdelu wyjątkowo nie znosił detektywów, co było wyłącznie zasługą Matta.

Minęło dziesięć minut; Matt zerknął na zegarek... jak na razie idzie nieźle. Właśnie gratulował sobie w duchu; że tak ładnie rozwiązał całą sprawę, gdy na zapleczu burdelu rozległy się odgłosy ciężkich uderzeń; obawiając się najgorszego, Matt popędził w dół ulicy.

W chwili gdy stanął przy kuchennych schodach przybytku złej sławy, na ziemię potoczył się Stanley - miał rozchełstaną koszulę, był z lekka oszołomiony i obity. Zaraz za nim pojawił się ogromny mężczyzna z rewolwerem w dłoni. Chłopiec nie miał najmniejszych szans. Mimo iż z okien wychylały się dziewczęta, Matt wiedział, że policji powiedzą dokładnie to, co każe im szefowa.

Czując dzikie walenie serca, sięgnął pod marynarkę i wyciągnął długi nóż myśliwski, który zawsze nosił tam na wszelki wypadek.

Teraz bardzo się cieszył z własnej przezorności; ujął nóż za sam czubek ostrza gotując się do rzutu i zaczął czekać, aż ochroniarz wykona pierwszy gest świadczący o jego złej woli.

- Ty szczeniaku! Nikt nie ma prawa gadać z dziewczętami bez płacenia! Za takie wściubianie nosa w nie swoje sprawy będziesz mieć teraz nie lada kłopoty!

- Zostaw go w spokoju! - krzyknął Matt groźnie, lecz tamten tylko odwrócił się i wycelował z rewolweru.

- A kto mnie zmusi?! - odwrzasnął wściekle. Odbezpieczył pistolet dokładnie w tej samej chwili, gdy Matt zamachnął się i rzucił w niego nożem: długie ostrze z przygotowującym o mdłości świstem przecięło powietrze, przebiło materiał marynarki i wbiło się aż po rękojęść w ramię opryszka. Ochroniarz tylko jęknął. Instynktownie zacisnął palce na spuście, lecz kula ugodziła nieszkodliwie w mur... po czym rewolwer wypadł mu ze zmartwiałej ręki.

Stanley z trudem łapał powietrze widząc, jak Matt bez chwili wahania podchodzi do ochroniarza. Mężczyzna leżał na bruku na plecach, lecz na wszelki wypadek Matt kopnął rewolwer jak najdalej od jego ręki, po czym postawił mu nogę na klatce ' piersiowej i jednym ostrym szarpnięciem wyciągnął mu nóż z rany. Patrząc pokonanemu przeciwnikowi prosto w oczy, przyłożył mu zakrwawiony czubek noża do gardła; minę miał taką jakby zamierzał lada moment pchnąć.

- Na miłość boską! - jęknął płacząco pokonany ochroniarz. - Ja tylko wykonuję swoje obowiązki!

Stanley wstrzymał oddech; szeroko otwartymi oczyma patrzył na swojego szefa trzymającego w dłoni długi nóż - zdawało mu się, że widzi go po raz pierwszy w, życiu.

Irytujący, stoicko spokojny mężczyzna, dla którego pracował od lat, nagle okazał się kimś zupełnie obcym; przerażającym człowiekiem, w którego oczach błyszczało coś śmiertelnie groźnego i który trzymał straszny nóż z zadziwiającą zręcznością. I nagle Stanley zrozumiał, że jego szef nie jest wygnanym carewiczem, ani Cyganem, ani arabskim księciem z Hiszpanii. Młodzieniec widział podobne rysy i umiejętności u Indian występujących w show Billa Cody'ego i już nie miał żadnych wątpliwości co do pochodzenia swego szefa.

- Stanley, nic ci się nie stało? - zapytał Matt nadal patrząc ochroniarzowi prosto w oczy.

- Nic, proszę pana - wyjąkał chłopak. Pozbierał się na nogi, otrzepał i drżącymi rękoma podniósł kapelusz z ziemi.

Matt pochylił się i wytarł ostrze noża o kurtkę ранego ochroniarza.

- Masz wiele szczęścia, przyjacielu - powiedział cicho. - Kiedyś zabijałem takich jak ty za samo to, że ośmielili się celować do mnie z rewolweru.

Wyprostował się i wsunął nóż do pochwy wiszącej u pasa. Nadal nie odrywając wzroku od leżącego na ziemi opryszka, wycofał się z alejki i gestem nakazał Stanleyowi to samo. Młodzieniec podążył za nim, lekko chwiejąc się na nogach. Był zawstydzony i zdenerwowany, a przede wszystkim nieco przestraszony nowo odkrytym obliczem pracodawcy.

Matt zatrzymał się dopiero na chodniku szerokiej ulicy i obrócił się do chłopaka.

- Na pewno nic ci się nie stało? - zapytał patrząc na pomocnika przeszywającym wzrokiem.

- Na pewno, panie Davis - odparł młodzieniec odważnie.

- Co tam było?

- Znalazłem dziewczynę, która znała pana Coliera - powiedział podnieconym głosem.

- Rozmawiałem z nią, naprawdę tylko z nią rozmawiałem, gdy do pokoju wpadł ten jegomość i zaczął krzyczeć, że nikt nie ma prawa przebywać z dziewczętami bez płacenia. Kazał mi zapłacić dwadzieścia dolarów i iść do diabła. Właśnie sięgałem do kieszeni po pieniądze, gdy zaczął mną poniewierać.

- On jeszcze długo nie będzie nikim poniewierać.

- Oj, nie, proszę pana, oj nie! - Stanley spojrzął na rękojeść noża wystającą z pochwy u pasa Matta. - Nigdy nie widziałem, by ktoś w Chicago tak rzucał nożem... oprócz show Buffalo Billa, gdzie...

- Naprawdę?

Stanley nie odważył się zadać nurtującego go pytania, natomiast zrelacjonował to, czego dowiedział się od prostytutki.

- Ta dziewczyna, Lily, знаła pana Coliera. Podobno lubił przychodzić do niej, brać ją za rękę i opowiadać o tym, jak to żona źle go traktuje. Nigdy nie chciał od niej niczego więcej, rozumie pan? Chciał tylko, by go słuchała. Lily powiedziała mi, że Colier rozmawiał tylko z nią, ale nawet ona nie była u niego w domu... - Spojrzał na Matta ponuro. - Ona ma dopiero siedemnaście lat i nie jest zbyt ładna, ale miła i taka jakaś... smutna. Mówiła mi, że lubiła pana Coliera, bo tylko z nią rozmawiał, nie kazał jej robić tych wszystkich rzeczy, których wymagają inni klienci. - Zarumienił się po uszy. - Szkoda mi jej.

- Mnie szkoda ich wszystkich - odparł Matt spokojnie. - Są właściwie białymi niewolnicami... a szefowa tego przybytku, to paskudna jędza. Dziewczęta nic jej nie obchodzą, dla niej liczy się tylko zysk. A kiedy dziewczyna zarazi się jakimś syfem, co jest nieuniknione przy tym zawodzie, baba wyrzucają na bruk.

- Czy policja nie może jakoś temu zaradzić?

- Mogą najwyżej zamknąć burdel - odparł Matt. - A ona wyjedzie do innego miasta i tam założy nowy przybytek. Dopóki po tym świecie chodzą mężczyźni, którzy są żądni tego typu usług, zawsze będą kobiety spełniające ich zachcianki. Na tym polega życie w wielkim mieście.

- Podejrzewam, że ma pan rację,.., ale to i tak bardzo smutne. Matt zmarszczył brwi.

- Ale to wszystko nie ma sensu - odezwał się w zamyśleniu.

- Powiedziano mi, że Colier sprowadzał prostytutki do swego domu... Natomiast to, czego ty się dowiedziałeś, przeczy tej teorii.

- Może sprowadzał sobie dziewczyny z innego burdelu?

- zapytał Stanley zastanowiwszy się chwilę.

- Nie wiem... Trzeba się będzie temu przyjrzeć.

- Czy mogę jakoś pomóc, proszę pana? Matt uśmiechnął się krzywo.

- Jeszcze nie straciłeś ochoty, Stanley? Nadal chcesz być detektywem? - spytał z łagodną ironią w głosie.

Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu i potrząsnął głową.

- To wchodzi w krew.

- W takim razie ty się tym zajmij. Ale najpierw muszę skonfrontować to, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy, z moimi wcześniejszymi informacjami.

- Dziękuję panu za zaufanie, panie Davis. Przykro mi, że pana zawiodłem... Byłem nieco oszołomiony, a ten upadek ze schodów pozbawił mnie oddechu i... - pospiesznie tłumaczył się młodzieniec, ale Matt przerwał mu.

- Stanley, sam raz czy dwa leciałem ze schodów, więc nie musisz mi mówić, jakie to uczucie.

Młodzieniec skinął głową. W jego wzroku czaiło się pytanie, które Matt od razu dostrzegł.

- O co chodzi? - spytał niecierpliwie.

Stanley już chciał go zapytać, lecz potem pomyślał, że właściwie lubi swoją pracę i nie chce ryzykować pochopnymi spekulacjami co do pochodzenia Matta, więc tylko się uśmiechnął.

- Ależ o nic, proszę pana. Pójdę teraz do biura i dokończę papierkową robotę.

- Doskonale.

- Dziękuję za wszystko, proszę pana!

Matt odprowadził młodzieńca wzrokiem. Stanley był najwyraźniej skonfundowany. Pewnie domyślił się, gdzie i jak Matt nauczył się tak posługiwać nożem, lecz zbyt go szanował, by zadać pytanie wprost. Nie chodziło chyba o to, że młodzieniec się go boi - wszak Matt nie stanowił dla niego żadnego zagrożenia - a jednak zarzucił temat i odszedł. Dlaczego? To pytanie jeszcze długo nie dawało mu spokoju.

Potem wrócił myślami do Tess i ostatniej nocy; wiedział, że gdy wróci na stację, już jej tam nie zastanie. Na tę myśl ogarnęła go pustka i smutek, Będzie musiał się przyzwyczaić do tego, że nie widuje jej codziennie... ale to może nie być takie złe. Oboje potrzebują nieco czasu, by ochłonąć po tym, co się między nimi wydarzyło.

Matt nie wiedział jeszcze, jak zaadoptuje się do nowej sytuacji, lecz jednego był pewien: nie może stracić Tess. Już wie.

Chciał się z nią spotkać w publicznym miejscu, bo wiedział, że jeżeli znajdą się sam na sam, znowu skończą na jakimś dywanie na podłodze. Zjawił się przed szpitalem właśnie w chwili, gdy Tess po zejściu z dyżuru podchodziła do powozu Mike'a Kennedy'ego.

Na jego widok dziewczyna zatrzymała się jak wryta, a oczy pod szerokim rondem kapelusza zabłysły jej radośnie.

On także się uśmiechnął i podszedł do niej; nie dotknął jej, lecz przez długą chwilę wpatrywali się w siebie z napięciem.

- Jak się masz? - zapytał łagodnie.

- Doskonale. Podoba mi się u Ellen, a dziewczęta są wspaniałe.

- Cieszę się. - Matt skinął głową.

- Czy dowiedziałeś się czegoś nowego, co mogłoby pomóc Nan? - zapytała zgadując, że to z tego powodu przyszedł się z nią zobaczyć.

- I tak, i nie - odparł. - Znaleźliśmy dziewczynę z burdelu, która utrzymywała kontakty z Dennisem Colierem. Problem polega na tym, że nie miała z nim żadnych intymnych kontaktów, ani nie zna nikogo, kto by je miał.

- Jakże to dziwne! - wykrzyknęła Tess. - Przecież pani Green powiedziała mi, że Dennis miał całe mnóstwo kochanek!

- Zastanawiam się, czy ona naprawdę coś wie, czy tylko zgadywała? - powiedział Matt zamyślonym tonem.

- Mówiła o tym takim tonem, jakby była wszystkiego święcie pewna. Niby dlaczego miałyby kłamać? Nienawidziła Coliera za to, jak traktował jej siostrę.

- Może szukamy w niewłaściwym miejscu? - odrzekł Matt, a jego oczy zwęziły się lekko. - Mogę zapytać o to i owo Jima Kilgallena... ma mnóstwo różnych kontaktów na mieście. Może będzie wiedział coś więcej niż pani Green o wyprawach Coliera do burdeli.

- Coś mnie tu niepokoi. - mruknęła Tess, gdy odprawili Mike'a i poszli powoli chodnikiem w stronę centrum miasta.

- Powiedziałeś, że po zażyciu opium Colier nie będzie... zdolny... do kontaktów z kobietami. A jednak załatwiał różne ciemne interesy ze swoimi podejrzanymi znajomymi.

- Przede wszystkim załatwiał różne drobne sprawy dla Jima Kilgallena - wyjaśnił Matt. - Ale potem wdał się w handel opium i innymi narkotykami, a jeszcze później zaczął zażywać to świństwo i przekazywać swoim znajomym wiadomości z telegrafu dotyczące przewozu dużych sum pieniędzy dla banków. Słyszałaś chyba o kasiarzach, co?

- A kto nie słyszał? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. Potem wzruszyła ramionami i dodała: - Colier był zamieszany w całe mnóstwo ciemnych interesów, a jednak zabiła go kobieta. Co do tego nie ma wątpliwości. I choć naprawdę nie wierzę, by to Nan była winna, muszę ci powiedzieć coś, o czym wcześniej ci nie wspominałam.

- Co takiego? - zatrzymał się w pół kroku.

- Tego wieczora, gdy zamordowano Dennisa, Nan miała krew na rękawiczkach.

Matt wciągnął powietrze z głośnym sykiem.

- Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Dlatego, że pomyślałabyś dokładnie to, co myślisz teraz!

- odpalila z gniewem. - Ta krew automatycznie wskazuje na jej wine, prawda?! Ale ona powiedziala, ze to krew kurczaka, ktorego przygotowywala na obiad! Chyba wiesz, ze kurczaki krwawia, gdy sie je zabija?

Matt patrzył jej w oczy nieruchomym wzrokiem.

- Tess, a skąd Nan wzięłaby żywego kurczaka? - spytał poważnym tonem. - W mieście kurczaki kupuje się na bazarze... a tam wszystkie już są martwe.

O, Boże - jęknęła Tess. Poczwała się nagle tak, jakby cały świat zwałił się jej na głowę. Dosłownie się zgarbiła, głowa jej opadła - O wielki Boże!

- Czy bardzo spieszysz się do domu? - zapytał Matt ni z tego, ni z owego.

- Nie, skądże.

- W takim razie chodź! - Ujął ją za rękę i pociągnął za sobą w dół ulicy.

Złapał przejeżdżającą dorożkę i niedługo potem byli już na posterunku policji; chciał porozmawiać z policjantem, który był na miejscu zbrodni, gdy znaleziono ciało Dennisa Coliera, ale okazało się, że właśnie pojechał interweniować w sprawie jakiejś małżeńskiej kłótni. Matt nalegał tak długo, aż wreszcie, dla świętego spokoju, oficer dyżurny dał mu pożądany adres. Matt podziękował mu uprzejmie, po czym pociągnął Tess do następnej dorożki i podał woźnicy adres.

- Chyba nie chcesz wpaść w sam środek jakiejś burdy i zadawać pytań nie związanych z...

Ale Matt nie dał jej dokończyć.

- Tylko jeżeli nie będę miał innego wyjścia - obiecał mrukiwie, po czym spojrzał na nią rozweselony. - Czyżbyś nie wierzyła, że potrafię sam się obronić? Myślisz, że pijacka burda to dla mnie za dużo?

- Nie o to chodzi. Sądząc po liczbie rannych przywożonych codziennie do szpitala, odniosłam wrażenie, że połowa mieszkańców Chicago zawsze chodzi uzbrojona po zęby, jak nie w rewolwery, to chociaż w noże. - A potem, przypomniawszy sobie wszystkich rannych po bitwie o Wounded Knee, dodała cicho: - Przepraszam, nie chciałam wywołać wspomnień.

- Nie musisz mnie przeproszać, nie jestem aż tak przewrażliwiony - odrzekł łagodnie. - Nauczyłem się żyć ze złymi wspomnieniami.

- Ale wszystko inne, co dotyczy twojej przeszłości, jest tu tematem tabu.

- Wiesz przecież, że się staram. - Przyjrzał się jej z nie ukrywaną ciekawością. - Tobie to naprawdę nie przeszkadza, prawda?

- Że jesteś Indianinem? Ależ skąd! - Bez zmrużenia patrzyła mu w oczy; Matt uśmiechnął się.

- Dlaczego?

- Bo pochodzisz z dumnego narodu, który przez długie lata żył w pokoju na swojej ziemi i wspaniale się nią zajmował, dopóki biali ludzie nie napadli, żeby ją odebrać. - Na jej

wargach pojawił się smutny uśmiech. - Pamiętam, jak twoich braci mierzył widok białej kobiety, która biła swoje dziecko. Dzieci Siuksów nigdy nie bywały bite, od małości uczono je szacunku dla starszych, ale nie znały uderzenia ręki ani rzemienia.

- Masz rację.

- Pamiętam też, jak twoi bracia dzielili się wszystkim... i że najczęściej najbardziej szanowani byli ci najbiedniejsi, gdyż to oni właśnie oddawali swym braciom wszystko, co mieli. - Potrząsnęła głową. - Dla Siuksów rzeczy materialne nie przedstawiają żadnej wartości, ale biali nie potrafią żyć bez oznak swego bogactwa. Muszą mieć największe domy, najpiękniejsze meble i najdroższe ubrania... a dokoła nich biegają małe dzieci marznące i przymierające głodem.

- I które z nas jest teraz Siuksem? - mruknął Matt pod nosem. Tess spojrzała na niego spod oka.

- Ja jestem Indianką w sercu, a ty jesteś biały na zewnątrz. Słyszając jawne oburzenie w jej głosie, Matt uniósł brwi. Nie zdążył jednak nic odpowiedzieć, gdyż dorożka zatrzymała się przed domem, z którego odchodziły okropne odgłosy walki. Tuż przy krawężniku stała policyjna karetka.

- Sądząc po odgłosach, to istne piekło - burknęła Tess.

- Pewnie masz rację - odparł Matt i pomógł jej wysiąść z dorożki. Podeszli do schodów, a wtedy odezwał się woźnica karetki.

- Panienko, niech panienka tam nie wchodzi! Tam jest niebezpiecznie! - zawołał.

Tess obdarzyła go urażonym spojrzeniem i nie zwolniła nawet kroku.

- Proszę pana, niech pan ją powstrzyma! - przerażony woźnica krzyknął do Matta, ale on tylko roześmiał się wesoło.

- Jeżeli ją powstrzymam, to kto mnie obroni, kiedy już tam wejdem?

Policjant opadł na kolana najwyraźniej zbyt zaskoczony, by wydusić z siebie choć słowo. Tess roześmiała się głośno.

- I za to właśnie kocham cię najbardziej - mruknęła Tess, gdy już weszli do kamienicy.

- Nigdy nie traktujesz mnie jak bezbronne dziecko.

- Przecież doskonale wiem, że nie jesteś bezbronna. Niby kto wsadził strzałę w tyłek Czejenowi, który mierzył do mnie z Winchestera?

- Aaa! To były dzikie, szalone dni! - odrzekła dziewczyna z westchnieniem; zaraz potem zatrzymali się przed drzwiami, zza których dochodziły potworne hałasy. - Swego czasu Bill Cody zaproponował mi pracę w swoim show z Dzikiego Zachodu...

Mówił, że byłabym nie lada atrakcją... mała biała dziewczynka, która potrafi strzelać z łuku i doskonale mówi w języku Siuksów.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś!

- Bo nigdy mnie o to nie pytałeś! - wytknęła mu ze stoicku powagą. - Poza tym, miałam nadzieję, że pewnego dnia będziesz miał dość Chicago i wrócisz do mnie, do Montany.

- Było we mnie zbyt wiele smutku, zbyt wiele przykrych wspomnień. Ale wiem, że stary Rączy Jeleń poszedł z Codym. Spotkałem go, gdy występowali w Chicago - dodał cicho.

- Powiedział mi, jak fatalnie zrobiło się w Pine Ridge po tym, jak wyjechałem... Mówił, że po masakrze ludzie zaczęli się wstydzic tego, że są Siuksami... że zaczęli wierzyć, iż Wielki Duch się od nich odwrócił, bo w przeciwnym razie jakże by mógł pozwolić białym na takie zwycięstwo? Podobno nie chcieli już czarowników, nie ufali im i wygonili ich z wiosek. Cóż, resztę znasz... Jeżeli nie jesteś biały, jesteś bezwartościowy...

- Czy ty też się tak czujesz?

Skinął głową, lecz coś w jego oczach powiedziało Tess, że to nie jest cała prawda.

- Coś się stało? - zapytała.

- Tak.

- Co takiego?

- Dzisiaj mój młody podwładny ugryzł się w język i nie zadał mi pytania o moje pochodzenie... I to nie dlatego, że się mnie bał - dodał po chwili. - Nie zadał tego pytania, bo był pełen podziwu.

- Nie rozumiem - odrzekła zaskoczona tą dziwną uwagą.

- Rzuciłem nożem w ochroniarza burdelu, który celował do mnie z rewolweru. - Roześmiał się krótko. - A ten gnojek był pod wrażeniem... jednak zbyt mnie szanuje, by zadać krępujące mnie pytanie. Wyobrazasz to sobie?

- No, jasne! Ja sama byłam pod twoim wrażeniem od dnia, gdy skończyłam czternaście lat! - Tess wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Może ja sam powinienem poprosić Billa Cody'ego o pracę? Najwyraźniej potrafi przywrócić Indianom wiarę w siebie pokazując światu, jak wspaniałymi są wojownikami.

- To taniocha.

- Ale atrakcyjna. Poza tym wprawia to w zachwyt tłumy, a rząd ma tego coraz bardziej dość. - Uśmiechnął się złośliwie. - Dzięki Cody'emu niektórzy wodzowie stali się sławni na całym świecie.

- W takim razie jestem usatysfakcjonowana - odrzekła poważnie.

Matt właśnie zaczął coś odpowiadać, lecz w tej samej chwili drzwi do mieszkania się otworzyły i wyszło przez nie trzech posiniaczonym i obitych mężczyzn. Zaraz potem zobaczyli policjanta leżącego w mieszkaniu na podłodze; nieszczęśnik wrzasnął, by powstrzymali opryszków. Matt spojrział pytająco na Tess, która bez wahania skinęła głową.

Tak więc Matt przewrócił pierwszego z obwiesiów i wrzucił z powrotem do przedpokoju. Tess podeszła do drugiego i władowała mu kolano w podbrzusze, a gdy zgiął się z bólu, poprawiła drugim kolaniem w podbródek, tak że był nieprzytomny, zanim zdążył opaść na podłogę.

Trzeciego powstrzymał ostrzegawczy strzał oddany przez policjanta, który właśnie pozbiarał się na nogi i chwiejnie wyszedł na korytarz. Opryszek uniósł ramiona do góry i z niedowierzaniem popatrzył na dwoje ludzi, którzy pokonali jego kołesiów.

- Jestem panu dozgonnie wdzięczny - wysapał policjant przykładając chusteczkę do długiej rany na czole.

- Ja załatwiłem tylko jednego. Ona - wskazał na Tess - zajęła się drugim.

- Naprawdę? Policjant popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jestem starym, doświadczonym wojownikiem z plemienia Siuksów - powiedziała dziewczyna z pokerową miną.

- Nie takim znowu starym - mruknął Matt z uśmiechem.

- Ale nadal potrafi zwalić mnie z nóg, gdy tylko zechce. Policjant roześmiał się, nie bardzo wiedząc, czy ma wierzyć tej dziwnej parze. Potem zawołał policjanta z dołu i kazał mu zapakować do karetki trzech obwiesiów.

- Będziemy też potrzebować ambulansu - dodał policjant.

- Omal nie załatwili na śmierć swego ojca., leży nieprzytomny w mieszkaniu.

- Zaraz kogoś pošlę.

- Jestem pielęgniarką mogę jakoś pomóc? - zapytała Tess.

- Ależ oczywiście!

Zaprowadził dziewczynę do mieszkania, gdzie na podłodze leżał posiniaczony i poraniony starszy mężczyzna. Tess opatrzyła go w miarę możliwości, podczas gdy Matt rozmawiał z policjantem.

- Na posterunku powiedziano nam, że tu pana zastaniemy - zaczął, gdy już przedstawił siebie i Tess i wyjaśnił, dlaczego chcieli się z nim spotkać. - Muszę wiedzieć, w jakim stanie była kuchnia Colierów, gdy pan się tam zjawił.

Mężczyzna spojrział na niego ze zdziwieniem; najwyraźniej nie takiego pytania się spodziewał.

- Cóż, był tam okropny bałagan - powiedział po chwili zastanowienia. - Zdaje się, że pani Colier zabiła kurczaka na obiad, oskubała go i ugotowała,, jednak nic nie posprzątała, bo pióra walały się po całej kuchni. Powiedziała nam, że dostała kurczaka od sąsiada, który go co prawda zabił, ale nie wypatroszył... Musiała zrobić to sama i nie posprzątała, bo gotowała obiad dla gościa, którego spodziewali się wczesnym wieczorem, a potem spieszyła się na jakieś zebranie. Nigdy specjalnie nie wierzyłem w tę historyjkę.

Bo i nie jest prawdziwa, pomyślał Matt. Jim Kilgallen powiedział mu przecież, że nie zjadł kolacji u Colierów, tylko zrzucił Dennisa ze schodów i zabrał Nan do siostry i szwagra. Nie mieli czasu na posprzątanie kuchni. Nan najwyraźniej nie chciała nikomu mówić o swoim związku z Jimem Kilgallenem, ale to, co powiedział policjant potwierdzało jej wersję wydarzeń... wyjaśniało też obecność krwi na jej rękawiczkach. Matt miał ochotę zakłąć. Nadal nie byli ani trochę bliżej rozwiązania zagadki, a Nan miała już bardzo mało czasu; rozprawa miała się odbyć za niecały tydzień. Zostało jeszcze jedno pytanie do zadania:

- Tak się zastanawiam, czy któryś z sąsiadów wspominał panu, że do Coliera przychodziły prostytutki, kiedy jego żony nie było w domu.

- Dobry Boże, nie. - Policjant zamyślił się i po chwili dodał: - Nie, prostytutki na pewno nie, ale ktoś widział kobietę wybiegającą z jego mieszkania zaraz po tym, jak Colier wrzasnął, że go mordują. Niestety miała na sobie ciemny płaszcz i kapelusz. Świadkowie, z którymi rozmawiałem, mówili, że była chuda i miała pociągłą twarz. Nie wyglądało mi to na panią Colier, ale świadkom czasem miesza się w głowach.

- Tak, wiem. - Starał się przypomnieć sobie kogoś pasującego do tego opisu, lecz nie potrafił. Natomiast Tess kojarzyła fakty bezbłędnie. Widział, jak poblądła i zrozumiał, że wie już, kto odpowiada temu rysopisowi. Była to ostatnia osoba, którą Tess podejrzewałaby o zamordowanie Dennisa Coliera... aż do tej chwili.

Na szczęście zachowała zimną krew i nie odezwała się ani słowem, dopóki nie znaleźli się sam na sam. Zrobiła, co mogła, dla rannego staruszka i zaczęła z nim, dopóki nie nadszedł ambulans ciągnięty przez dwie wychudłe szkapy. Do mieszkania weszło dwóch sanitariuszy, którzy znali ją ze szpitala, więc wymienili pozdrowienia i skinąwszy uprzejmie głowami Mattowi i policjantowi, zanieśli rannego do szpitalnego pojazdu.

- Bardzo państwu dziękuję za pomoc - powiedział policjant, na co Matt uśmiechnął się nieco sztucznie.

- To my bardzo panu dziękujemy - odparł, nadal nie potrafiąc spojrzeć na Tess.

- Wiedzą państwo, że pani Colier siedzi w więzieniu pod zarzutem morderstwa?

- Tak, wiemy - rzekła Tess i pożegnawszy się uprzejmie, pociągnęła Matta na ulicę.

- Coś sobie przypomniałaś, prawda? - zapytał, gdy już znaleźli się poza zasięgiem słuchu policjanta.

- Tak! Matt, naprawdę nie przypominasz sobie nikogo pasującego do tego rysopisu? - spytała, patrząc na niego oczyma rozszerzonymi z przejęcia. - Nie znasz nikogo, kto by nienawidził Dennisa Coliera i pragnął jego śmierci?

- Ależ oczywiście! - Matt zdziwił się, że dopiero teraz o tym pomyślał. - Mój Boże! Siostra Nan... Edith Green!

- Właśnie! - wykrzyknęła dziewczyna - Nie rozumiesz? Zrobiła z nas głupców! Dawała nam fałszywe wskazówki i starała się, byśmy zapomnieli, że oprócz Nan to właśnie ona miała najlepszy powód, by zamordować Coliera!

- Czy ta kobieta ma aż tak twarde serce, że pozwoli, by sąd skazał jej własną siostrę za zbrodnię, którą sama popełniła? - szepnął zdumiony Matt.

- Mam wrażenie, że zrobiła to powodowana jakimś gwałtownym uczuciem... Może on ją uderzył, albo groził, że zabije Nan? Nie sądzę, by była zdolna do morderstwa z zimną krwią... nie sądzę, by to zaplanowała.

- Masz rację. No cóż, pani detektyw? Dokąd teraz?

- Chodźmy do pani Green i przekonajmy się, czy potrafimy zmusić ją do przyznania się do winy!

- Brian Green będzie w domu - powiedział Matt potrząsając głową - Boże, jakże mi go szkoda! W jego wieku, nigdy się z tym nie pogodzi...

- Jeżeli zatrudnił dobrego adwokata, może pani Green jakoś się wybroni? Bóg jeden wie, że żadne prawo nie zabrania zabijania podstępnych jadowitych węży!

Matt roześmiał się cicho.

- % czego się śmiejesz?

- W naszym języku nazywamy się „Lakota” czyli „związek przyjaciół”, to biali mówią na nas „Siuks”... Wiesz, co to znaczy? Jedni twierdzą, że to znaczy „wróg”, ale nie mam pojęcia, w jakim języku. Inni mówią, że to skrócona wersja słowa nadewisou, które oznacza „Jadowity wąż”.

- Nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłeś!

- Bo ja nie jestem jadowitym wężem - stwierdził szczerząc zęby w uśmiechu. - Ale Dennis Colier był i może pani Green ma jeszcze jakąś szansę. Znam doskonałego adwokata z Teksasu, który przyjedzie tu, by ją reprezentować, jeżeli tylko go o to poproszę. Był z nami, ochotnikami Roosevelta, na Kubie.

Tess aż sapnęła ze zdumienia.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że byłeś na Kubie! Tata też nic mi o tym nie wspominał!
Wiedział o tym?

- Tak. Postanowiliśmy ci tego oszczędzić... tylko byś się niepotrzebnie zamartwiała!

- Takiś tego pewien?

Matt nagle spojrzął na nią smutnymi oczyma.

- Już kiedy miałaś czternaście lat, podejrzewałem, że mnie kochasz. Potem dorosłaś i nigdy nie wyszłaś za mąż, a twój ojciec mówił mi, że ciągle o mnie gadasz... nawet całe lata po tym, jak wyjechałem do Chicago. On też podejrzewał, że mnie kochasz... Nie miałem nic przeciw temu, byś przyjechała tu do mnie... musiałem tylko uporać się z moimi przesądami na temat dzielących nas różnic. Starłem się ciebie chronić, jak zawsze... dopiero dzisiaj zrozumiałem, że nie potrzebujesz mojej ochrony, że doskonale radzisz sobie sama... Naprawdę masz serce wojownika. - Uśmiechnął się na widok jej zdziwionej miny. - Nie rozumiesz, że gdybym cię tu nie chciał, nie zabrałbym cię do domu pani Mulhaney? Może znalazłbym ci pracę w innym mieście? Ale nie zrobiłem tego... Tess westchnęła ciężko i potrząsnęła głową.

- Chciałeś, bym tu z tobą została?

- Kocham cię. Naprawdę jeszcze tego nie wiesz?

Zaczął padać drobny śnieg. Było okropnie zimno i nawet gruby płaszcz nie dawał wiele ciepła. Stopy Tess były już od dawna zlodowaciałe, lecz dziewczyna nie poruszyła się. Patrzyła na Matta oszołomiona.

- Niby dlaczego poprosiłem Rączego Jelenia, by udzielił nam ślubu? - szepnął Matt delikatnie dotykając jej policzka. - Niby dlaczego obywałem się bez kobiety przez dwanaście lat?

- Obywałeś...? - sapnęła Tess z niedowierzaniem. - Ale przecież mówiłeś...!

- Mówiłem ci, że znam wiele doświadczonych kobiet - odrzekł tonem spokojnej konwersacji, jakby te rewelacje nie miały dla niego żadnego znaczenia - I to prawda... Tuliłem je, całowałem i pieściłem, jednak nigdy z żadną z nich nie spałem. - Wyszczерzył zęby w łobuzerskim uśmiechu. - Na miłość boską, Tess! Przecież byłem żonaty!

Dziewczyna uderzyła go zaciśniętą pięścią w pierś i warknęła z furją, lecz zupełnie się tym nie przejął; przyciągnął ją do siebie i przytulił, a potem pocałował ją na samym środku chodnika. Kiedy już się od siebie oderwali, zobaczyli, że przechodnie patrzą na nich z oburzeniem... ale nie wszyscy: niektórzy byli wyraźnie rozbawieni.

- Chodźmy teraz do państwa Green... zobaczmy, czego się tam dowiemy. Nan nie powinna czekać w niepewności ani chwili dłużej niż to konieczne.

Matt ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku domu Briana Greena.

Pani Green powitała ich w progu z dziwną miną i zaprosiła do saloniku na kawę. Tam spotkali Briana Greena, który obdarzył ich zdumionym spojrzeniem, gdyż dopiero przed kilkoma minutami wrócił z pracy. Kiedy Edith Green wniosła do pokoju tacę z kawą Matt podszedł i wziął ją od niej. Zauważył, że dłonie starszej kobiety drżą. Uśmiechnęła się sztywno i usiadła na kanapie obok męża, a Matt postawił tace na stole.

- Należy nam pani, panno Meredith? - spytała Edith Green spiętym głosem. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego jestem dziś tak zdenerwowana, ale okropnie drżą mi dłonie. - Roześmiała się nerwowo.

Tess posłuchała; podała wszystkim filiżanki gorącego napoju, po czym sama usiadła trzymając spodeczek na kolanach, a filiżankę w dłoni.

- Dziwna pora na odwiedziny, jeżeli mogę tak powiedzieć - odezwał się Brian Green.

- Przykro mi, ale nie przyszedliśmy tu z towarzyską wizytą - odrzekł Matt ponuro. - Od dawna prowadziliśmy własne śledztwo i wreszcie znaleźliśmy podejrzanego w sprawie zabójstwa Coliera. - A po chwili dodał z wystudiowaną nonszalancją:

- Wiemy już, kto go zamordował.

- Na miłość boską, kobieto! - wykrzyknął Brian Green, gdy jego żona, słysząc te słowa, wylała na siebie kawę.

Pani Green złapała gwałtownie serwetkę i wytarła kawę z sukni; potem spojrzała na Matta przerażonymi oczyma.

- Jak się dowiedzieliście? - spytała napiętym głosem.

- Sąsiedzi widzieli, jak wybiegała pani z domu Colierów.

- To bezczelne kłamstwo! - wybuchnął Brian Green, lecz Matt uciszył go zimnym spojrzeniem i położył mu dłoń na ramieniu.

- Od razu pani powiem, pani Green, że nie wierzę, by była pani zdolna do morderstwa z zimną krwią - rzekł spokojnie.

- Znam też adwokata, doskonałego prawnika specjalizującego się w podobnych sprawach, który na pewno panią wybroni. Colier to był wstrętny szczur i wszyscy o tym wiedzą. Sprowadzimy świadków, którzy przysięgną, że katował pani siostrę i zażywał narkotyków... to przekona ławę przysięgłych, że lepiej, iż już nie chodzi po tym świecie.

Pani Green siedziała na kanapie łkając rozpaczliwie. Przyłożyła serwetkę do oczu i pochyliła się zaciskając dłonie na kolanach. Jej mąż patrzył na to z przerażeniem.

- Powiedziałabym wszystko... nie pozwoliłabym, żeby ją za to powiesili! Musicie mi uwierzyć - wykrztusiła przez zęby. - Ale bałam się! Tak bardzo się bałam!

- Teraz już nie ma powodu do obaw - wtrąciła łagodnie Tess.

- Niech nam pani wszystko opowie od początku.

Edith Green otarła oczy i siąknęła nosem, a potem spojrzała przeprasząco na męża.

- Nan przysłała do nas cała posiniaczona... wyglądała jak śmierć... Powiedziała, że Dennis przysiągł, iż ją odnajdzie i zabije... mówiła, że nie może iść z nami do domu, bo boi się, że Dennis nas też skrzywdzi. Jakoś jej to wyperswadowaliśmy, ale następnego dnia rano, gdy on - skinęła głową w kierunku męża - poszedł do pracy, Nan strasznie się wystraszyła. Poszłam więc do Coliera i powiedziałam, że odeślę mu Nan do domu, jeżeli tylko obieca więcej jej nie bić. Oczywiście, nie zamierzałam tego robić, chciałam tylko zyskać na czasie. Ale on był okropnie pijany... powiedział, że jeżeli Nan zaraz do niego nie przyjdzie, on weźmie pistolet, przyjdzie do nas i ją zabije. Mówił to w taki sposób, że ani przez chwilę w to nie wątpiłam. Wiedziałam, że to zrobi. Byłam śmiertelnie przerażona, ale pomyślałam, że może uda mi się go przekonać... Myślałam, że uda mi się go przestraszyć... żeby więcej nie pastwił się nad Nan... żeby zostawił ją w spokoju. Przecież z większością ludzi można się dogadać, prawda?

- Ale nie z pijanym jak bela draniem! Nawet nie powinnaś była próbować, ty szalona kobieto! - jęknął Brian Green i złapał żonę za rękę.

- Teraz już to wiem, kochanie. Ale wtedy sądziłam, że to najrozsądniejsze wyjście. Gdybyś ty poszedł tam zamiast mnie, mógłby cię zabić bez ostrzeżenia. - Odetchnęła głęboko i pobladła jeszcze bardziej. - Wyszłam stamtąd, lecz po chwili wróciłam. W przedpokoju było ciemno... a potem weszłam do pokoju. Nie poznał mnie. Zawołał Nan.., tak głośno, że na pewno wszyscy sąsiedzi go słyszeli. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie. Drżały mi kolana... i tak okropnie zaschło mi w gardle, że zdołałam tylko wykrztusić jego imię. A on przysunął się do mnie i wtedy to zobaczyłam..

- Co pani zobaczyła? - zapytał Matt.

- Rewolwer - odparła - Na stole za nim leżał rewolwer. Colier roześmiał się cicho i powiedział, że zajmie się mną raz na zawsze... że nauczy mnie rozumu... ale, że najpierw mam mu dać to, co damę temu bogatemu draniowi, z którym się włóczę. Cały czas brał mnie za Nan. Był tak okropnie pijany! Ledwo trzymał się na nogach...

- I co było dalej? - zapytała łagodnie Tess. Pani Green spojrzała na nią zamglonymi oczyma.

- Wstał od stołu i podszedł do mnie... zaczął mnie przeklinać i uniósł pięść... wiedziałam, że jeżeli mnie uderzy, nie będę mieć najmniejszej szansy. Na stoliku obok drzwi stał koszyk z szyciem... sięgnęłam do niego i wyciągnęłam nożyczki. Uderzył, lecz uchyliłam

się i rąbnął pięścią w drzwi. Wrzasnął... a ja... - Z trudem przełknęła ślinę i widać było, że walczy z falą nudności. Zamknęła na chwilę oczy i wzdrygnęła się. - Po prostu zamachnęłam się tymi nożyczkami. Dennis zatoczył się i cały czas wrzeszcząc upadł do tyłu. Nawet nie sprawdziłam, w co go dźgnęłam... po prostu otworzyłam drzwi na oścież i uciekłam stamtąd. - Zagryzła wargi i z trudem powstrzymała łzy. - Nie chciałam go zabić. Bóg mi świadkiem, chciałam go tylko powstrzymać przed skrzywdzeniem Nan! Tess podeszła do niej i objęła ją.

- Wiem, że powinnam była powiedzieć to wszystko zaraz, na początku... kiedy tylko aresztowano Nan. - Edith kołysała się monotonicznie i tkała - Ale tak bardzo się bałam! Nie chciałam też zhańbić mojego męża i malutkich dzieci., Tak bardzo mnie to męczyło... Cieszę się, że już jest po wszystkim. Nieważne, czy mnie powieszają... zabiłam człowieka i należy mi się za to kara.

- Zabiła pani podstępnego węża - odrzekł Matt - i należy się pani medal za odwagę. I proszę się nie martwić... Jutro z rana wyślę telegram do Jerry'ego Dunna z Fort Worth... Poproszę go, by panią bronił. Na pewno przyjedzie - dodał pewnym tonem.

- Myśli pan, że ten Dunn da radę wybronić moją żonę?

- zapytał ochryple Brian Green.

- Jestem tego pewien - odparł Matt poważnie. - To oczywista samoobrona, a ja mogę znaleźć dwudziestu świadków, którzy pod przysięgą zeznają jakim draniem był Colier... i jeszcze dwudziestu, którzy poświadczą kryształowy charakter pańskiej żony.

- Wiedział, że może to obiecać... Jim Kilgallen na pewno znajdzie i stu ludzi, którzy staną w obronie Edith Green... która już wkrótce zostanie jego szwagierką.

Brian Green nadal był zmartwiony, lecz jego twarz nieco się rozpogodziła.

- No, cóż... kochanie. Chyba musimy udać się na posterunek - powiedział łagodnie.

Skinęła głową i otarła oczy. Potem uśmiechnęła się łzawo do Tess.

- Bardzo mi przykro... W innych okolicznościach nie skrzywdziłabym muchy.

- Colier był podłym draniem - rzekł Matt zimno. - Dostał to, na co zasługiwał. Przykro mi tylko, że pani i Nan zostałyście w to wszystko wplątane.

- Jest pan bardzo miły, panie Davis - szepnęła Edith Green.

- Wyśle pan depezę do tego pana Dunna? - upewnił się Brian Green.

- Zaraz z samego rana - obiecał Matt, a potem podniósł się i pomógł wstać Tess. - Jeżeli wolno, chcielibyśmy pójść z państwem na posterunek... Odprowadzimy potem panią Colier do hotelu.

- Nie ma mowy - burknął Green. - Ona zamieszka tu u nas. Tu jest jej miejsce.

- Wyjątkowy z pana człowiek, panie Green - powiedziała Tess łagodnie, na co policjant omal się nie zaczerwienił.

- No, cóż... Nan to dobra dziewczyna... nawet jeżeli ma dziecko, no... - Nie dokończył widząc złe spojrzenie żony.

- Myślę, że jeżeli chodzi o Nan i jej dziecko, czeka was parę niespodzianek - mruknął Matt pod nosem. - Ale sami się o tym przekonacie... Nie chcę uprzedzać faktów. Poza tym wystarczy wam jeden szok.

Nan została zwolniona, lecz jej radość przytłumił fakt, iż jej miejsce w celi zajęła siostra. Gorąco podziękowała Mattowi i Tess, po czym poszła do domu wraz ze swym załamany szwagrem. Powiedziała, że pomoże mu w opiece nad dziećmi i uśmiechnęła się myśląc o własnym, jeszcze nie narodzonym dziecku.

- Jak myślisz, co zrobi Kilgallen? - zapytała Tess, gdy już wyszli przed więzienie i stali na ostrym mrozie.

- Myślę, że ożeni się z nią nie czekając nawet, aż skończy się przepisowy okres żałoby. - Matt roześmiał się wesoło. - Ja bym właśnie tak postąpił.

- Naprawdę? Ty?! Bardzo konserwatywny Matt Davis? Spojrzał na nią z góry.

- Nie czuję się już tak konserwatywny, jak jeszcze kilka tygodni temu - przyznał z uśmiechem. - Może nadszedł już czas, bym wreszcie wylazł ze swej skorupy?

- Nie mogę się tego doczekać! - zawołała Tess przekornie i popatrzyła na niego z czułością.

Matt złapał ją za rękę i pocałował.

- Odprowadzę cię do domu Ellen... a potem muszę wrócić do własnych spraw. Zostało mi jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Nic zobaczymy się przez najbliższy tydzień... może dłużej. - Spoważniał. - Tess nie trać wiary we mnie. Nie zawiodę cię.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - odparła, a potem uśmiechnęła się promiennie. - Kocham cię.

Matt westchnął.

- Ja też cię kocham... Mam nadzieję, że będziemy żyli tysiąc lat. Razem.

- Z naszymi dziećmi i wnukami - dodała spodziewając się jego protestu, lecz Matt tylko się uśmiechnął. Odprowadził ją do drzwi domu Ellen, na pożegnanie pocałował lekko w policzek i odszedł swoją drogą.

Tydzień później Matt przesłał jej do szpitala specjalne wydanie „Chicago Timesa”. Na pierwszej stronie kolumny towarzyskiej widniało ogromne zdjęcie Indian Oglala i Siuksów występujących w show Billa Cody'ego - niedługo mieli wyjechać do Nowego Jorku z

gościnnymi występami. W centralnym punkcie zdjęcia widać było dwóch wodzów plemiennych i starego czarownika, Rączego Jelenia., a między nimi stał znany detektyw, Matt Davis, w skórzanych spodniach i takiej samej kurtce, z ogromnym pióropuszem na głowie i barwach wojennych na twarzy.

W artykule było napisane:

Znany w całym Chicago detektyw, Matt Davis, pozował do zdjęć wraz z Indianami z plemienia Siuksów z Południowej Dakoty. Podczas wojny, która zakończyła się 30.12.1890 roku masakrą pod Wounded Knee, pan Davis mieszkał jeszcze ze swoim szczepem i był znany jako Tańczący Kruk. Pan Davis z dumą mówił o swoim pochodzeniu i dziedzictwie i przez kilka godzin rozmawiał w swym narodowym języku z braćmi i Billem Codym. Następne występy zespołu show z Dzikiego Zachodu odbędą się w Nowym Jorku.

Potem było już tylko o samym Billu Codym i jego planach wyjazdu do Europy. Tess patrzyła na fotografię z mieszaniną dumy i radości, tym bardziej że pod zdjęciem widniało pytanie dopisane czarnym atramentem: *Czy poślubisz, tego mężczyznę ?*

Był środek dnia pracy, ale Tess nawet się nie zatrzymała, by pomyśleć, że za podobną niesubordynację może zostać wyrzucona ze szpitala. Gdy tylko znalazła torebkę, wybiegła ze szpitala w czepku na głowie - którego przepisy zabraniały nosić dalej, niż sto jardów od głównego wejścia - i machając dziko rękoma zatrzymała pierwszą z brzegu dorożkę. Kazała się wieźć do biura Matta. Przez całą drogę trzymała gazetę w zaciśniętej dłoni.

Zbliżało się Boże Narodzenie i wszystko było kolorowo przyozdobione - od latarń po werandy domów. Tess przyglądała się temu wszystkiemu z uśmiechem i zastanawiała się, co też Matta podkusiło, by wyjawić światu swą tożsamość. Była tak dumna z niego i tak szczęśliwa, że miała wrażenie, iż zaraz uniesie się w powietrze.

Dorożka wreszcie przedarła się przez południowy zamęt na ulicach i zatrzymała się przed agencją detektywistyczną. Dziewczyna rzuciła dorożkarzowi drobne i wbiegła po schodach powiewając spódnicą.

Wpadła do hallu i zobaczyła Stanleya - siedział na kanapie. Na widok gazety w jej ręku wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wspaniale, co? - wykrzyknął. - Wiedziałem... no, raczej domyślałem się wszystkiego już od dawna, lecz nie śmiałem pytać pana Davisa o jego prywatne sprawy. Proszę sobie wyobrazić! Brał udział w bitwie o Wounded Knee! Powiedział mi, że Siuksowie to dumny naród! Z tego szczepu pochodzi Koń, a także Czerwona Chmura, który pokonał białych w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku!

- W rzeczy samej - z uśmiechem zgodziła się Tess.

Matt usłyszał jej głos i podszedł do drzwi swego gabinetu. Stał bez kapelusza i marynarki, a jego wspaniałe czarne włosy po raz pierwszy były rozpuszczone i w ciężkich falach spływały mu na plecy. Wyglądał olśniewająco.

- I co o tym sądzisz? - spytał ją w języku Siuksów.

- *Wachia ka cha i beduch kien che* - odparła. („Cieszę się, gdy cię widzę”).

- I ja się cieszę - odrzekł po angielsku.

- Mój Boże - wyjąkał Stanley. - Pani mówi w ich języku?

- W rzeczy samej - odpowiedział za nią Matt. - Potrafi też strzelać z łuku, jeździ konno na oklep, a także wytropić i obdrzeć ze skóry jelenia. Sam ją tego nauczyłem... dawno temu, w Montanie.

- No jasne, przecież jesteście kuzynami - rzekł spokojnie Stanley. - Czyli pani też należy do plemienia Siuksów.

- Nie jesteśmy kuzynami - wyjaśnił cierpliwie Matt. - To tylko zasłona dymna, by ludzie nie zadawali zbyt wielu pytań. Właściwie, Stanley, Tess jest moją żoną.

- To prawda, choć tylko wśród Siuksów - odrzekła Tess patrząc na Matta z taką miłością, że Stanley poczuł się trochę skrępowany.

- Ale naprawimy to, gdy tylko uda mi się znaleźć jakiegoś księdza, który zechce nam udzielić ślubu - dodał Matt. - Stanley może cię poprowadzić do ołtarza. Zgoda?

Młodzieniec aż sapnął z zachwytu.

- Naprawdę? Będę zaszczycony. Och, dziękuję panu. Matt położył mu dłoń na ramieniu.

- Wspaniały z ciebie chłopak, Stanley, i mam nadzieję, że wykonasz dla mnie jeszcze niejedno zadanie. Udowodniłeś, że jesteś wspaniałym detektywem i chlubą mojej agencji.

- Bardzo panu dziękuję!

- To ja ci dziękuję, Stanley!

Młody człowiek, zaczerwieniony z podniecenia, pospiesznie poszedł do swego gabinetu. Tess i Matt zostali sami. Matt zamknął drzwi i oparłszy się o nie, przyjrzał się dziewczynie.

- Domyślam się, że twoja odpowiedź jest twierdząca? - zapytał.

- Och, tak!

Podszedł bliżej i popatrzył na zdjęcie w gazecie, którą przyniosła Tess.

- Całkiem nieźle wyszło, prawda?

- Jesteś wyjątkowo przystojny - odparła. - A ja kocham cię bez względu na to, czy nosisz włosy rozpuszczone, czy splecione w warkocz i schowane pod ubraniem.

- Miło mi to słyszeć - odparł z szerokim uśmiechem. Tess uniosła gazetę i spojrzała mu badawczo w oczy.

- Dlaczego, Matt? - spytała.

- Nauczyłaś mnie, że nie da się uciec od własnej przeszłości - powiedział po prostu. - Ty nigdy przed niczym nie uciekasz, Tess, natomiast ja... przeraziłem się tym, co się wydarzyło pod Wounded Knee. Kiedy wreszcie przestałem uciekać i obejrzałem się za siebie, zobaczyłem, że są tam tylko cienie. Nie ma żadnego prawdziwego zagrożenia. - Przyciągnął ją do siebie, pochylił się nad nią i wyszeptał z wargami tuż przy jej ustach: - Nasze dzieci będą wyjątkowe. I chcę mieć ich całą gromadkę.

Tess nie odpowiedziała. Tuliła się do niego z całej mocy, a jej wargi rozchyliły się pod naporem jego ust. Pomyślała, że w istocie będą mieli cudowne dzieci... piękne i mądre, a ona do końca życia będzie dziękować Bogu za to, że pomogła Mattowi uporać się z przeszłością.

Śnieg walił w okna i wiatr wył jak szalony, ale oni tego nie słyszeli; w ich uszach brzmiało odległe bicie bębnow i trzask polan płonących na ogniskach. Szlachetni wojownicy wstawali z popiołów antycznej cywilizacji, ich głosy, dobiegające przez setki lat i mil, śpiewały o pięknie nadchodzących lat.

Tess pomyślała, że pewnego dnia Siuksowie znowu będą dumnym narodem mądrych ludzi, którzy zwalczą uprzedzenia białych i zdobędą należne im miejsce w świecie. Było to tak nieuniknione jak jej nadchodzące szczęście u boku Tańczącego Kruka. Wiedziała też, że razem zdołają te marzenia urzeczywistnić.

EPILOG

Chicago, późna jesień, 1938

Tess uścisnęła mocno dłoń męża, a on odpowiedział jej uśmiechem. Właśnie uczestniczyli w ceremonii zaprzysiężenia ich córki, która miała zostać pierwszą kobietą w historii stanu Illinois piastującą publiczną funkcję. Jej brat, sławny w całym kraju prawnik specjalizujący się w obronie praw mniejszości narodowych, szczególnie Indian, stał obok niej. Jego ciemnoskóra i ciemnowłosa uroda przyciągała do niego spojrzenia setek kobiet, podobnie jak uroda jego siostry przyciągała męskie spojrzenia. Pogoda była paskudna, chłodna i deszczowa, zwiastująca nadejście kolejnej mroźnej i śnieżnej zimy, lecz Tess zupełnie to nie przeszkadzało.

Pomyślała, że w ciągu minionych lat jej dzikie serce dziwnie złagodniało. Wspomniała ich ślub i długie lata, w ciągu których dochowali się dwójki cudownych i uzdolnionych dzieci. Wzięli z Mattem ślub w czasie tygodnia świątecznego i zaczęli wspólne, radosne życie. Co prawda od czasu do czasu, aż do początku lat dwudziestych, Matt był zmuszony wyciągać Tess z więzienia. Te przygody stały się rzadsze, gdy w 1920 roku poprawki do Konstytucji nadały kobietom prawo do głosowania, a w 1924 roku całkiem ustały, kiedy kongres uchwalił, że każdy Amerykanin, czyli Indianie także, ma prawo głosować w powszechnych wyborach.

Tess spojrzała przez salę na wielce szanowanego obywatela Chicago, Jima Kilgallena, którego od dwudziestu pięciu lat nikł nie ośmielił się nazwać Diamentowym Jimem. Siedział obok swej ukochanej żony, Nan. Siostra Nan, Edith Green, reprezentowana przez Jareda Dunna, została uniewinniona spod zarzutu morderstwa pierwszego stopnia i skazana za nieumyślne spowodowanie śmierci z wyrokiem w zawieszeniu. Teraz żyła daleko na Południu wraz ze swym mężem i dziećmi.

Westchnąwszy cicho Tess przypomniała sobie, jak kiedyś, dawno temu, Matt obsesyjnie bał się mieć z nią dzieci. Bał się, że będą żyły zawieszony między dwoma światami i nigdy do żadnego nie wkroczą. Na szczęście wraz z upływem lat te troski rozwiąły się.

- A ty myślałeś, że nasze dzieci będą cierpieć z powodu swego pochodzenia - zgańła go cichym szeptem w chwili, gdy ich zgrabna, śliczna córka kładła rękę na Biblii przygotowując się do złożenia przysięgi.

Matt, którego włosy, podobnie jak loki Tess, posiwiały z biegiem czasu, ujął jej dłoń i uścisnął mocno.

- Natomiast ty nigdy nie miałaś nawet cienia wątpliwości, że zajdą wysoko. - Spojrzał z miłością w jej pobrużdżoną upływem lat twarz, - Powiedz mi teraz, zanim weźmiemy nasze dzieci na obiad, czy żałujesz czegoś? Czy gdybyś mogła, zmieniłabyś coś w naszym wspólnym życiu?

Tess w zamyśleniu zmarszczyła brwi, w jej jasnych oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Niewiele... tylko jedno.

- Co takiego?

Przyciągnęła go ku sobie, i wyszeptała z ustami tuż przy jego uchu:

- Żałuję, że nie możemy wrócić do początku i zrobić wszystkiego jeszcze raz. Tak samo.

Pocałował ją namiętnie, a jeżeli nawet komuś przeszkadzało, że dwoje starszych ludzi całuje się na oczach zebranych dostojników i połowy mieszkańców Chicago, nikt nic nie powiedział. Ich córka, schodząc z podium, roześmiała się na ten widok, a ich syn uniósł brwi w czułym uśmiechu podchodząc do nich z piękną dziewczyną u boku.

- Mówiłeś, że oboje twoi rodzice pochodzą z plemienia Siuksów - zauważyła z uśmiechem.

Spojrzał na nich z miłością w oczach.

- Bo tak właśnie jest.

- Ależ twoja matka ma tak jasną cerę i...

- Tu nie chodzi o cerę, tylko o serce.

Chętnie rozwinąłby ten temat, lecz właśnie w tej chwili matka, stojąca w objęciach ojca, przywołała ich skinieniem. Śmiała się jak młoda dziewczyna, którą w głębi serca nadal była.

Matt przyciągnął ją bliżej i przez chwilę wyobraził sobie tętent kopyt mustangów galopujących przez prerię, cichy odgłos bębnow dokoła obozowego ogniska i zawodzące śpiewy wojowników. Ale dawne dni minęły bezpowrotnie. Teraz ludzie mogli latać bez skrzydeł, a ruchome obrazy przekształciły historię zdobywania Dzikiego Zachodu. Ale kiedy Matt przymykał oczy, nadal słyszał śpiew wiatru zawodzący o bohaterskich czynach jego braci, o harmonii i swobodzie. Jego dzieci nigdy nie poznają tych rzeczy... ale on i Tess nadal będą żyć w zgodzie z dawnymi obyczajami.

- O czym myślisz? - zapytała go łagodnie żona. Otworzył oczy i spojrzał na nią tkliwie.

- Wspominałem głosy wojowników wznoszące pieśni do Wielkiego Ducha.

Przysunęła się do męża jeszcze bliżej i oparła policzek o jego pierś.

- Pewnego dnia głosy dawnych wojowników znowu zaśpiewają dla nas pieśń dziękczynną i znowu pogalopujemy przez prerię.

Pocałował ją w czoło i mocno przytulił.

- Razem.

Tess uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że razem. Bóg nie ośmieliłby się rozłączyć jednej duszy... Bo my wszak mamy jedną duszę żyjącą w dwóch ciałach.

Matt oparł policzek o jej siwe włosy. Nie musiał jej zapewniać, że czuje to samo. Tess i tak od dawna o tym wiedziała. Ponad głową Tess jej dzieci uśmiechały się do siebie.